

Robert J. Szmidt

TOY LAND

Jarkowi Kotarskiemu dedykuję.

© Robert J. Szmidt 2001

– Dowódca na mostku! – Przeciągły, wysoki ton gwizdka i towarzyszący mu okrzyk oficera dyżurnego postawił wszystkich obecnych na nogi.

– Spocznij! – Komandor Adamkas Zwiebellus wkroczył do przestronnego pomieszczenia sprężystym i pewnym krokiem frontowego oficera.

Nie omieszkał przy tym omieść spojrzeniem i bielą swojej rękawiczki popiersia Mistrza Stanisława. Jego wielkie dzieło było pierwowzorem nazwy jednostki, którą przyszło mu teraz dowodzić. Zgodnie z przypuszczeniem, materia oblekająca jego dłoń pozostała aseptycznie czysta. Jak zawsze zresztą.

Zwiebellus, niezbyt szczupły i niewysoki, szedł dumnie wyprostowany, z rękami założonymi za plecy. Nieskazitelnie odprasowany, opięty jasnobeżowy mundur Zjednoczonej Floty kontrastował z opaloną na brąz twarzą. Pomimo jedenastego krzyżyka na karku dowódca „Niezwyciężonego” zachował czerstwy, zdrowy wygląd. Ciemne, wciąż gęste włosy z kilkoma zaledwie pasmami siwizny opadały na wysokie czoło, a orli nos nadawał pociągłej twarzy niemal władcze, a na pewno szlchetne rysy. W pełni zasłużone, zważywszy na tytuł barona, jaki odebrał z rąk samego Cesarza niespełna rok wcześniej.

– Mam nadzieję – komandor podszedł do stanowiska dowodzenia i zmierzył chłodnym wzrokiem oficera pełniącego wachtę na mostku niszczyciela – że nie wzywaliście mnie na darmo.

– Nie, sir! – Wyprężony jak struna żołnierz starał się za wszelką cenę uniknąć wbitego weń przenikliwego wzroku dowódcy.

– Może mi pan zatem zdradzić, poruczniku, co to za kataklizm sprawił, że musiałem przerwać poobiednią medytację? – zagadnął Zwiebellus, sadowiac się w swoim fotelu. – Czyżby kłopoty na powierzchni?

Przez moment panowała niczym nie zmaćcona cisza. Gwizdki alarmowe umilkły w chwili, gdy komandor przekroczył próg owalnej sali dowodzenia, a pokaźna przestrzeń skutecznie pochłaniała odgłosy dochodzące z poszczególnych stanowisk kierowania ogniem i innych konsol, obsługiwanych przez całą dobę li tylko na wszelki wypadek.

– Nie, sir! Wykryliśmy aktywację kanału podprzestrzennego! – wyrecytował, stojąc nadal na baczność, porucznik von Kowal.

– Spocznij – mruknął komandor, spoglądając na monitory. – Co w tym niezwykłego, Robercie, że ktoś postanowił odwiedzić to zapomniane przez Boga i ludzi miejsce?

– To nierejestrowany kanał, sir! – Oficer stanął w luźniejszej postawie, ale nadal spoglądał gdzieś w pustkę.

– Nierejestrowany, powiadasz...

– Tak jest, sir!

Komandor spojrział na von Kowala z rozbawieniem. Młody, zaraz po Akademii, traktował wszystko ze śmiertelną powagą. Dobry materiał na oficera... jeśli przeżyje pierwsze lata służby. Zazdrość konkurentów bywała ostatnio we Flocie bardziej zabójcza niż wróg.

– Sektor?

– Azymut 160, kwadrant A. – Odpowiedź nadeszła natychmiast, tyle że nie z ust oficera, lecz wprost z syntezy mowy komputera stanowiska dowodzenia.

– To po przeciwnej stronie planety, sir – poinformował usłużnie porucznik, opuszczając na moment wzrok.

– Zauważyłem. Może wyda ci się to nieprawdopodobne, synu, ale znam nasze koordynaty. – Adamkas wpatrywał się przez chwilę w wykresy przemykające po monitorach konsoli dowodzenia.

To, że nie potrzebował niczyjej pomocy w rozszyfrowywaniu danych przepływających przed jego oczami, napawało go dumą. Niewielu oficerów dowodzących posiadało tę umiejętność, znacznie wygodniej było opierać się na przekazach personelu. Jednakże człowiek taki jak Zwiebellus - starej daty i o niezwykle analitycznym umyśle - nigdy nie liczył na pomoc ze strony podwładnych. Dowódca musiał wiedzieć lepiej. Tylko wtedy zyskiwał status prawdziwego przywódcy.

– Dajcie podgląd na wszystkie ekrany – rozkazał, gdy prostokątne wyświetlacze zmatowiały.

Wnętrze błękitnawej sali nagle ściemniało. Światła przygasły, a ściany sterowni zamieniły się w panoramiczne ekrany przekazujące wierny obraz tego, co kryło się za kilkunastometrowym aktywnym pancierzem kadłuba. Upstrzona milionami gwiazd, niezmierna przestrzeń kosmosu miała barwę i połysk atramentu, rozlanego na kartce papieru. Nowy Raj zajmował zaledwie jej część. ORP „Niezwyciężony” dryfował zwrócony burtą do powierzchni planety ukrytej pod grubą warstwą chmur. Ale to nie jej tarcza przyciągnęła wzrok wszystkich. Niemal na środku czołowego ekranu pojawiły się pajęczyny wyładowań energetycznych. Zrazu wąskie, żółte i zielonkawe, powoli ciemniały,

nabierając intensywnej czerwonej barwy i rozrastając się wzdłuż i wszerz.

– Rozmiar kanału?

– Zero-sześć masy Jednostki Podstawowej.

– Zero-sześć? To raczej niewielki intruz, Robercie – powiedział spokojnie komandor. – Cerber nie pozwoli mu dotrzeć do planety. Nie musiałeś mnie budzić...

– Ależ, sir! – Twarz wyprężonego porucznika zbieleła, jakby właśnie zobaczył ducha. – Według naszych odczytów, na kursie nadlatującej jednostki znajduje się SS „Lech”, flagowy transportowiec korporacji Korba SF.

Pobłażliwy uśmiech zniknął z twarzy komandora, zanim porucznik zamilkł. Palce młodego oficera potrzebowały kilku sekund, by wywołać zestaw danych na temat możliwych kursów zbliżającej się jednostki. Korba Space Findings była jedną z najpotężniejszych korporacji w znanej przestrzeni. Na tyle wpływowa, by móc pozbawić stanowiska nawet tak zasłużonego oficera jak Zwiebellus.

– Potwierdzono dziewięćdziesiąt osiem procent prawdopodobieństwa kolizji
– zameldował porucznik, nim komputer wyświetlił ostatnie wyniki.

– Czy poinformowałeś...

– Tak jest, sir! Natychmiast po ustaleniu wektora skontaktowałem się z „Lechem”.

– I co...

– Nie mają szans na zejście z kursu kolizyjnego.

– Ciekawe...

– Przechłodzenie systemów, sir. Dryfują od ponad trzech tygodni. Mają wyłączone niemal wszystko prócz systemów podtrzymywania funkcji życiowych kolonistów. Rozpoczęli już potrzebne procedury, ale uruchomienie silników potrwa co najmniej trzy minuty. - wydeklamował von Kowal na jednym oddechu, wyraźnie czerwieniejąc na twarzy.

– Ile czasu zostało do...?

Tym razem porucznik pozwolił dowódcy na wypowiedzenie więcej niż jednego słowa, po czym zameldował krótko:

– Melduję posłusznie, że niespełna siedemdziesiąt sekund!

Zwiebellus zaklął pod nosem. Ktokolwiek nadlatywał, zlekceważył wszelkie procedury podejścia. Niezarejestrowany kanał został otwarty zbyt blisko powierzchni planety. Niemal dokładnie na linii wyznaczającej ostateczną granicę

bezpieczeństwa. A to mogło oznaczać tylko jedno. Do Nowego Raju zbliżał się kolejny łamacz blokady. Komandor uśmiechnął się mimowolnie. Taka próba nie miała bowiem prawa powodzenia. Sieć satelitów Cerbera była absolutnie szczelna. Jednakże ten, kto próbował przedrzeć się przez blokadę Federacji, o tym nie wiedział. A może wiedział, ale liczył na zaskoczenie albo szczęście?

– Czy mamy w tamtym rejonie...? – zaczął Zwiebellus.

– Nie, sir! Wszystkie myśliwce są w hangarach.

– Czy... ?

– Tak, sir! – Porucznik zdawał się czytać w myślach dowódcy. – Wydałem już rozkaz startu dyżurnego klucza.

– Mógłbyś choć raz pozwolić mi na dokończenie pytania, Robercie – zirytował się komandor. W jego tonie nie było jednak krztyny napomnienia. Adamkas Zwiebellus lubił rezolutnych podwładnych.

– Szesnaście sekund do punktu wyjścia – zameldował tymczasem komputer.

– Popatrzmy. – Zwiebellus poprawił się w fotelu i odwrócił do głównego ekranu.

Nowy Raj powoli wpełzał na monitory i zajmował już niemal piątą część strefy widoczności. Mimo to nikt nie zwracał uwagi na srebrzystobłękitną powierzchnię dziewiczej planety. Widowisko, które rozgrywało się na oczach zebranych w sterowni, miało niepowtarzalny urok. Wyładowania, charakterystyczne dla uaktywnienia kanałów podprzestrzennych, przypominały ziemską burzę. Tyle że rozciągającą się na przestrzeni tysięcy kilometrów i znacznie barwniejszą. Różnokolorowe błyskawice rozpełzły się właśnie na wszystkie strony, rozjaśniając w kilkusekundowym paroksyzmie centralną część ekranu.

– Maksymalne powiększenie!

Blask wyładowań po ostatniej, najsilniejszej erupcji rozpląwał się już w atramentowej pustce, gdy przestrzeń zadrgała, jakby niewidzialny kamień uderzył w jej sprężystą powierzchnię. Gwiazdy na moment przygasły, a potem z nicości, w oślepiającym, acz krótszym od mgnienia oka błysku, wyłonił się opływowy kształt niewielkiej jednostki. Komputer utrwalił jej wizerunek i przez niemal dwie sekundy przesuwając go w zwolnionym tempie przez ekran. Zwiebellus zauważył, że na znajomej sylwetce myśliwca nie ma żadnych oznaczeń. Łamacze naprawdę się postarali, a to znaczyło, że komuś bardzo

zależy na przedostaniu się przez blokadę. Nadlatująca jednostka należała do najnowszej generacji i musiała kosztować fortunę. Noworosyjski SU 237 „Samyj Umnyj” sunął przez ekran majestatycznie niczym antyczna maczuga, którą w rzeczy samej przypominał. Choć znajdował się kilka milionów kilometrów od „Niezwyciężonego”, obserwujący go oficerowie i żołnierze mogli podziwiać każde łączenie helonowego pancerza.

Nagle obraz uległ diametralnej zmianie. Normalny widok zmienił się w wirtualną siatkę, upstrzoną wielobarwnymi plamkami i symbolami. Zmieniła się też skala pokazywanego obrazu, oddalił się on znacznie, dzięki czemu był możliwy podgląd niemal całego sektora, łącznie z zawieszonym po prawej globem. Czerwona linia oznaczająca kurs nadlatującej jednostki nawet w tej skali wydłużała się z przerażającą szybkością. Zegar w górnej części ekranu odliczał ostatnie sekundy do kolizji.

Na pokładzie myśliwca ktoś chyba wreszcie zauważył, że wektor podejścia nie jest czysty, bo jednostka rozpoczęła nagle manewr wymijający. Niestety za późno. „Lech” był zbyt wielki, aby myśliwiec zdołał go ominąć. Ale pilot miał refleks, wybrał jedyną opcję, dającą jakiegokolwiek szansę. SU przerwał manewr skrętu i odbił w drugą stronę, ku kilkudziesięciometrowemu przewężeniu pomiędzy rewolwerowymi sekcjami ładowni.

W tym samym momencie wszystkie cyfry widocznego nad „Lechem” zegara zapłonęły szeregiem czerwonych zer, a monitory znów przeszły w tryb realvision. Wybuch uderzającej w masywny transportowiec maszyny wydawał się w tej skali mikroskopijny. Niemniej siła uderzenia była na tyle duża, że trafiony w czuły punkt walcowaty transportowiec przełamał się jak krucha zapałka.

Ognisty meteor, będący jeszcze nie tak dawno najnowocześniejszym modelem nadprzestrzennego myśliwca, przebił się przez łącznik rdzeniowy „Lecha” i mknął dalej w kierunku planety. Cerber odezwał się w momencie, gdy rozpalone do białości szczątki intruza dotarły do granic atmosfery, stanowiących równocześnie skraj blokady. Co najmniej sześć satelitów otworzyło ogień do wraku. Niepotrzebnie, na pokładzie nie było już żywych istot. Takiego zderzenia nie przetrwałby nawet cyborg ukryty w kapsule antygravitacyjnej. System „Cerberus” został jednak stworzony jako niezawodne narzędzie zdolne do likwidacji każdego zagrożenia. Nieważne, czy był to zwykły meteor czy statek

próbujący przerwać blokadę, intruz musiał być namierzony i zlikwidowany w ułamku sekundy. Takie były rozkazy i Cerber jak zwykle wywiązał się ze swego zadania znakomicie.

Zwiebellus odchylił się do tyłu i z głośnym sykiem wciągnął powietrze do płuc. Dopiero teraz zorientował się, że bezwiednie wstrzymał oddech. Na krótko, ale zawsze.

– Daj mi główny kanał łączności „Lecha” – rzucił do porucznika, który nadal stał obok fotela w niezmienionej pozycji.

– Tak jest, sir!

To musiało chwilę potrwać. W tym czasie system skanerów „Niezwycięzonego” zogniskował się na wraku staranowanego statku. „Lech” był typowym transportowcem korporacyjnym. Długi na niemal kilometr kadłub składał się z wąskiego, walcowatego rdzenia, do którego przytwierdzone były dwie sekcje wymiennych ładowni rewolwerowych. Adamkas uruchomił skanery dalekiego zasięgu. Przełamany statek zaczął rosnąć w oczach. Ładownie w części rufowej wydawały się nienaruszone. Podobnie te umieszczone przy kulistym dziobie. Myśliwiec trafił dokładnie w przerwę pomiędzy gigantycznymi komorami. Rdzeń miał w tym miejscu nie więcej niż dziesięć metrów średnicy. Zbliżenie pokazało, że zabrakło może z półtora, by SU przemknął obok, nie naruszając konstrukcji transportowca. Półtora metra. Tak niewiele wobec ogromu kosmosu i odległości, którą przebył niezidentyfikowany myśliwiec. Gdyby jego pilot zobaczył przeszkodę choć nanosekundę wcześniej... Nie uratowałyby go to od pewnej zagłady w laserowych szczękach Cerbera, ale dałoby szansę transportowcowi i jego załodze.

– Mam na linii dowódcę „Lecha”. – Meldunek porucznika wyrwał Zwiebellusa z zamyślenia.

Komandor poprawił mundur, strzepnął z baretek nieistniejący pyłek, odchrząknął i wyprostował się w fotelu. Skinienie głowy usunęło z ekranów widok statku i przeniosło ich do wnętrza transportowca. Sterownia „Lecha” była podobna do tej, w której sami się znajdowali. Standardowa jednostka Federacji nie mogła wyglądać inaczej. Nawet portret Mistrza Lema był identyczny jak ten zdobiący ścianę za plecami Adamkasa.

Dowódca transportowca okazał się starszym mężczyzną o zniszczonej i jakby opuchniętej twarzy. Siwe, kręcone włosy, które zachował jedynie przy skroniach,

miały znacznie większą długość, niż dopuszczał regulamin Floty. Ogólnie rzecz biorąc, sprawiał niechlujne wrażenie, które potęgował nierówno przycięty wąsik i zawadiacka, szyperska czapeczka - zabytek z czasów, gdy Zwiebellus był jeszcze dzieckiem, albo tania podróbka wyprodukowana w odległej kolonii.

– Komandorze, nazywam się Krzysztof Krawczyk i jestem kapitanem pierwszej klasy przestrzennej, w chwili obecnej dowódcą transportowca badawczego „Lech”, flagowej jednostki Korporacji Korba – przedstawił się opanowanym głosem, choć krople potu ściekające po jego skroniach świadczyły, że daleki jest od spokoju. – Na mocy traktatu federacyjnego o Ruchu i Wzajemnej Pomocy Wśród Gwiazd zwracam się do pana z prośbą o natychmiastową pomoc.

– Nasze myśliwce już wystartowały – odpowiedział Zwiebellus bezbarwnym głosem. – Podejmiemy wszystkie kapsuły ratunkowe, które zdołacie odpalić.

Krawczyk spojrział w stronę kamer. W jego oczach kryło się coś, co zaniepokoiło Adamkasa.

– Czy coś jest nie tak, kapitanie? – zapytał.

– Cóż, zgadł pan. Mamy na pokładzie ponad trzy tysiące kolonistów uśpionych w komorach kriogenicznych. Czuję się zmuszony prosić o przeprowadzenie akcji ratunkowej na szeroką skalę.

Zwiebellus zmarszczył brwi. Odwrócił wzrok od ekranu i wprowadził pytanie do centralnego komputera. Odpowiedź nadeszła dosłownie w ułamku sekundy.

– Obawiam się, że mam dla pana niezbyt pomyślne wiadomości, kapitanie – rzekł komandor, podnosząc wzrok na ekran. – Uderzenie było na tyle mocne, że nie tylko przełamało, ale i zepchnęło pańską jednostkę z dotychczasowej orbity.

Oczy Krawczyka zrobiły się okrągłe.

– To znaczy?... – zapytał, choć musiał już się domyślać szczegółów.

– To znaczy, że za siedem standardowych minut znajdziecie się w polu rażenia Cerbera.

– Musi pan wyłączyć to... to cholerstwo! – krzyknął przerażony dowódca „Lecha”. – Ja nie mam nawet dostępu do silników!

– Nie mogę, choćbym chciał – odparł Zwiebellus. – Nie mam stosownej autoryzacji.

– Musi pan - powtórzył Krawczyk. - Chodzi o trzy tysiące niewinnych

ludzi...

Komandor wzruszył ramionami.

– Jak już mówiłem, nie mam takiej autoryzacji. System „Cerberus“ jest absolutnie niezależny. Na tym stopniu dowodzenia nie mamy do niego dostępu. Proszę oddzielić ładownie od rdzenia, podejmiemy tak wiele komór, jak tylko się da.

Krawczyk aż usiadł z wrażenia. Na jego czole pojawiły się kolejne krople potu. Kamera, wychwyciwszy ruch, zmieniła położenie i znów pokazywała całą sylwetkę kapitana.

– Obawiam się, że to niewykonalne... Jak pan słusznie zauważył, rdzeń uległ przerwaniu. Straciliśmy łączność z sektorem rufowym...

– Ilu ludzi tam macie? – przerwał mu Zwiebellus.

– Ponad dwa i pół tysiąca. Sektor dziobowy to w większości komory z wyposażeniem dla kolonii.

– Przykro mi...

– Przykro panu!?! – wykrzyknął Krawczyk, niespodziewanie zrywając się z fotela. Identyfikator, na którym była zogniskowana kamera, upadł na podłogę. Przez chwilę słyszeli tylko wzburzony głos Polaka i widzieli jego znoszone buty.

– Posyła pan na śmierć dwa i pół tysiąca niczemu niewinnych ludzi i tylko tyle potrafi pan powiedzieć...

– To nie ja wysłałem ich na pewną śmierć – nie dał mu dokończyć komandor – to pan, kapitanie Krawczyk, sprawił, że ich życie jest zagrożone. Strefa bezpieczeństwa znajduje się sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od miejsca, w które pan zdryfował, pomimo wielokrotnych ostrzeżeń z naszej strony. Gdyby trzymał się pan rozkazów, nawet po kolizji ze znacznie większą jednostką mielibyśmy szansę i czas na pełną akcję ratunkową.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Złamaliście wszystkie możliwe procedury, byle znaleźć się jak najbliżej planety. Teraz za to zapłacicie.

Krawczyk nerwowo zaciskał zęby, słuchając reprimendy oficera Floty młodszego od niego o dobre dwadzieścia lat. Nagle na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– W tych komorach znajduje się kilkunastu najwyższych rangą urzędników Korporacji. Korba o wszystkim się dowie. W razie potrzeby Goran poświadczy –

wskazał na stojącego obok niego równie niechlujnego adiutanta, który nerwowo przełknął ślinę, gdy wszystkie kamery skierowały się na jego twarz.

– Wybacz pan, kapitanie... – Zwiebellus pochylił się nad terminalem komputera dowodzenia.

Lustrował przez chwilę dane o pasażerach uszkodzonego statku, wydobyte z manifestu okrętowego „Lecha”, przejętego przez Flotę z rejestrów Korporacji, rzecz jasna nielegalnie. Według zapisów byli to głównie pracownicy najemni Korby. Z trzeciej grupy dostępu? znalazł na liście tylko sześć nazwisk. Z drugiej i pierwszej nie było nikogo. Kapitan zwyczajnie blefował. Z pewnością nie groziło, że ktoś upomni się o takich szaraków. Co innego, gdyby zginęły naprawdę grube ryby. Wtedy nawet absolutne przestrzeganie regulaminu Floty mogłoby nie wystarczyć do uratowania kariery i stanowiska.

– Niestety nic nie mogę dla nich zrobić. Oczywiście ma pan prawo złożyć doniesienie. Proszę jednak nie zapominać, iż nie do mnie należy decyzja o wyłączeniu systemów chroniących Nowy Raj. Niech się pan dobrze zastanowi, nim po raz kolejny posunie się do prób nacisku...

Krawczyk zmieszał się i wyraźnie spuścił z tonu.

– Komandorze, to nie miało zabrzmieć jak groźba, ale na litość boską, mam tu prawie trzy tysiące ludzi i... niespełna sześć minut na ewakuację. Bez łączności z rufą nie dam rady nawet odpalić najważniejszych ładowni. Można to zrobić ręcznie, ale do tego potrzebowałbym... – przerwał, by przeprowadzić pośpieszne obliczenia – co najmniej dwudziestu, dwudziestu pięciu standardowych minut.

– Nic na to nie poradzę, kapitanie. W zaistniałej sytuacji pomoc „Lechowi“ jest niemożliwa.

– Dla Floty Rzeczypospolitej Przestrzennej nie ma rzeczy niemożliwych!

– Ma pan rację. Niezaprzeczalnie. Ale to, z czym tutaj mamy do czynienia, nie leży już w gestii Floty. Przykro mi. Za pięć minut część rufowa pańskiego statku znajdzie się w polu rażenia Cerbera oraz co gorsza, w strefie przyciągania planety. Gdybym nawet zdołał w tym czasie uzyskać z dowództwa sektora kody dezaktywujące sieć obrony satelitarnej, po uwolnieniu ładowni i tak spadłyby one na powierzchnię Nowego Raju bądź spłonęły w atmosferze.

– Pańskie myśliwce mogłyby je odholować!

– Moje myśliwce dolecą do waszej pozycji dopiero za szesnaście

standardowych minut. – To nie była zwykła wymówka. Nawet najszybsze maszyny potrzebowały ponad kwadransa, żeby dotrzeć na miejsce katastrofy. – A gdzie czas na właściwą akcję i dokowanie? Z pańskich ludzi tak czy owak zostaną tylko skwarki.

– Rozumiem – Krawczyk odwrócił się od kamer, by nie dostrzegli jego łez – rozumiem, że odmawia pan udzielenia nam pomocy.

– Niczego nie odmawiam i proszę to zaprotokołować. Każda kapsuła, która zostanie odpalona w ciągu najbliższych sześciu minut, zostanie podjęta i przetransportowana na pokład „Niezwycięzonego”. Tylko tyle mogę dla pana zrobić.

– A co z tamtymi? – zapytał łamiącym się głosem Krawczyk.

– Na to pytanie musi pan sobie odpowiedzieć sam, kapitanie.

Dowódca „Lecha” ponownie się odwrócił. Patrzył przez dłuższą chwilę wprost w obiektywy kamer. Mięśnie na obrzękłych policzkach drgały mu rytmicznie pod pobielającą skórą. Wreszcie wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Opuścić okręt. Goran, odpal wszystkie dostępne ładownie. Zarządzam ewakuację.

Połączenie zostało przerwane. Zwiebellus odprężył się i wyprostował w fotelu.

– Panie komandorze... – zaczął nieśmiało porucznik.

– Słucham, Robercie?

– W bezpośrednim sąsiedztwie miejsca katastrofy znajduje się osiemnaście jednostek. Niektóre mają własne holowniki i transportery. Dlaczego nie...

– Bo to konkurencja – przerwał mu Zwiebellus – a konkurencji, synku, są jak hieny... Tam w dole czekają na nich miliardy i mogą iść o zakład, że na większości tych jednostek w tej chwili strzelają korki od? szampana.

Obraz na monitorach zmienił się, znów ukazując kadłub uszkodzonego transportowca. Od podłużnego rdzenia przy dziobie zaczęły odrywać się pierwsze kapsuły. Jedyne rufowa część pozostała martwa. Do uaktywnienia Cerbera pozostały niespełna trzy minuty.

– Do zobaczenia w piekle... – mruknął komandor na tyle cicho, by nie dosłyszał go stojący obok oficer.

* * *

– Dwie minuty do wejścia w strefę rażenia – zameldował konfidencjonalnym tonem Raoul „Doom” Dominguez, tylko na moment odrywając wzrok od monitora.

Uśmiechnął się, odsłaniając dwa równe rzędy bielutkich zębów, kontrastujących silnie z jego mocno opaloną twarzą o ostrych latynoskich rysach. Chwalił się, że jest w prostej linii potomkiem Majów, ale wszyscy w oddziale wiedzieli, że był jedynie nieślubnym dzieckiem Metyski i Hiszpana, właściciela fabryki tekstylnej, u którego kobieta pracowała jako pokojówka. Po nim to właśnie Raoul odziedziczył temperament i wydatny nos, będący ponoć dowodem na koligację z Majami. Chłopcy omijali temat pochodzenia Dooma, odkąd pewien śmiałek, który nieopatrznie o tym wspomniał w jego obecności, spędził ostatnie minuty życia, podziwiając własny język zwisający w formie sycylijskiego krawata.

– No, dziewczynki, czas posadzić dupska na fotele. – Dante, zwalisty, prawie dwumetrowy blondyn o kwadratowej szczęce i mięśniach kulturysty, odłożył ostatni karabin na stelaż i zabezpieczył broń przed wypadnięciem.

Był tu szefem, niekwestionowanym przywódcą Legii Przestrzennej, którą stworzył przed sześciu laty. Żaden z członków oddziału nie starał się poznać szczegółów jego zagmatwanej przeszłości. Wiedzieli tylko, że Pat Dante jest odmrożencem, weteranem co najmniej dziewięciu kampanii, oraz to, że jako jeden z niewielu wrócił z wojny kolonialnej na własnych nogach i z obiema rękami. Co do tych rąk właśnie krążyły pewne pogłoski... Czasami nawet legioniści śmiali się za jego plecami, nazywając go cyborgiem. Słyszał parę razy to przezwisko, ale nie reagował. Genetyczne i chirurgiczne ulepszenia, dokonywano w jednostkach specjalnych Floty, dla nikogo nie były tajemnicą, ale choć Dante oficjalnie przyznawał się do wzmocnionych węglowymi włóknami ścięgien, chłopcy z oddziału wiedzieli swoje.

Jajowata kabina przeciążeniowa orbitera znajdowała się dosłownie o kilka kroków od zbrojowni. Otwarty na oścież podłużny właz zapraszał do mrocznego wnętrza. Dante oparł się o kołnierz śluzy i wskazał palcem do środka.

– Macie dwadzieścia sekund na zajęcie miejsc – powiedział.

Rzucili się do wąskiego otworu jak wygłodniałe psy. Nie dlatego, że bali się kary. W końcu każdy z nich był naprawdę twardym sukinsynem i przeszedł

niejedno, zanim trafił do Legii Przestrzennej. Nie chcieli być ostatni i tyle.

– Rewolwer, ty zajmiesz się łącznością z pozostałymi grupami podczas przelotu – rzucił Dante do szczupłego, szpakowatego mężczyzny, który klnąc siarczyście, masował sobie goleń. – I na przyszłość uważaj na te ranty, bo kiedyś połamiesz sobie te szlacheckie nóżki.

– Spoko majonez, patron – odparł Andrzej Terreine, zwany „Rewolwerem” nie bez racji. Jego zamiłowanie do archaicznej broni palnej znane było nie tylko w kręgach najemników.

Podobno pochodził z arystokratycznej rodziny. Potrafił się zachować przy stole i miał gadane jak mało który z chłopaków. Zawsze wyrywał najładniejsze dziewczyny, co przysparzało mu więcej kłopotu niż przyjemności, bo bić się tak dobrze, jak mówić, nie potrafił. Za to strzelał, jakby urodził się z karabinem w dłoni. Nawet po niezłej imprezie był w stanie wypalić laserem śmieszka na tarczy oddalonej o sto pięćdziesiąt metrów. I to bez lunety. A jego popisowym numerem było odstrzeliwanie kapsli z butelek...

– A ty, Adolf – te słowa Dante skierował do czarnego jak smoła, niedźwiedziowatego Brazylijczyka – dopilnujesz z Ragnarokiem, żeby cały sprzęt został dokładnie przymocowany. Nie mam zamiaru zeszkrobywać czyjegoś mózgu z butów zaraz po wylądowaniu. O ile w tych pustych łbach macie jeszcze jakieś mózgi!

– Się wie, chefe – znikając we włazie, mruknął zwałisty Murzyn, budową ciała nie ustępujący dowódcy,. O ile jednak fizycznie wyglądał na równorzędnego partnera Dantego, o tyle ich intelekty nie mogły się w niczym równać. Adolf nie był ograniczony, ale wychowany na farmie gdzieś w amazońskiej dżungli po prostu nie miał okazji, by opanować sztukę abstrakcyjnego myślenia bądź planowania. Za to w wieku czternastu lat rozpoczął karierę militarną w oddziałach partyzantki miejskiej na bezkresnych przedmieściach trzydziestomilionowej metropolii, znanej ongiś jako Saõ Paulo. Jego pełne nazwisko, które zawsze wymieniał z wielkim namaszczeniem, brzmiało: Adolf Napoleon Hitler Gutierrez, i było przyczyną większości jego kłopotów. Wystarczyło, że je wymienił...

Matka Adolfa, skromna wieśniaczka z dorzecza Rio Heron, zgodnie z plemienną tradycją chciała nadać swojemu pierworodnemu synowi imiona wielkich białych ludzi. We wsi było już jednak trzech Jesusów i co najmniej po

jednym znanym świętym bądź filozofie. Niepiśmienna kobieta pewnego dnia odkryła książkę, którą zostawił po sobie lekarz opiekujący się okresowo mieszkańcami dorzecza. Znalazła w niej zdjęcia białych mężczyzn w pięknych mundurach i historycznych strojach. Wioskowy skryba odszyfrował nic nie mówiące ludziom nazwiska, a Lucia wybrała kilka, by wyróżnić syna. I cokolwiek o jej pomysłe sądzić, wyróżniła.

– Sześćdziesiąt sekund – zameldował tymczasem Doom.

Dante rozejrzył się po kabinie, sprawdzając po raz ostatni, czy wszystko jest na swoim miejscu i dobrze przymocowane. Nie znalazł żadnego przedmiotu, który umknął jego uwadze przy poprzedniej kontroli. Chwycił za rant włazu i wsunął się płynnym ruchem do wnętrza.

Ragnarok, ostatni z najemników obecnych na pokładzie – zwalisty blondyn o rysach czystego nordyka, długiej acz dobrze utrzymanej brodzie i warkoczykach zaplecionych za uszami - już od dawna siedział we wnętrzu komory. Dziwnym trafem umiał doskonale wyczuć moment i wykonać rozkaz Dantego, zanim inni zorientowali się w intencjach szefa. Dołączył do nich podczas jednej z akcji w koloniach. Był miejscowym administratorem. Chyba go ta robota znużyła, bowiem stanął po stronie oddziału najemników pacyfikujących zbuntowane kopalnie i z nieodłącznym pamiątkowym dwuręcznym toporem termicznym w dłoni pomógł ludziom Dantego opuścić płataninę podziemnych korytarzy, w które zostali zapędzeni przez przeciwnika. Z rozwianymi włosami, rozgrzanym do białości ostrzem laserowego topora i dzikim wzrokiem wyglądał jak najprawdziwszy wiking. Jego nazwiska nikt nie potrafił zapamiętać i poprawnie wymówić. Dlatego nazwali go Ragnarok, od wydarzenia z nordyckiej mitologii, o którym tak lubił opowiadać po kilku piwach.

Czwórka najemników stanowiła zgrany zespół, jeden z czterech, na jakie Dante podzielił swój oddział. Każdy miał swoją rolę do odegrania w akcji. Wszyscy doskonale wiedzieli, kto z nich ile potrafi i co jest wart. W warunkach bojowych porozumiewali się niemal bez słów. Jak piłkarze potrafili przeprowadzić skomplikowane manewry, zgrywając je w czasie do ułamków sekund. Mieli też niezłomną zasadę. Nigdy nie brali ze sobą na robotę obcych. Zwłaszcza cywili.

Aż do tej pory...

* * *

Tym razem Dante musiał ustąpić. Kontrakt z Korbą opiewał na bajeczną sumę, sama zaliczka wystarczyła na pokrycie wszystkich długów, jakich się dorobili przez ostatnie dwa lata. Recesja na rynku pracy pozbawiła ich intratnych zleceń, a konkurencja stała się wręcz mordercza, zwłaszcza po zakończeniu wojny o Ziemię 2, gdy milion bezrobotnych kombatantów wrócił do domów. Dante podpisał więc kwity bez zmruczenia oka, choć był w nich jeden niezbyt wygodny warunek. Kontrakt precyzował, iż muszą zabrać ze sobą grupę naukowców. Ekogeologią i ekobiologią przestrzenną żaden z ludzi Dantego nigdy się nie zajmował. Tylko Andrzej przyznawał, że wie, co te słowa z grubsza znaczą, ale dokładniej nic nie potrafił wytłumaczyć. Pozostała piętnastka nie miała pojęcia o obcych formach życia. Jeśli już zabierali się za badanie kogokolwiek, robili to wyłącznie celem wyciągnięcia potrzebnych im wiadomości. Dlatego żaden nie protestował, kiedy Dante ogłosił, że dołączą do nich naukowcy, choć niektórzy długo spluwali na wspomnienie skomplikowanych słów.

Czasu na organizację akcji nie było wiele. Wiedzieli tylko tyle, ile musieli. Że jest robota poza Systemem. Dobrze płatna robota. Dlatego działali szybko i o nic nie pytali. By nie wzbudzać podejrzeń władz Federacji, zostali przetransportowani pojedynczo, wraz z grupami kolonistów, na stacje orbitalne Korby i stamtąd wysłani kolejno na Marsa, gdzie w przepastnych trzewiach podziemnych miast oczekiwali na ostatnią zbiórkę. Dante pojawił się na miejscu pierwszy i nie pozwolił, by wszechobecne dziwki, a nade wszystko narkotyki przerobiły jego ludzi na nic niewarte mięso armatnie. Ci, którzy liczyli na kilka dni nieziemskiej zabawy, zamiast burdeli i barów zaliczyli rozciągające się na przestrzeni wielu mil kanały, gdzie ku przerażeniu miejscowych szczurów i bezdomnych urządzali sobie gry wojenne. Wreszcie nadszedł dzień, gdy ostatni członek oddziału pojawił się na płycie lądowiska w Nowym Targu. To zwiastowało rychły rozkaz wymarszu. I rzeczywiście; ledwie minęło osiem godzin od czasu odprawy u Dantego, w kwaterach najemników pojawili się wysłannicy koncernu z dwiema walizkami. W pierwszej była następna część uzgodnionej należności, w drugiej szczegółowe plany operacji. Z tymi ostatnimi mogli zapoznać się dopiero kilka godzin później, zaraz po zaokrętowaniu na

transportowiec Korporacji. Wcześniej jednak poznali ludzi, których mieli eskortować.

Dok, w którym przycumowano prom transportowca Korporacji, był pusty. Na tle wielohektarowego lądowiska z betonu i stali, noszącego ślady wielu mniej lub bardziej udanych początków i końców podróży, ginęło kilkanaście maleńkich sylwetek ludzkich. Nie dano im żadnego środka transportu, musieli więc przejść pieszo całą drogę do wysłużonego żuka, stojącego niemal na końcu pola manewrowego. Jako że kontenery z bronią i sprzętem załadowano na statek kilka godzin wcześniej, mieli przy sobie nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów wyposażenia, nie licząc oczywiście wagi kombinezonów. A te pochodziły z najgłębszych magazynów Neorosyjskiej Armii i pamiętały jeszcze czasy Rewolty Teksasńskiej.

– Zapierdalać, laleczki! – wciąż poganiał ich zniekształcony przez interkom głos Dantego, mimo że wypruwali z siebie flaki, pokonując kolejne płyty porobetonu.

– Czy te skorporowane sukinsyny nie mogły nam załatwić jakiegoś wózka? – mruknął Andrzej na tyle głośno, by jego głos przebił się przez sapanie pozostałych.

– Jak się nie zamkniesz, to ja ci załatwię wózek, ale inwalidzki! – Ryk Dantego sprawił cud mniemany. Pomimo zmęczenia wszyscy przyśpieszyli kroku.

Do promu pozostały jeszcze ze dwa kilometry, gdy idący na czele Hitler porozumiewawczo kiwnął głową do Ragnar. Ten przystanął i powoli odwrócił się. Za nim pozostali. Dante, o dziwo, wyjątkowo nie zareagował od razu. Najpierw spojrział tam, gdzie patrzyli jego ludzie, a dopiero potem puścił wiachę przez interkom.

– Co jest, kurwa, platformy transportowej panicze nie widzieli? Ragnarok, masz służbę poza kolejnością.

– Ale ja nie...

– Co powiedziałeś?! Prosiłeś o jeszcze jedną?

– Tak jest! – ryknął Ragnar. Pozostali niczym wielbłądy w karawanie ruszyli za nim. Nie musieli się rozglądać, systemy kamer w hełmach pozwalały im na śledzenie widoku za plecami. Zważywszy na niewielki ruch na lądowisku, dwie platformy zbliżające się do oddziału niemal na pewno musiały kierować się w

stronę promu. Na razie były jednak zbyt daleko.

– Chefe, może bym tak skoczył i zdobył transport – zaofiarował się nieoczekiwanie Doom, na wszelki wypadek nie zwalniając kroku.

– Idź przed siebie i nie interesuj się za bardzo tym, co do ciebie nie należy – mruknął Dante. W interkomie rozległy się ciężkie westchnienia.

– Co mi tu, kurwa, wzdychacie jak kulawe dziwki przed potańcówką! – ryknął Pat. –Zapierdalać! Ze śpiewem na ustach!

Ruszył wzdłuż szeregu, podając rytm i ton. W ciężkich opancerzonych skafandrach próżniowych ciężko było choćby poruszać nogami, a co dopiero przebierać nimi jak na placu musztry. Ale nie pyskowali, nie było sensu.

– Lewa, lewa! –podawał tymczasem Dante, biegnąc równo z nimi. – Żaden kutasina z tego portu nie będzie widział legionistów w stanie rozkładu, zrozumiano?

– Tak jest!

– To ze śpiewem na ustach, laleczki, ze śpiewem.

Wiedzieli, że wyglądają komicznie, lecz mimo to robili nogami jak podczas porannej zaprawy. Śpiew już im tak dobrze nie wychodził, ale przecież nie był to najważniejszy element pokazu.

Platformy dogoniły ich na trzysta metrów od otwartego na całą szerokość luku ładowni. Przesuwały się wolno wzdłuż szeregu drepczących najemników. Na podłużnych transporterach piętrzyły się kontenery ze sprzętem, noszące charakterystyczne logo Korporacji Korba. Na jednej z nich prócz sprzętu tkwiło siedmiu ludzi w znacznie lżejszych i nowocześniejszych kombinezonach niż ich. To musieli być naukowcy, których eskortowania się podjęli.

– Pokażemy im, co to twardziele! – krzyknął ktoś, zachłystując się, zanim skończył zdanie.

– Spierdalaj... – mruknął inny.

– Plecaki w górę – zakomenderował ten sam zasapany głos.

– A idź w...

– Ogłuchliście czy co? Plecaki w górę! – tym razem do rozmowy włączył się Dante.

Wykonali rozkaz, choć z dużą niechęcią. Ciężkie plecaki powędrowały nad głowy najemników. Biegli nie zmieniając tempa.

– Który... to... kurwa... wpadł... na... taki... wspaniały... pomysł... – wyjęczał

Doom pomiędzy chrapliwymi oddechami.

– Nasz w czarną dupę dymany brat. – Głos Ragnaroka był nadal rozpoznawalny. Ten facet miał kondycję jak prawdziwi wikingowie.

– Adolf, masz u mnie przejebane! – rozbrzmiało unisono.

Wykończeni dotarli do promu, nim jeszcze obsługa zdążyła rozładować pierwszą z platform. Dante stanął obok pochylni i przed wpuszczeniem swoich ludzi do ładowni sprawdzał skafander każdego. Trwało to chwilę, ale na tyle długą, by zakończono załadunek. Naukowcy stali jeszcze na płycie i podpisywali dokumenty szefowi dokerów, gdy ostatni z najemników zniknął we wnętrzu promu.

* * *

Większość chłopaków zdążyła się już całkowicie rozebrać, kiedy drzwi służby otworzyły się i weszli Korbowcy. Zatrzymali się niepewnie tuż za progiem grodzi i przez lustrzane szyby filtrów wizyjnych spoglądali na zbieraninę najemników. Na pewno golizna nie była elementem najbardziej stresującym nowo przybyłych. Chociaż właściwie przynajmniej jedna osoba mogła czuć się tym widokiem zakłopotana...

Dante wskazał na wolne szafki w rogu pomieszczenia. Nie musiał tego robić, ludzie z Korporacji zapewne znali ten prom, jak i statek, na który ich wieziono, znacznie lepiej od niego, ale nawyk dowodzenia to nawyk dowodzenia. Stojący na przedzie naukowiec odłączył przewody powietrzne i ściągnął hełm, podobnie postąpili pozostali. Trzech mężczyzn miało już swoje lata. Trzech było jeszcze starszych. Natomiast ostatnia osoba z grupy naukowców diametralnie odstawała od reszty.

Po pierwsze, była kobietą.

Po drugie, była piękną kobietą.

O trzecie... ech...

Miała delikatną, okrągłą, opaloną na ciemny brąz twarz i duże zielone oczy. Przycięte niezbyt krótko ciemnorude włosy z czarnymi pasemkami spięła w kok, tak że odsłaniały szyję aż za linię uszu. Uśmiechnęła się, ukazując niesamowicie białe zęby, i założyła okulary. Na plakietce kombinezonu można było wyczytać jej nazwisko i tytuł: Dr. Ph. Ketea Tychoo.

Rewolwer pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia.

– Madame – podszedł do niej i pocałował ją w rękę, a w zasadzie w materię grubej rękawicy skafandra, skrywającą delikatną dłoń. – Je suis enchante...

– Moi aussi – odparła niespeszona, uśmiechając się promieniście. – Jak widzę, zna pan martwe języki. Nie wiedziałam, że ktoś jeszcze używa francuskiego.

– Nie tylko znam. – Andrzej przystąpił do czarowania, zanim inni podnieśli z podłogi szczęki. – Powinna pani wiedzieć, że jestem półkrwi Francuzem. Moja matka...

– ...zaraz straci jedyne go synka, jak się nie zamkniesz. – Dłoń Dantego położona na ramieniu Rewolwera zakończyła prezentację w ułamku sekundy. Terreine, ustępując miejsca dowódcy, uśmiechnął się smutno, wzruszył ramionami i odszedł na bok. Nie spuszczał jednak oczu z kobiety. Pozostali również wodzili za nią łakomym wzrokiem.

– Zgodziłem się na naukowców, ale nie było mowy o... – Z wyrazu twarzy Dantego nie można było wiele wywnioskować, o ile nie znało się go naprawdę dobrze. Dla jego ludzi stało się właśnie jasne, że jest wściekły, cholernie wściekły. Od czasu zawiązania tego oddziału żadna kobieta nie wstąpiła w jego szeregi.

– ...kobiecie? – dokończyła myśl doktor Tychoo. – Czy moja płęć w czymś panu przeszkadza?

– Bynajmniej – prychnął najemnik niezbyt zgodnie z prawdą. – Ale tobie, laleczko, będzie przeszkadzać.

– Wolę, jak mówią do mnie Ketea... – rzekła niepewnie kobieta.

– Przed tym czy po tym, jak cię przelecą? – zapytał kąśliwie Dante.

Doktor Ph. Ketea Tychoo rozejrzała się po jasno oświetlonym pomieszczeniu służby, jakby szukając drogi ucieczki. Kilkunastu mężczyzn wpatrywało się w nią intensywnie. Przemknęła wzrokiem po ich twarzach i zatrzymała się dopiero na lubieżnie uśmiechniętym Metysie o orlim nosie. Doom stał nagi, trzymając się znacząco za krocze i posyłając jej całusy.

– Lepiej włóż fiutka w gacie, Dominguez – powiedział Dante, nie odwracając się nawet. – Jeśli myślisz teraz o rżnięciu, lepiej dla ciebie będzie, jak użyjesz do tego brzytwy...

Raoul przestał się uśmiechać.

– Chefe, ja tylko...

– Zamknij się. – Dante odwrócił się tak szybko, że Ketea drgnęła odruchowo.

– W naszym kontrakcie jest pewna klauzula... – Przerwał na chwilę. – Klauzula, która mówi, że nie dostaniemy ani grosza, jeśli ktoś z oddziału skrzywdzi konsultantów Korby... co dotyczy zarówno tych suchotników – wskazał na rozbierających się w kącie staruszków – jak i... jej. – Teraz tylko ruch głowy powiedział, kogo ma na myśli.

– Jaka to krzywda, jeśli ktoś sprawia rozkosz kobiecie? – zapytał Doom retorycznie, podnosząc rękę i szczerząc zęby w obleśnym uśmiechu.

– Z takim makaronikiem możesz ją jedynie rozdrażnić – wtrącił Andrzej, a reszta wybuchnęła śmiechem.

– Uważaj, gringo – odciął się Metys – bo i tobie zrobię dobrze.

– Najpierw go sobie umyj. – Andrzej nie dawał za wygraną.

– Bo co?

– Bo cuchnie ci z gaci jak z murzyńskiego szałasu.

Kolejny wybuch śmiechu przetoczył się pośród najemników jak grzmot przez równinę. Tylko Adolf się nie śmiał.

– A co ty, kurwa, wiesz o murzyńskich szałasach? – zapytał, stając przed Andrzejem.

Rewolwer podniósł obie dłonie w przeproszającym geście.

– Zamknąć mordy, kutasie łby! – Ryk Dantego w sekundę osadził adwersarzy. – Jeszcze jedno słowo na ten temat, a zajebię obu. Adolf dwie służby, Andrzej jedna, Doom, zgłosisz się do mnie po zakwaterowaniu.

Spojrzeli na dowódcę badawczo, ale żaden nic nie powiedział.

– Nikt nie zbliży się do doktor Tychoo bez mojego pozwolenia. Zrozumiano? Smętnie pokiwali głowami.

– Zrozumiano?! – powtórzył pytanie Dante.

– Tak jest! – odpowiedział mu chór głosów.

– To wypierdalać! Ostatni ma trzy dodatkowe wachty.

Ubierali się tak szybko, jak mogli. Ktoś jednak musiał być ostatni. Naukowców nie liczone, więc wypadło na Hitlera.

* * *

Do macierzystej jednostki dotarli po kilku godzinach spokojnego lotu. Żaden z chłopaków nawet się nie odezwał do jedynej kobiety na pokładzie, zresztą niewiele zdążyłby powiedzieć, nim wyplułby zęby. Dante wyraźnie powiedział, jak mają się wobec niej zachowywać. Większość uznała, że szef sam na nią leci, a rzeczy szefa – w tym wypadku bycie kobietą nie wpływało znacząco na zaliczenie do kategorii rzeczy – nie należy ruszać. Ci, co jeszcze się z tym nie pogodzili, woleli cierpieć w milczeniu. Nawet Doom udawał, że nagle zainteresowało go czyszczenie ekwipunku. Był zbyt bliski kolejnego upomnienia, które prowadziło wprost do... O tym wołał nie myśleć.

SS „Lech” był ogromnym statkiem. Obejrzeni go dokładnie na ekranach podczas podejścia. Dziewięćsetmetrowy rdzeń okalało osiem rewolwerowych ładowni, podzielonych na dwie sekcje. Dziób transportowca, będący jednocześnie holownikiem, miał kształt idealnej kuli. Kiedyś musiał być też idealnie biały, ale lata służby w przestrzeni sprawiły, że przybrał bardziej maskujące kolory. Niemniej ogromna biało-czerwona szachownica na jego dziobie nadal wyraźnie kontrastowała z resztą poszycia.

Prom powoli zanurzył się w luku transferowym pierwszej ładowni. Łagodny wstrząs i głośny zgrzyt, przywodzący na myśl rozdieranie blach, powiedziały im, że ten etap podróży mają już za sobą. Zanim drażniący dźwięk umilkł całkowicie, Dante już stał pomiędzy rzędami foteli.

– Zbierać manele z szafek. Macie trzydzieści minut na znalezienie kwater i rozlokowanie. Zbiórka o szesnastej zero zero czasu standardowego w jadalni sekcji trzeciej. Spóźnienie równa się dodatkowej służbie. Każde dziesięć sekund spóźnienia to dodatkowa służba po powrocie.

Przez kabinę przetoczyły się pomruki.

– Jakiś problem? – zainteresował się Pat.

– Trzeba by się porządnie wykąpać – rzucił ktoś z tyłu, chyba Pacyfa. – W tym neoruskim gównie nie ma klimy.

Dante spojrzał na siedzących najbliżej Dooma i Ragnaroka. Uśmiechnął się złośliwie.

– Dobra, macie dodatkowy kwadrans na mycie. Od ciebie, Doom, rzeczywiście capi jak z wnętrza murzyńskiej chaty. Odprawa o szesnastej piętnaście. Wypierdalać!

* * *

Jadalnia sektora trzeciego mogła pomieścić ze dwie setki chłopca. Zebrani w kacie pustej sali najemnicy nie czuli więc klaustrofobii. Jasnozielone kolory mebli i ścian kojarzyły się raczej ze szpitalem niż ze statkiem kosmicznym, ale spełniały podstawową funkcję – działały uspokajająco.

Dante usiadł na stole – przy jego wzroście było to wygodniejsze od gnieźdzenia się na plastikowym siedzisku – i zapalił beznikotynowe cygaro dokładnie pod znakiem zabraniającym palenia. Wcześniej uszczelnił czujnik przeciwpożarowy zmiętym regulaminem stołówki, zerwanym z tablicy ogłoszeń. Do szesnastej piętnaście została jeszcze minuta, a na sali brakowało tylko dwu osób z czwartej grupy. Rzeźnicy z Księżyca, Leo i Jar Ducksonowie, najbardziej mordercze bliźniaki Układu Słonecznego, jak nazwała ich kiedyś po jednej z brutalniejszych akcji na Srebrnym Globie prasa bulwarowa, zazwyczaj się nie spóźniali. Byli trochę dziwni, jak większość ludzi służących pod Dantem. Nie mówili wiele, w zasadzie można było uznać ich za milczków, ale w rozwalaniu i wysadzaniu nie mieli sobie równych, o czym przekonało się paru premierów i prezydentów, nie wspominając pomniejszych ofiar.

– Kaczory się spóźnią – mruknął Doom, od którego na dwa metry czuć było niewyszukaną, korzenną wodę kolońską. – W dupę jeża, Kaczory się spóźnią.

Bliźniacy byli karni do przesady, tak ich wychowała matka, jedyna istota na tym świecie, która budziła ich respekt - jeśli nie liczyć Dantego rzecz jasna. Tylko oni nie zaliczyli jeszcze karnej kolejki. Tym większą sensację wzbudzała ich nieobecność.

– Kto jest z nimi w grupie? – zainteresował się Hitler. – To twoi chłopcy, Pacyfa?

– Zgadza się. – Brodaty, korpulentny najemnik w szortach i spranej koszulce, z nieodłączną wielką pacyfą na szyi, która ponoć przynosiła mu szczęście, niezbyt przejmował się spóźnieniem swoich ludzi. – Tyle że dla ciebie to ja jestem pan major Pacyfa...

– Kto jeszcze? – dopytywał Hitler, nie zwracając uwagi na zaczepkę i spoglądając na siedzących z tyłu.

Wykluczył członków pododdziału złożonego wyłącznie z młodych żółtoskórych komandosów. Azjaci nazywali siebie wojownikami Ninja, ale

pozostali członkowie oddziału woleli nazwę Karakany, bowiem żaden z nich nie przekraczał stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, co lokowało ich na samym końcu łańcucha pokarmowego najemników. W misjach na ogół pełnili rolę zwiadowców. Nikt nie potrafił lepiej od nich wtopić się w tło i przeniknąć za linie wroga. Niemniej mieli problem z komunikacją. Dwaj z nich, bracia Chen i Choy Chuy-Chuy, pochodzący z samego serca Kontynentalnego Zjednoczonego Cesarstwa Tai-Pei, znało poleuropean w stopniu wystarczającym do zamówienia w barze gorzały. Trzeci, najstarszy w grupie, o dźwięcznym imieniu bądź nazwisku – tego nikt nie potrafił odgadnąć – Hu-Yo, gadał w dialekcie, który można było zrozumieć tylko przy dużej dozie cierpliwości, wyobraźni i dobrej woli. Łącznikiem pomiędzy nimi a cywilizowanym światem był Se Yu Soon, dowódca grupy, a niegdyś student Harvardu. Zniżał się do roli tłumacza wyłącznie wtedy, gdy sam tego chciał albo gdy wykonywał polecenia Dantego. W chwili obecnej nic nie wskazywało na to, by zamierzał przemówić.

– A co cię to tak interesuje? Pilnuj swojej czarnej dupy – zgasił Adolfa jeden z członków oddziału czwartego, Andy „Mason” Booker.

Był najmłodszy z nich wszystkich, ale zawsze musiał mieć ostatnie słowo w dyskusji. Tylko Dantemu ustępował pola bez gadania. Zaprzeczał, jakoby miało to coś wspólnego z krótkim starciem zaraz pierwszego dnia po zaciągnięciu się do Legii, kiedy to próbował filozoficznie wykazać dowódcy bezsens przesypywania piachu z jednej strony placu na drugą. Dwa tygodnie spędzone później w koszarowym szpitalu nie zwolniły go bynajmniej od wykonania rozkazu. Zaraz po wyjściu z lazaretu dostał łopatę i góra zmieniła miejsce spoczynku, i to niejednokrotnie. Tym razem obyło się już bez szemrania. Mason, choć złamany przez Dantego, nie składał broni wobec innych członków oddziału, dlatego przeważnie przydzielano go do kotów, które uzupełniały stan legionistów po każdej poważnej akcji. Tak było i teraz, siedział w ostatniej ławce z trzema młodymi. Chłopcy dołączyli do oddziału ledwie miesiąc wcześniej. Wciąż przechodzili szkolenie i nawet nie mieli jeszcze własnych ksywek. Christopher Motherknife, Thomas Ravazzo i Nonnatelo Felix wcześniej służyli w jednostkach specjalnych ponadnarodowej korporacji naftowej Orlen-Herbapol Oil S.A., tej samej, która w ostatnim stuleciu, tuż przed wyczerpaniem złóż, zmonopolizowała handel paliwami płynnymi w Systemie. Znużeni monotonią służby na pustyniach postanowili zakosztować żywota

przestrzennych najemników. Trafili do jakiejś korporacji, ale szybko znudziła im się służba w konwojach. Zapragnęli wstąpić do Legii i właśnie odbywali staż. Ta misja miała być ich chrztem bojowym.

– Odwał się od mojego hebanowego dupska – Adolf wydał wargi w pogardliwym grymasie – bo zaraz będziesz miał taki sam kolor skóry w paru miejscach na twarzy...

– Heban jest twardym drewnem – odciął się Mason, pociągając znacząco nosem – i przy rżnięciu bardzo śmierdzi, ale nie dymi...

Hitler wstał z krzesła i zrobił jedną ze swoich słynnych min. Andy'ego to jednak nie przeraziło, położył rękę na swoim nożu i uśmiechnął się promiennie. Był niższy od Adolfa o dwie głowy i pewnie przegrałby to starcie nawet z dwoma nożami, ale nie pękał, zwłaszcza wobec kotów.

– Jeśli już mowa o rżnięciu – syknął Adolf – to przygotuj sobie wazelinę, kocia mamko. Bo będzie bolało...

– Gnij się, bambusie – zbył go Mason. – Czwarty koleś Kaczorów to Yoda.

Wymieniony nie raczył nawet podnieść głowy. Stary Japończyk był jednym z pierwszych nabytków Dantego. Naprawdę nazywał się Masutatsu Oda. Przez długi czas nosił ksywkę „Masakratsu”, była to pamiątka po wizycie w pewnym barze na Neue Brunshwick. Lokalna kopalnia musiała potem ogłosić dodatkowy nabór, a sam Oda miał zakaz wstępu do kilku systemów znajdujących się pod zarządami koncernów wydobywczych wywodzących się z terenów Wschodniej Europy. Jednakże po pojawieniu się w oddziale Bookera Masutatsu zyskał nowy, nieco krótszy przydomek. Mason nazwał go „Yodą“, bo wykazywał pewne podobieństwa, zarówno fizjonomiczne, jak i mentalne, nie mówiąc już o wadach wymowy, do bohatera jakiegoś dawno zapomnianego filmu. Oda nie protestował. On zresztą niemal nigdy nie protestował.

– Czas – syknął ktoś z dalszego rzędu.

Zebrani spojrzeli na zegar znajdujący się nad drzwiami wejściowymi. Potem spojrzenia zgodnie przeniosły się na Dantego, który siedział z nieprzeniknioną miną. Wszyscy doskonale wiedzieli, że spóźnialstwo jest cechą, jakiej najbardziej u swoich ludzi nie lubił.

A czas płynął nieubłaganie. Sześć sekund, siedem, osiem, dziewięć...

Drzwi otworzyły się z traskiem i do sali wpadli obaj bracia. Byli zdyszani i najwyraźniej wściekli.

– Co macie na swoje usprawiedliwienie? – zapytał Dante, nie patrząc nawet w ich stronę.

Wypuścił piękne kółko dymu, które powoli rozpląwało się nad głowami najbliższych siedzących. Ducksonowie spojrzeli na siebie, potem na pozostałych, wreszcie odpowiedzieli jednocześnie:

– Ktoś nam podpierdolił Księżyc.

– Co? – Nawet Dante przyłączył się do chóru zdziwionych głosów.

Wszyscy w oddziale wiedzieli, że bracia mają hopla na punkcie Księżycy. Urodzili się na satelicie, dopiero jako nastolatki trafili na Ziemię. Wtedy też ku ogólnemu zaskoczeniu przejawili skłonności piromańskie. Puścili z dymem szkołę razem z dyrektorem, co zaowocowało pierwszym wyrokiem. Potem puścili z dymem więzienie, tym razem ofiar było dużo więcej, ale sporą ich część stanowili przestępcy, więc braciszczkowie nie dostali czapy. Przeniesiono ich do kopalń Księżycy, gdzie mieli pracować na otwartych wyrobiskach. Zresztą przy braku atmosfery nie było też okazji do zaproszenia ognia. Ale Ducksonowie nie próżnowali. Nauczyli się wysadzać skały. Niejako naturalną kolejną rzeczą wysadzili zarząd kopalni i kilka statków z urobkiem. Działo się to dość dawno temu, podczas rewolty górniczej. Goście mieli farta i choć sami nie wyznawali żadnej ideologii, zostali okrzyknięci bohaterami Satelitarnej Rewolucji. Co sobie wysadzili, to sobie wysadzili. W każdym razie po stłumieniu powstania przez siły porządkowe korporacji Bytom Space Mining obaj trafili po raz kolejny przed sąd. Nastroje na Ziemi były w tym czasie dość rozgrzane, dlatego postanowiono pozbyć się ich definitywnie. Nie można było skazać na śmierć przywódców ruchu robotniczego – to groziło kolejnymi buntami. Dlatego zdecydowano się na zamrożenie wybuchowych braci. Na sto pięćdziesiąt lat. Obudzono ich tego samego dnia co i Dantego. Spotkali się w poczekalni orbitalnego zakładu penitencjarnego. Pat właśnie wychodził, gdy oni awanturowali się przy okienku o jakiś przedmiot, który leżał w depozycie. Był to niewielki globus przedstawiający Księżyc, jedyny dar, jaki otrzymali w uznaniu zasług dla Rewolucji. Bezcenna dla Ducksonów pamiątka z tamtych czasów.

W oddziale krążyła legenda mówiąca, iż na globusiku zapisane są dane wiodące do niezmiernych skarbów, które górnicy mieli zrabować podczas rebelii, ale nikt nie potrafił ich pokazać palcem ani tym bardziej rozszyfrować. Bracia strzegli globusa, jakby on sam był największym skarbem. Oficjalnie

trzymali go jako pamiątkę, może nawet fetysz, i zawsze mieli gdzieś w bagażach. Nie ważył wiele, nie zabierał miejsca, nawet dało się nim otwierać piwo, co bezsprzecznie przekonało resztę oddziału do wartości, jaką przedstawiał.

– Jak to: podpierdolił? – zdziwił się Ragnarok. – Ukradł? Tak po prostu ukradł?

Bracia pokiwali głowami.

– Kiedy?

– Na Marsie – powiedział cicho Jar.

– Ale jak? – dopytywał się Ragnar. – Kto?

– To te dziwki z... – Leo zaczął mówić, ale brat szybko go uciszył.

– Wpuściliście dziwki do swojej kwatery?! – zdziwił się Adolf.

– Mówię o celniczkach... – zreflektował się drugi z Ducksonów, zanim do Dantego dotarł sens poprzednich słów.

– Siadać! – Pat uciął dalszą dyskusję. – Macie szczęście, że zabrakło sekundy do karniaka. Byłoby podwójne nieszczęście.

– To zły znak – mruknął jeden z bliźniaków, gdy już wykonali polecenie dowódcy.

– Dla Marsa – dodał drugi, robiąc znaczący gest.

– Ulepimy wam nowy! – krzyknął Pacyfa, wydlubując coś z nosa, i wybuchnął śmiechem, a reszta oddziału mu zawtórowała.

Ducksonowie nie śmiali się z innymi.

– Cisza. – Dante wstał i zgasił cygaro, rozcierając żar na utwardzonej wewnętrznej stronie dłoni. – Za trzy dni rozpoczynamy naszą operację. Do tego czasu musimy być zapięci na ostatni guzik. Czy ktoś z was wie, co kryje się za słowami Nowy Raj?

Nie wiedzieli. Nie starali się nawet tego ukryć.

– Nie dziwię się. Sam nie wiedziałem do momentu spotkania z nadzarcą sektora w Korporacji Korba. Ale po kolei... Dwa miesiące temu bezzałogowa sonda, wysłana w kosmos przez nieistniejącą już dziś sektę religijną Moona z misją poszukiwania śladów Boga, zbliżyła się do niesklasyfikowanego systemu planetarnego. Czujniki sondy wykryły obecność planety o zbliżonym do ziemskiego składzie atmosfery...

Szum, który rozległ się na sali, był zrozumiały. Jeśli Dante mówił prawdę,

była to dopiero druga taka planeta odkryta przez ludzkość w niezmiarzonej przestrzeni wszechświata. Pierwsza – Ziemia 2 - kosztowała cywilizację biliony kredytów i setki milionów istnień ludzkich. Wielu z obecnych było tam w najgorętszym okresie wojny.

– Nie muszę mówić, jakim echem odbiła się ta wiadomość, gdy odebrano ją w Sztapie Dalekiego Zasięgu. W każdym razie jakiś cwaniaczek powiadomił najpierw rządy Protektoratu Teksańskiego Oceanii i Obu Ameryk, Polsko-Eurazjatyckiej Rzeczypospolitej Przestrzennej i Cesarstwo Kontynentalne. Te postanowiły zataić informację o odkrytej planecie do czasu zabezpieczenia jej przed nową wojną. Sprawie nadano kryptonim Nowy Raj. Podobno mamy do czynienia z planetą nadającą się do zamieszkania bez jakiegokolwiek terraformingu. Mając w pamięci niedawne unicestwienie Ziemi 2 z góry założono, że wszystkie liczące się korporacje i ich armie staną do walki o nowe terytoria. W każdym razie planeta została poddana kwarantannie. Otoczono ją szczelną siecią obrony satelitarnej i podzielono na sektory wzdłuż południków i równoleżników. W sumie jest tych sektorów trzysta sześćdziesiąt.

Dante umilkł na chwilę, by dać im szansę na przetrwanie informacji. Nie było chętnych do zadawania pytań, więc szybko przeszedł do dalszych wyjaśnień.

– Oczywiście, korporacje dowiedziały się o tym już dość dawno i wysłały w pobliże planety swoje statki. Z tego co wiem, było już ponad siedemdziesiąt prób złamania blokady, ale żadna nie odniosła skutku.

– A jaki mają tam system obrony? – zapytał Pacyfa.

– „Cerberus“.

– No to przesrana sprawa – mruknął najemnik.

– Słucham?

– Powiedziałem, że to przesrana sprawa. Znam Cerbera od podszewki, on nie przepuści niczego i nikogo.

– To się okaże...

– Nie ma takiej możliwości...

– Jeszcze słowo, Pacyfa, a będziesz miał okazję sprawdzić, jak Cerber reaguje na człowieka w skafandrze, szybującego w przestrzeni... – Palec wskazujący Dantego powędrował w kierunku mamroczącego najemnika, co spowodowało natychmiastową ciszę. – Wracając do tematu. Tydzień temu oba

rządy ogłosiły, iż opracowano plan, który pozwoli uniknąć konfrontacji przy zajmowaniu nowej planety. Każda z firm może wykupić prawo do eksploatacji pewnej liczby jej sektorów. Siły zbrojne połączonych imperiów rozmieściły znaczniki na powierzchni Nowego Raju. Rozpoczęto też sprzedaż specjalnych kart. W połączeniu ze znacznikami pozwolą one zaliczyć dany teren dla korporacji, która je wykupiła. To rozwiązanie jest bardzo podobne do wielkich wyścigów, jakie przed ponad trzystu laty urządzano na Ziemi. Wtedy kontynent amerykański był jeszcze dziewiczym lądem. Koloniści startowali do wyścigu o działki na podobnej zasadzie. Musieli jako pierwsi dotrzeć do określonego terenu i zatknąć na nim swoją flagę...

– Mamy wystartować w takiej imprezie? – zapytał Doom.

– Niezupełnie.

– Mamy rozpieprzyć tych, co startują – rzucił domyślnie Ragnarok.

– Niezupełnie.

– Mamy chronić speców Korby podczas lądowania? – Andrzej był całkiem bliski prawdy.

– Też.

– Kurwa, chefe, przecież to nie holoturniej – zdenerwował się Raoul. – Jakie jest nasze zadanie?

Dante odczekał chwilę, ssąc zgaszone cygaro i rozglądając się po zaciekawionych twarzach.

– Mamy wylądować na planecie przed zakończeniem kwarantanny – oznajmił tonem, jakim zazwyczaj informuje się o zatkanym kiblu albo innej równie trywialnej awarii – i umożliwić zbadanie naukowcom Korby jak największej jej części, zanim rozpocznie się wielki wyścig. Korporacja nie chce inwestować miliardów w ciemno. Kwarantannę przedłuża się już po raz piąty czy szósty. Istnieją podejrzenia, że na dole dzieje się coś niedobrego. Dlatego musimy być tam pierwsi.

– Bez jaj... – Pacyfa niemal zerwał się z krzesła.

– Ja wolałbym wylądować z jajami, ale skoro prosisz... – wycedził Dante, piorunując podwładnego wzrokiem. – Siadaj, Pacyfa, i zamknij pysk, jeśli nie masz nic do powiedzenia!

– Ależ mam. – Najemnik stracił rezon, ale się nie poddawał. – Byłem z chłopakami z Moskowskij Gieneral Elektrics na Trytonie w sześćdziesiątym

trzecim. Spuszczaliśmy desant na kopalnie helium, pozostające pod jurysdykcją Kontynentalnego Cesarstwa. Nie wiedzieliśmy, że kupili Cerbera. Z trzystu kapsuł na powierzchnię dotarły trzy, i to uszkodzone.

– Ty jakoś przeżyłeś – wtrącił Ragnarok.

– Byłem adminem skanerów na krążowniku, który wysadzał desant – odciął się Pacyfa. – Dwa tysiące chłopaków poszło w sześć minut do piachu...

– Raczej w metan... – rzucił jeden z siedzących dalej najemników. – Tryton to śmierdząca bryła metanowego gówna.

– Kurwa, gościu – Pacyfa wyglądał na poważnie zdenerwowanego – śmieję się, śmieję. Ciekawe, jak będziesz wyglądał, kiedy laserowy promień grubości mojej nogi wypruje ci flaki.

Dante wstał i podszedł do zdenerwowanego brodacza.

– Trzy kapsuły przedarły się wtedy przez zasłonę – powiedział spokojnie.

– Teoretycznie...

– To znaczy?

– Rozpieprzyły się o powierzchnię planety. Chłopcy pod ostrzałem spanikowali i...

– My nie spanikujemy... – przerwał mu Dante, ale nikt go nie poparł, choć zawiesił na moment głos, dając swoim ludziom okazję do wyrażenia entuzjazmu.

– Nowe Cerbery są szybsze i dokładniejsze – kontynuował niezrażony Pacyfa.

– A my jesteśmy mądrzejsi i lepiej przygotowani – odparował natychmiast Dante. – Słuchajcie mnie uważnie, bo nie będę powtarzał. Plan, który opracowałem w porozumieniu z naukowcami korporacji, daje nam duże szanse powodzenia. Myślicie, że oni ryzykowaliby życie swoich najlepszych mózgowców? Jeśli ktoś zginie w tej akcji, może mieć pretensje tylko do siebie. A teraz powiem wam, dlaczego...

Szmery rozmów przycichły jak nożem uciął, ledwie wypowiedział te słowa. Usatysfakcjonowany efektem Dante podjął:

– Na pokładzie tego transportowca znajdują się cztery eksperymentalne orbitery marki Romet Spacer Cruiser. To naprawdę nowatorskie rozwiązanie techniczne. Zamiast napędu cząsteczkowego zastosowano w nich układy stabilizacji grawitacyjnej. To oznacza, że po przekroczeniu strefy ostrzału

możemy poruszać się po planecie bez ryzyka wykrycia przez systemy skanujące powierzchnię. Będziemy niewidzialni dla tych fiutów na orbicie.

– Najpierw trzeba pokonać strefę ostrzału – mruknął Pacyfa.

– Zaraz do tego dojdę – odpowiedział Dante, ponownie sadowiąc się na swoim miejscu. – Rzecz nie jest prosta, ale przy takim nakładzie środków, na jaki mogła sobie pozwolić Korba, jak najbardziej wykonalna. Zapewne wiecie, że Cerber to sieć satelitów zaprogramowanych na niszczenie celów, które wtargnęły do strefy rażenia. W wypadku Nowego Raju jest to przestrzeń orbitalna o szerokości ponad sześciuset kilometrów. Według naszych obliczeń, szacowany czas przelotu przez niebezpieczną strefę będzie wynosił około trzech minut...

– Trzy sekundy wystarczą, żeby z każdego myśliwca została chmura wolnych atomów. – Słowa Pacyfy odbiły się od sklepienia sali i powróciły do zebranych odbitym echem.

– Trzy sekundy wystarczą, żebyś wypluł wszystkie zęby. – Dante nie stracił rezonu, mimo że znów mu przerwano.

– Chefe, ja tam się nie znam na satelitach – Hitler wstał dla podkreślenia wagi słów, które zamierzał wygłosić – ale słyszałem co nieco o Cerberze. Dają na niego sto procent gwarancji...

– Do dzisiaj tak było – zbył go dowódca. – My to zmienimy.

– Ciekawe jak... – Sceniczny szept z kąta dotarł do wszystkich.

– Ty, Pacyfa – Dante zareagował błyskawicznie – jako wątpiący umocnisz swoją wiarę, przynosząc tu skafander. Na własnej dupie, i to w dwie minuty. Ruszaj, niewierny Tomaszu!

– Ale... – próbował się bronić najemnik.

– Zapierdalaj, gościu niedzielny, po swój przestrzenny kondonik, bo jeszcze jedno słowo, a przerobię cię na pokojowo nastawionego przeżuwacza.

– Tak jest! – Pacyfa wyprężył się i nie widząc jakiegokolwiek reakcji ze strony swoich towarzyszy, wybiegł z sali.

– Widzę cię za dwie minuty – pożegnał go Dante, do zebranych zaś powiedział: – Korba obiecała nieograniczone środki, a ja opracowałem prosty plan...

* * *

Tak to się zaczęło. Plan był rzeczywiście prosty. Korba przygotowała cztery ładownie „Lecha”, zamieniając je w pięćdziesięciometrowej grubości pancerze. W dolnej, przyrdzeniowej części każdej z nich umieszczono na włązie awaryjnym jeden ze Spacerów. Założenie było proste. Wypełnione wszelkiej maści złomem i masami absorpcyjnymi przestrzenie górnych pokładów miały przyjąć na siebie główny impet i ogień satelitów. Stabilizowane dziesiątkami maleńkich dysz ogromne kontenery powinny ustawić się pod takim kątem, by ostrzał z satelitów trafiał w powierzchnie najbardziej oddalone od promów. To powinno dać znajdującym się wewnątrz ludziom około minuty. Ostrzał prędzej czy później doprowadziłby do całkowitej destrukcji ładowni, zatem opracowano system mający w krytycznym momencie odpalić ładunki wybuchowe. Rozerwą one stalowe konstrukcje i wyrzucą w przestrzeń tysiące odłamków, które skupią na sobie ostatnie salwy laserowych Cerberów. Dante przypuszczał, podobnie jak większość analityków Korby, że w wypadku symulowanej katastrofy dowództwo Zjednoczonej Floty nie uruchomi procedur alarmowych i siła ognia satelitów pozostanie na poziomie zapobiegawczym.

To był jedyny słaby punkt planu. Zaporowy ostrzał przypadkowych obiektów dawał szansę na przebicie się przez martwą strefę. Zmasowany ogień obliczony na intruzów nie pozwalał nawet na myśl o przetrwaniu. Dlatego najwięcej wysiłku włożono w upozorowanie widowiskowej katastrofy wartego kilkadziesiąt milionów kredytów statku. Specjalnie zakupiony w tym celu na czarnym rynku myśliwiec miał za zadanie staranować rdzeń flagowego transportowca Korporacji i wytrącić go z zajmowanej orbity. Przy odrobinie szczęścia dowódca sektora mógł nawet wyłączyć procedury blokady, na to jednak ani Dante, ani jego mocodawcy nie liczyli. Nadzieję pokładali w dobrze zainscenizowanej scenie katastrofy.

I słusznie.

Dante zapiął pasy na sekundę przed pierwszym trafieniem. Wnętrze myśliwca zatrzęsło się konwulsyjnie.

– Zakładać hełmy – rozkazał.

Wykonali polecenie jak jeden mąż. No, prócz Hitlera, którego hełm, zamiast trafić na głowę, zawisł nad podłogą. Zaskoczony Brazylijczyk spoglądał z głupkowatą miną na Pata.

– Podnieś to, suczy synu, zanim rozpierdoli nam komputery przy kolejnym trafieniu.

Murzyn uderzył otwartą dłonią w sprzączkę i pasy popłynęły na boki. Olbrzym odchyłał się powoli w kierunku szklano-metalowej kuli, kiedy kolejne bliskie trafienie zatrzęsło komorą. Siła wstrząsu była tak duża, że nie zdołał wyhamować pędu i z hełmem w dłoniach poleciał wprost na przerażoną Keteę. Kobieta zamknęła oczy i zasłoniła się rękami. Uderzenie jednak nie nastąpiło. Ragnarok wychylił się na tyle, na ile pozwalały mu pasy i chwycił za kostkę przelatującego Adolfa. To wystarczyło, by powstrzymać żywą torpedę.

Ketea otworzyła oczy i ujrzała tuż przed swoim wizjerem wykrzywioną w szerokim uśmiechu spoconą twarz Hitlera. Ragnar szarpnął go w przeciwną stronę i dwumetrowy Murzyn poleciał na swój fotel. Wyrznął plecami o jedno z ramion ochronnych, ale zapanował nad bólem i wciągnął się do elipsoidalnego wnętrza. Najpierw założył hełm, potem, podskakując nieporadnie, usiłował zapiąć wszystkie pasy. Z trzema sobie poradził, końcówka czwartego zwisała daleko poza zasięgiem jego długich rąk. Spojrzał na Dantego. Ten z dezaprobatą pokręcił głową.

– Zabiję cię, czarnodupcu – powiedział, powoli cedząc słowa. – Jeśli przeżyjesz ten lot, własnoręcznie cię zabiję.

– Trzydzieści sekund w strefie – zameldował tymczasem Doom, który siedział odwrócony do nich plecami i obserwował przyrządy podłączone do setek czujników rozmieszczonych w całym module.

– Jakie zniszczenia? – zapytał Dante.

– Sześćdziesiąt procent strefy bezpieczeństwa, chefe. Wytrzymamy jeszcze ze... dwadzieścia sekund. Potem zrobi się gorąco.

– Przygotuj się do odpalenia ładunków. Ale czekaj na rozkaz. I sprawdź, co z pozostałymi grupami.

– Tak jest. – Metys szybko przebiegał palcami po klawiaturze, przerywając jedynie w momentach, gdy kolejne trafienia penetrowały najbliższą przestrzeń orbitera.

– Dwójka ma lepiej, trójka to samo, czwórka osiemdziesiąt procent.

Czwórka to byli chłopcy z Neptuna. Świeża krew w oddziale. Trzech najemników przejętych z korporacji Pol „Hot” Pot Food Industries. I przydzielony do nich weteran wojny o Ziemię 2, Andy „Mason” Booker. Dostał

tę robotę, gdyż nie było drugiej osoby w oddziale tak dbającej o szczegóły. W regularnej armii byłby idealnym sierżantem, a w cywilu potencjalną ofiarą przerażającej zbrodni. Potrafił poprawić wszystkich, nawet Dantego, co wiele razy kończyło się maksymalnymi karami. A jednak nigdy nie rezygnował, mając okazję do poprawienia kogoś.

– Daj im sygnał do wcześniejszego odpalenia. Niech nie czekają na nas.

– Tak jest! – Doom zrobił kolejny odczyt i rzucił: – Siedemdziesiąt procent.

Dante pochylił się do Ketei i postukał w jej hełm. Spojrzała na niego przestraszonymi oczami. Wskazał na przełącznik interkomu. Zapomniała włączyć się do sieci. Kobieta patrzyła na niego przez chwilę, a potem zrozumiała, co ma na myśli, robiąc dziwne gesty. Uśmiechnęła się i przycisnęła językiem niewielki sensor.

– Wreszcie! – ryknął Dante wprost w jej implant, aż podskoczyła. – Nie zapominaj, laluniu, że bez tego sprzęcicha jesteś głucha jak pień. To nie takie trudne, przelecieć językiem po klawiaturze. Zwłaszcza dla kobietki.

– Przepraszam – szepnęła, nie zwracając uwagi na podteksty. Najzwyczajniej w świecie porażał ją strach. Typowa reakcja u ludzi znajdujących się po raz pierwszy w akcji.

– Nie przepraszaj, Andzia, tylko sprawdź następnym razem dwa razy. Zbliżamy się do najniebezpieczniejszej części tej wyprawy. Sekunda spóźnienia w reakcji na rozkaz może cię kosztować życie. Zrozu...

– Chefe! – Krzyk Dooma zaskoczył wszystkich. – Czwórka odpala, są o szesnaście sekund przed harmonogramem. Ostrzał nadal silny.

– Monitoruj ich orbiter! – Dante odsunął się od mamroczącej coś kobiety i otworzył panel komputera ukryty na poręczy fotela.

– Doom, czy możemy odciągnąć jakoś ogień od ich sektora?

– Ten Fryzjer, Krawiec, czy jak mu tam, powinien teraz skamleć u Zwiebellusa, ale nie wiem, czy to coś da. Cztery sekundy do odpalenia. Trzy, dwie... Kurwa, czwórka oberwała w sekcję stero...

Głos Dooma zniknął w ogłuszającym ryku, który przetoczył się przez kabinę. Wstrząs był tak silny, że pasy bezwładnościowe zacisnęły się na kombinezonach z siłą imadła. Ragnarok tylko napiął mięśnie, Hitler jak zwykle dał się zaskoczyć. Jego otwarte na całą szerokość usta i wybałuszone oczy świadczyły, że walczy o dodatkowy tlen. Dante spojrzał na Dooma, ale widział tylko jego

ramiona spoczywające na klawiaturze. Metys poruszał sprawnie palcami. Za to rzut oka w kierunku Ketei podniósł mu adrenalinę. Szyba jej hełmu była strzaskana i zakrwawiona. Zaskoczona kobieta poleciała bezwładnie do przodu i wykładzina hełmu nie zatrzymała jej czoła przed zetknięciem się z chłodną powierzchnią krystalitu. Teraz zwisała w fotelu. Najemnik spróbował sięgnąć do jej ręki, ale kolejne wstrząsy uniemożliwiły mu uchwycenie śliskiej powierzchni skafandra. Pieprzone głupki z Korby. Ubrali swoich ludzi w nowoczesne, ale zbyt lekkie i nie przystosowane do warunków bojowych kombinezony.

– Doom, jak tam czwórka? – Przypomniał sobie o ostatnim meldunku nawigatora.

– Brak odczytów. Jak coś się zmieni, zamelduję. – Głos Dooma był spokojny, ale wyczuwało się w nim napięcie.

– Nie chrzań, Doom. Za ile powinni przerwać ostrzał? – Dante odpiął pasy i nie zważając na rosnące ciśnienie, przyciągnął się do Ketei.

– Pięćdziesiąt sekund.

– Obserwuj i melduj. – Pat był już przy kobiecie i podnosił jej głowę ukrytą w kulistej skorupie hełmu. Kawałki krystalitu wypadły z pękniętej osłony i szybowały powoli w kierunku podłogi, mijając pulsujące, szkarłatne krople cieczy, która musiała być krwią. Dante odwrócił hełm Ketei w kierunku najbliższej lampy, światło wtargnęło pod polaryzowaną osłonę. Zobaczył niewyraźny kształt twarzy. Diody po prawej stronie pulsowały pomarańczowym światłem. System podtrzymywania życia działał, ale rozhermetyzowanie kabiny, jak najbardziej możliwe w tej sytuacji, mogło błyskawicznie doprowadzić do śmierci doktor Tychoo. Dante rozejrzał się dokoła siebie.

– Adolf!

– Tak, chefe?

– Dawaj hełm.

– Jak to: dawaj hełm?

– Nie rozumiesz, czarnuchu? Hełm! Przed chwilą rzucałeś nim po całą kabinie.

– Ale...

– Hełm! – Ten okrzyk sprawił, że Hitler błyskawicznie odłączył kompozytową bańkę od swojego skafandra. Rzucił ją w kierunku dowódcy. Pat

złapał szybujący przedmiot i umieścił go obok fotela Ketei. Następnie ostrożnie zdjął jej własny kask i odrzucił go Adolfowi.

– I co mam z tym głównem zrobić? – zapytał przerażony Murzyn.

– Wsadź sobie do dupy, jak chcesz, albo załóż na ten pusty łeb.

Adolf obejrzał hełm. Wyprodukowała go ta sama noworosyjska korporacja. Miał standardowy kołnierz i podłączenia, ale był o generację nowocześniejszy od skafandra, a to zwiastowało problemy. Nikt nie widział do tej pory produktu Micro-Sun-Softu, który pasowałby do starszej wersji. Co innego w drugą stronę. Stary hełm jak najbardziej pasował do nowego skafandra...

– Ale, chefe, osłona jest stłuczona. Jak nas trafią...

– I tak miałem cię zabić po wylądowaniu...

Śmiech Ragnaroka i Dooma wypełnił hełmy wszystkich. Ketea drgnęła w swoim kokonie, Dante sprawdził, czy wszystkie kontrolki wewnątrz zapaliły się właściwym kolorem. Wyglądało na to, że hełm pasuje.

– Chefe, mam problem... – Głos Hitlera był daleki od basu, jaki wszyscy znali.

– Co jest?

Rzut oka w kierunku Adolfa wyjaśnił wszystko. Niebieski kolor wyświetlaczy odbijających się w spękanej osłonie hełmu mówił sam za siebie. Błąd krytyczny oprogramowania.

– Trzeba skontaktować się ze sprzedawcą – rzucił Ragnar.

– To może być trudne – wpadł mu w słowo Doom. – Dante go zastrzelił, bo za bardzo się targował.

– Jaja sobie robicie z pogrzebu. – Adolf zbiełał. – Jak nas trafią, to po mnie.

– A jak nie trafią, też pójdziesz do piachu – podsumował Ragnarok. – Masz krechę u szefa.

Hitler zdecydowanym ruchem zdjął hełm.

– Pierdolę was, nie zeskrobiecie mnie z siebie przez następny tydzień, jeśli coś rozhermetyzuje kabinę – powiedział i wyprostował środkowy palec w archaicznym geście, którego nauczył ich Dante.

* * *

Nie rozhermetyzowało kabiny. Ale niewiele brakowało i Adolf zmuszony

został do założenia hełmu i uszczelnienia go taśmą klejącą. Jego zwieracze nie wytrzymały tak długo, jak to sobie zamierzył, i nieprzyjemny zapach, towarzyszący temu zjawisku, wydostawał się poza kombinezon pomimo uszczelnień ze srebrzystej wstęgi plastomeru. Klął potem ile wlezie, aż Dante kazał mu wyłączyć interkom.

Orbiter wszedł nareszcie w atmosferę. Ogień satelitów zgodnie z oczekiwaniami umilkł w momencie, gdy przebili się przez strefę obronną. Teraz dryfowali w towarzystwie tysięcy odłamków pozostałych po eksplozji ładowni. Nie hamowali, by nie rzucać się w oczy. Rozpalony do białości pancierz statku uniemożliwiał im komunikację i odbieranie sygnałów z pozostałych jednostek. Czwórka niestety nie odezwała się po trafieniu. Musieli uznać ją za straconą. Szkoda im było Masona, facet prócz pedanterii miał też kilka ciekawszych cech charakteru. O kotach nikt nie mógł powiedzieć dobrego słowa, przecież ledwie zaciągnęli się do oddziału. O naukowcach wszyscy zapomnieli.

Robiło się gorąco. Systemy chłodzenia pracowały pełną parą, a temperatura wciąż rosła.

– Nie przeginajmy, Doom – powiedział Dante, gdy termometr wskazywał sto sześćdziesiąt osiem stopni Celsjusza. – Włącz generatory. Hamujemy.

– Tak jest! – Metys podobnie jak Hitler pochodził ze strefy tropikalnej i znosił upał lepiej od Ragnaroka i Dantego. Ale teraz, nawet w klimatyzowanych kombinezonach, wszyscy czterej czuli się jak na patelni. Zwłaszcza Hitler, któremu przesłona hełmu całkowicie zaparowała. Wprawdzie obwiązał pęknięte miejsce grubą warstwą taśmy, co niemal pozbawiło go możliwości patrzenia, ale pełną izolację i tak szlag trafił.

Dante klepnął go w ramię. Zaskrzeczał włączany interkom.

– Żyjesz jeszcze, mein führer?

– Żyję.

– To dobrze, bo mam szczerą ochotę kogoś zabić...

Roześmieli się wszyscy prócz Adolfa.

– A co z doktorówką? – zapytał Murzyn, gdy umilkły chichoty. – Mam nadzieję, że moja bohaterska śmierć nie pójdzie na marne...

– Jeszcze nie doszła do siebie, ale jej skafander jest w porządku.

– Dobre i to.

– Wiesz, Adolf... – Dante pochylił się nad nim i popukał w zaparowany i

pokryty siatką mikropęknięć krystalit obok krawędzi taśmy – dobry władca z okazji zwycięstwa ogłasza amnestię. Wiesz, co to znaczy?

– Ostrożnie, chefe – jęknął Hitler, gdy osłona niebezpiecznie zazgrzytała pod naciskiem dłoni.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie, czarnuchu – napomniał go Pat.

– Przeżyję, ale wszystkie kible są moje – mruknął cicho Hitler.

– Niezupełnie...

– Mam darowane? – zdziwił się Adolf.

Dante spojrział na niego z pobłażaniem.

– Czy ja kiedyś coś komuś darowałem?

Hitler z nadzieją spojrział na chłopaków. Kręcili głowami.

– No to nie wiem...

Dante uśmiechnął się pełną gębą.

– Kible będą wstępem do prawdziwej kary.

– To chyba już wolę zginąć – odparł Adolf, ściągając hełm.

– Twoje prawo. – Dowódca odsunął się od niego. – Zanim jednak wykonamy wyrok, powiem ci jedno...

– Tak, chefe?

– Teraz już wszyscy wiemy, jak cuchnie z murzyńskiego szałasu...

Ten zgryźliwy przycinek ponownie rozładował atmosferę. Dante wrócił na swoje miejsce, a Adolf szybko założył swój kask.

– Jak wyglądamy, panie Doom? – zapytał Pat, sadowiac się w fotelu.

– Jak bezwładny kawał metalu, spadający z wysokości tysiąca kilometrów, chefe.

– Ile mamy do powierzchni planety?

– Czterdzieści siedem kilometrów.

– Odpalaj.

– Ta jest!

– I niech ktoś ocuci Rewolwera – rzucił Dante, zanim zaczęło naprawdę trząść. – Znowu będzie marudził, że przespał najlepsze.

* * *

Widok był naprawdę imponujący. Lazurowa powierzchnia oceanu, szeroka

piaszczysta plaża, kępy gęstych, szmaragdowych zarośli i błękitne niebo. Jak na panoramach w Muzeum Historii Naturalnej. Stali we czwórce na skraju wydmy i spoglądali na rozciągającą się aż po widnokrąg plażę.

– Ale tu, kurwa, pięknie – mruknął Doom.

– Tak... – Dante wyglądał na zamyślnego.

– Chefe, tak sobie pomyślałem – Andrzej podszedł do nich – że pan, jako pierwszy człowiek, który stawia nogę na tej ziemi, mógłby wymyślić dla niej jakąś nazwę.

– No! – Doom wyraźnie zapalił się do tego pomysłu. – Na przykład...

Wybrzeże Kości Alienowej albo...

– Zamknij się. – Pat przykleknął i nabrał piasku w rękawicę skafandra. –

Nazwiemy ten kontynent Toy Land.

– Toy Land? Kraina zabawek? – zdziwił się Raoul, który z racji pochodzenia znał trochę lokalne języki obu Ameryk.

– Nie dość, że głupek, to jeszcze sklerotyk. – Andrzej poszedł w ślady dowódcy i też zaczął przesypywać piasek. – Nie pamiętasz tej mikrej laski, o której opowiadał patron? To będzie Kraina Toy.

– Ale dlaczego jej?

– Dawno temu na Ziemi istniało podobne miejsce. Miejsce, do którego zabrała resztę moich ludzi... – rzucił Dante, wstając i otrzepując resztki złotych ziarenek z błyszczącego materiału. Wspomnień nie udało mu się tak łatwo strzepnąć.

– Ech, zrzuciłbym ten kombinezon i wykąpałbym się w oceanie – powiedział Andrzej, tęsknie patrząc na leniwy przybój. – Pierwszy raz widzę tak czystą wodę.

– Możesz się wykąpać – odparł spokojnym tonem Dante – ale musisz mieć świadomość, że nie wejdiesz później na statek. Wprawdzie nie mamy danych o lokalnej biosferze, ale w tutejszym powietrzu musi roić się od obcego mikrocyfu. Dopóki nie odwołają kwarantanny i nie wydadzą szczepionek, nikt nie zdejmie skafandra nawet na sekundę.

– Dlatego zostawiłeś Hitlera z panią doktor, chefe? – zapytał Doom.

Dante nie odpowiedział, skinął tylko głową i spojrzął w tył na obły kształt orbitera, stojącego na rozległej łące. No, może nie była to łąka w ziemskim tego słowa znaczeniu, ale coś, co bardzo przypominało mu zielone wzgórza Anglii,

zapamiętane z dzieciństwa.

– W porządku, panienki, dość tego melodramatu. Wracamy na statek. Za pół godziny zaczynamy operację Nowy Raj.

Andrzej i Doom ruszyli przez piasek, ale Ragnar nadal stał, patrząc na ocean.

– Potrzebujesz dodatkowego zaproszenia czy chcesz tu zostać, na stałe? – zapytał zdumiony Dante.

– Nie, wodzu – odparł cicho masywny nordyk – ale pomyślałem sobie, że wypadałoby wyprawić pogrzeb naszym zmarłym towarzyszom.

– Nie wiemy, czy oni... – zaczął Andrzej, ale Ragnar przerwał mu podniesieniem dłoni.

– Wiesz dobrze, że nie mieli szans.

– Ragnar ma rację – przyznał Doom. – Moglibyśmy...

Dante skinął głową. Potraktowali to jako przyzwolenie. Ragnarok wyjął wielki nóż, który nosił w kaburze na udzie, i podszedł do dziwnych krzewów rosnących opodal. Szybkimi ruchami ściał gruby jak przegub dłoni konar i ociosał go z mchowatych wyrostków. Dosłownie kilkoma ruchami laserowego ostrza wydłubał mięszowate wnętrze rośliny, nadając jej kształt niewielkiej łodzi.

– Co to ma być? – zapytał Doom przyglądający się tej dłubaninie z rosnącym zdziwieniem.

– Pogrzeb wikingów – odparł Ragnar, nie przerywając roboty.

– Wikingów? – zdziwił się Raoul. – Przecież koty nie były wikingami.

– Ale byli wojownikami. – Odpowiedź nordyka była prosta i logiczna. – Zresztą, przychodzi wam do głowy jakiś inny obrządek?

Nie odpowiedzieli. Miniatura drakkara była gotowa w kilka minut. Niewielki maszt ozdobił żagiel z chusteczki Andrzeja. Do środka wyżłobionego kadłuba włożyli kartkę z wypisanymi nazwiskami i pseudonimami poległych. Naukowców nie ujęli na tej liście. Nawet gdyby chcieli to zrobić, nie wiedzieli, jakie starcy nosili nazwiska.

Zanieśli łódź nad wodę i Ragnar wszedł po pas w lazurową toń. Postawił drakkara na falującej powierzchni i posypał kadłub oraz żagiel proszkiem z flary, będącej na wyposażeniu każdego kombinezonu. Odsunął się na krok i wyciągnął zabytkową zapalniczkę. Zawsze miał słabość do starych przedmiotów. Jego replika topora budziła zainteresowanie wielu antykwariuszy, a niektóre ciuchy

wprawiały w osłupienie nawet członków oddziału. Ragnar był w głębi duszy prawdziwym wikingiem. Szanowali to, tak jak on szanował ich dziwactwa i przyzwyczajenia.

Zapalił żagiel i popchnął półmetrową smoczą łódź na otwartą wodę. Proszek zajął się błyskawicznie, dymiąc na fioletowo. Ragnarok cofnął się do czekających na brzegu towarzyszy i razem odprowadzili wzrokiem płonący kawałek rośliny, symbolizujący łódź wikingów. Dopiero gdy kłęby dymu stopniały w wąską smużkę, odwrócili się i odeszli w głąb łądu.

– Nie wydaje wam się dziwne, że tak tu spokojnie? – zagadnął Doom.

– Dlaczego?

– Nie ma żadnych zwierząt, tylko te rośliny.

– Pewnie wypłoszyło je nasze lądowanie – stwierdził Andrzej.

– Nie. – Dominguez zatrzymał się i wskazał na ziemię. – Tu nie ma żadnych tropów, a to znaczy, że żadna istota nie przeszła po tym skrawku ziemi od bardzo dawna.

– Fakt. – Ragnarok przyjrzał się uważniej piaszczystej glebie. – Na takim podłożu ślady powinny być dobrze widoczne.

– Może to niezbyt uczęszczane miejsce. – Dante bagatelizował, zaprzątnięty zupełnie innymi myślami.

– Chefe, urodziłem się na skraju dżungli, spędziłem wiele lat polując. To idealne miejsce dla drapieżców. Tam – wskazał na prawo – jest strumień. Wodopój. Kiedy wy strugaliście łódkę, rozejrzałem się po jego brzegach. Nie ma tam śladu wypasu zwierząt. Żadnych podejść, nawet przy brodach.

– Czego to dowodzi? – zainteresował się Ragnarok.

– Niczego, absolutnie niczego. – Doom odruchowo podrapał się po gładkiej powierzchni hełmu, nie mogąc sięgnąć do głowy. – Tyle że po prostu nie jest normalne...

* * *

Badania składu atmosfery i otoczenia trwały całą dobę. W tym czasie najemnicy dokonali kilkunastu wypadów w głąb łądu i znieśli setki próbek dla zespołów naukowych. Powierzchnia planety rzeczywiście wyglądała jak Raj opisywany w Biblii. Bujna roślinność, o małym stopniu toksyczności, atmosfera

zbliżona do ziemskiej, o zawartości tlenu znacznie powyżej zapotrzebowania. Woda krystalicznie czysta, nawet w morzach pozbawiona słonego posmaku. Żadnych większych zwierząt, a i tych małych jak na lekarstwo. W ciągu pierwszych godzin po wylądowaniu zaobserwowali jedynie owady i szybujące wysoko skrzydlate stwory, które nazwali z braku lepszego określenia ptakami. Pierwszy etap prac badawczych polegać miał na zbadaniu otoczenia, dopiero po uzyskaniu tych wyników i porównaniu ich z danymi przekazanymi przez Flotę mieli zająć się właściwym zadaniem, czyli uaktywnieniem sond dla przeanalizowania złóż pierwiastków ukrytych pod powierzchnią ziemi i wody. Dante siedział w sterowni orbitera paląc cygaro i obserwował na monitorach postępy prac swoich zespołów. Jak na razie nie natrafili na nic ciekawego. Atmosfera pełna była obcych bakterii i wirusów, dlatego wolał nie ryzykować kontaktu z tutejszą naturą, dopóki nie okaże się, że jest to absolutnie bezpieczne, i choć chłopcy tęsknie spoglądali na ocean i jeziora, nie pozwolił nikomu na rozszczelnienie skafandra. Swój hełm odstąpił chwilowo Hitlerowi, który otrzymał zaszczytne zadanie przeprowadzenia wierceń w głębi buszu.

– Chefe... – Doom nie opuszczał statku i razem z Keteą stanowił szkieletową załogę orbitera, wspomagając panią doktor w jej badaniach i komunikacji z pozostałymi zespołami.

– Co jest? Dym ci przeszkadza?

– Też. – Ton głosu Metysa wskazywał, że chodzi o coś poważniejszego. – Namierzyłem częstotliwość cesarskich piesków.

– Daj ich na deszyfrator.

– Ta jest...

Przez moment w głośnikach coś syczało i trzeszczało, ale po chwili przekaz stał się czytelniejszy.

– Młot Jeden do Kowadła, Młot Jeden do Kowadła... – Beznamiętny kobiecy głos mógł należeć równie dobrze do żywej osoby, jak do komputera. – Melduję, że namiar zakończony. Szesnastka gotowa do eliminacji.

– Przyjąłem. – Odpowiedzi udzielił głos równie bezpłciowy. – Eliminacja w toku.

Rozmowa się urwała. Dante popatrzył na Dooma, a ten wzruszył ramionami.

– Eliminacja?

– Tak powiedzieli.

– Wiesz, co to znaczy.

Dominguez pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

– Ktoś tu coś likwiduje – zamyślił się Dante. – Pytanie tylko co, a może raczej kogo... Trzeba się dowiedzieć. Przekaż pozostałym, żeby uważali. Na powierzchni planety są nie tylko zespoły naukowe.

– Lepiej włączmy kamuflaż. – Doom znany był z tego, że zawsze myślał o swoim bezpieczeństwie.

– Dobry pomysł.

Cichy syk oznajmił im, że nie są sami. Dante odwrócił się do wejścia. Stała w nim zaspana Ketea. Nadal miała na sobie kombinezon kamuflujący jej kształty. Tylko hełm odstawiła, nie potrzebowała go wewnątrz statku.

– Dlaczego nie pozbędziesz się tego kokonu? – zapytał Pat.

– Słucham?

– Dlaczego nie zdejmiesz kombinezonu?

– Przepisy...

– Pieprz przepisy, laluniu, zapocisz sobie tylko... – urwał, czując niezręczność sytuacji. Nie należała do oddziału. Od tak dawna nie miał pod sobą... pod rozkazami... kobiety. – Nieważne, na statku nie musisz nosić skafandra. Nic nam nie grozi.

– W razie infekcji... – zaoponowała, aczkolwiek bez przekonania.

– W razie infekcji zdążysz wskoczyć w swoje wdzianko. Zresztą, co ja się będę tobą martwił... – Dante odwrócił się do ekranów i Dooma.

– Dobrze, pójdę się przebrać... – Ponowny syk drzwi oznajmił im, że wyszła.

Zostali sami, choć nie na długo. Wachta ciągnęła się jak guma do żucia, ale nie miała posmaku mięty. Hitler i naukowcy pobierali próbki z różnych głębokości. Andrzej sprawdzał sondą dno oceanu, a Ragnarok rozstawiał automatyczne stanowiska bojowe. Rutyna... Syk otwieranych drzwi znów przerwał rozmyślenia Dantego. Rzucił okiem na wejście. Rzucił, ale nie odwrócił już wzroku. Obcisły jednoczęściowy kombinezon pokładowy z logo Korporacji okrywał niezwykle zgrabne kobiece ciało. Niezbyt szerokie biodra, wąska talia i mocne ramiona. Tyle zauważył w przytłumionym oświetleniu. Idealne proporcje.

– Ekran jest tam, panie Dominguez – powiedział, nie próbując nawet sprawdzić, czy Doom też gapi się na doktor Tychoo.

– Ta jest – usłyszał i wiedział, że trafił w dziesiątkę.
– Czy tak jest lepiej? – zapytała Ketea, podchodząc uwodzicielskim krokiem.
– Nie sądzę...
– Nie rozumiem... – Zatrzymała się lekko speszona. Z tej odległości widział wyraźnie wypukłość kombinezonu opinającego ściśle jej biust.
– Myślę, że powinnaś założyć coś... bardziej uniwersalnego...
– Czyli?
– A skąd ja mam to wiedzieć! Może jakiś fartuch...
Kobieta roześmiała się głośno.
– Ach, o to chodzi – powiedziała. – Powiedzmy, że nie chciałbym trzy razy dziennie słuchać wyliczeń, kto i kiedy cię zgwałcił.
– Rozumiem...
– Nic nie rozumiesz. Moi chłopcy mają tyle dziwek, ile chcą. Rzadko trafiają na kobiety, które nie żyją z nierzędu. Niektórzy mogą nawet nie zauważyć różnicy, jeśli im się tak pokażesz.
– Rozumiem – powtórzyła.
– Mam nadzieję.
– A ty?
– Ja? Co: ja?
– Jak ty to odbierasz?
– Ja jestem starszy niż twoi rodzice, nawet dziadkowie...
– Słyszałam, że byłeś zamrożony.
– Ktoś musi zatkać Hitlerowi tę jego czarną mordę.
– To nie on...
– A kto?
– Nieważne...
– Wolałbym wiedzieć, który sukinsyn nadaje...
– Może żaden z nich.
– Akurat... – nie dokończył i spojrzał na nią uważniej. – Czytałaś moje akta – bardziej stwierdził, niż zapytał.
Skinęła głową.
– Mogłem się tego domyślić. Macie w Korbie sporo dojsć.
Ponownie skinęła głową.
– Mnie to nie przeszkadza... – powiedziała, siadając na jednym z foteli.

- Ani mnie – odparł.
- Zatem nie mamy problemu.
- Też tak sędzę.

Milczeli przez chwilę. Dante spoglądał na monitory, Doom zezował dyskretnie na Keteę, a kobieta zupełnie otwarcie patrzyła na wielkiego najemnika.

- Chcesz o coś zapytać? – zauważył wreszcie jej spojrzenie.
- Dlaczego dałeś się zamrozić?
- Nie wiesz?

Pokręciła przecząco głową.

– Chefe był... – zaczął Doom, ale jedno spojrzenie dowódcy spowodowało, że zamilkł.

- Tak? – Ketea nie ustępowała.
- Naprawdę nie było tego w aktach? – zdziwił się Dante.
- Nie.

Wzruszył ramionami.

– W dwudziestym pierwszym wieku byłem najemnikiem. Dość znanym najemnikiem. Pracowałem dla kilku korporacji japońskich. Może będzie ci trudno w to uwierzyć, ale wtedy nie była to jeszcze prowincja Zjednoczonego Cesarstwa Kontynentalnego Tai-Pei, tylko prawdziwe mocarstwo. Świat wyglądał wtedy inaczej. Teksas był częścią państwa pokrywającego środkową część Ameryki Północnej. Ludzkość dopiero próbowała kolonizować Marsa... Polacy nadal wstępowali do Unii Eurosyjskiej. Nikt nawet w najśmielszych snach nie przypuszczał, że ją zdominują w zaledwie sześćdziesiąt lat, anektując jeszcze trzy czwarte Azji i tworząc podwaliny imperium zwanego do niedawna Rzeczpospolitą Przestrzenną.

- Fascynujące...
- Przecież wiesz o tym z podręczników historii.
- Nudne rozprawki nie mogą równać się z relacją naocznego świadka.
- Hm. – Dante uśmiechnął się półgębkiem, nie wypuszczając cygara z ust. –

W każdym razie było o wiele ciekawiej niż teraz. Wyprawy do gwiazd dopiero organizowano, a my ryzykowaliśmy co miesiąc życiem dla żalosnej zapłaty. Miałem wtedy wspaniały oddział. Kasowaliśmy wszystkich i wszystko na naszej drodze...

– ...ale... – wpadła mu w słowo.

– ... ale nadepnałem na jeden odcisk za dużo. To był wpływowy polityk, jego córeczka bardzo chciała poznać życie najemników...

– Poważnie? Za to cię przyskrzynili? Za jakąś panienkę?

– Jakąś? – Dante wyjął cygaro z ust. – Jeśli najmłodsza córka prezydenta Stanów Zjednoczonych, Andrzeja Leppera III jr., najpotężniejszego człowieka na planecie, który nie zawahał się wyplenić terroryzmu z Afryki ogniem nuklearnym, w jedno czerwcowe popołudnie zmieniając mapę geopolityczną świata, jest „jakąś” panienką, to masz całkowitą rację.

– Udupili cię, krótko mówiąc...

Potaknął.

– Na ile? – dociekała Ketea.

– Na dwieście.

– Dwieście lat? – zdziwiła się.

– Dokładnie. Córeczka tak się zakochała, że tatusiek nie bardzo mógł zrealizować swoje groźby, choć znany był z twardej ręki. Zamienili mi karę śmierci na eksperymentalne zamrożenie. – Uśmiechnął się krzywo, zanim ponownie włożył cygaro do ust. – Podobno jeszcze jako stara babcia przychodziła do Krionu, sprawdzając, czy czegoś nie spieprzyli.

– Co się stało z twoimi ludźmi?

– Wypadli z rynku jakieś dziesięć lat później.

– Zabrakło charyzmatycznego przywódcy...

– Niezupełnie. Była taka jedna. Nie uwierzyłabyś. Kurdupel, okulary jak denka od butelek. Nie widziała bez nich na dziesięć kroków. Była dziwką Triad, ćpunką, potem przygarnął ją jakiś łaps. Ale to stara historia...

– Mamy czas...

– Ludzie nazywali ją Toy, była moim psem...

– Psem? – Ketea nie znała terminologii stosowanej w oddziale.

– Tak, psem. To znaczy... zwiadowcą... – Starał się to wytłumaczyć najprościej i najdelikatniej, jak umiał. – Kimś takim, nieważne. Dziewczyna miała ikrę. Na tyle, że po moim aresztowaniu utrzymała oddział przez dziewięć lat. Można by o tym niejedną książkę napisać...

– A potem?

– Potem odziedziczyła górę forsę po swoim protektorze i żyła długo i

szczęśliwie.

– A reszta twoich ludzi?

– Zostali przy niej. Kupiła na południowym Pacyfiku wysepkę z wielką posiadłością i...

– I?

– Pewności nie mam, ale znając ich, nie sądzę, żeby łowili rybki. Podobno na tamtym akwenie zaroilo się w pewnym momencie od piratów...

– Ciekawa historia... – Ketea przeciągnęła się na fotelu. – Ale wracając do ciebie...

– Co jeszcze chcesz wiedzieć? W aktach powinno być przecież wszystko. Każdy mój krok po wyjściu z Krionu.

– Masz rację, raporty są dość szczegółowe, tyle że mnie chodzi o coś innego... – Dlaczego wróciłeś do zawodu? – Głośny śmiech Dantego speszył ją.

– Powiedziałaś coś śmiesznego? – zapytała, gdy przestał się śmiać.

– Owszem. A kim według ciebie miałem zostać? Nauczycielem historii? A może żywym eksponatem na wystawie Muzeum Historii Naturalnej?

Nie bardzo wiedziała, jak mu odpowiedzieć. Na szczęście z opresji wybawił ją Doom.

– Chefe, zespół pierwszy wraca z próbkami – rzucił w momencie, gdy obmyślała ripostę.

– Spadaj, laleczko. – Dante natychmiast stracił zainteresowanie jej osobą. – Lepiej, żeby moi chłopcy nie widzieli cię w tym wdzianku.

Wstała z fotela i wyszła, nie mówiąc nawet słowa. Dante nie patrzył w jej stronę, nie mógł więc zauważyć ogników, które błysnęły w kącikach zielonych oczu. Syk rozsuwanych drzwi jeszcze raz obwieścił, że zostali sami. Metys wprowadził kody dostępu do służby i odwrócił się od monitorów.

– Ona na ciebie leci, chefe – powiedział.

– Nie pierdol.

– Powaga. Od razu wyczuwam, jak laska ma na kogoś ochotę.

– Jeśli nawet masz rację, boli cię to?

– W sumie tak, jestem macho, zdobywam kobiety, jeśli zechcę, ale ona...

Dante uciszył go gestem.

– Zdobywasz dziwki. Żeby zdobyć prawdziwą kobietę, trzeba coś więcej niż pełne gacie, synku.

* * *

Drugiego dnia rano przenieśli się do następnego sektora. Zgodnie z planem, uwzględniając stratę czwartego orbitera, od tego momentu każda ekipa powinna sprawdzać co najmniej osiem sektorów na dobę. Dante podzielił ludzi na trzyosobowe zespoły. Dwóch najemników do obstawy i jeden jajogłowy do roboty. Dyżury po dwanaście godzin. Taki cykl nie był specjalnie wyczerpujący, a pozwalał na ciągłość pracy przez całą dobę. Do późnego popołudnia rzeczywiście trzymali się harmonogramu, jednakże tuż po dwudziestej czasu standardowego, zaraz po zapadnięciu zmroku, wydarzyło się coś, co zakłóciło dalszy tok badań.

Dante przebywał wtedy w sterowni. Rzadko ją opuszczał od momentu lądowania, starając się wszystko kontrolować. Doom zastępował go co parę godzin, by Pat mógł się przespać. Osiemnasta zero zero była porą zmiany wachty. Dwójka zgłosiła się jako gotowa do przelotu. Trójka zameldowała gotowość z trzyminutowym spóźnieniem. Dante zatwierdził plany lotu i klepnął Dooma w ramię, nakazując mu w ten sposób podniesienie orbitera. Raoul nie wykonał jednak rozkazu.

– Co jest? – zapytał Pat.

– Coś tu nie gra, chefe. – Metys sprawdził przyrządy raz jeszcze.

– Co nie gra? – Mimo zmęczenia adrenalina otrzeźwiła Dantego w ułamku sekundy.

– Na razie nie wiem, ale zauważyłem na wykresach coś dziwnego. – Doom przeglądał jakieś katalogi z szybkością przyprawiającą o zawrót głowy. – Zaraz to sprawdzę... o, jest!

Dante pochylił się nad stanowiskiem pilota i spojrzął na monitor z zapisem skanerów dalekiego zasięgu. Teraz widział to wyraźnie. Ktoś lub coś kilkakrotnie naruszyło strefę bezpieczeństwa, na kilka metrów zaledwie, ale zawsze. I nie były to ptaszydła ani znane im już gatunki owadów. Zwierzę, które zostawiło takie ślady, musiało mieć co najmniej półtora metra wzrostu i siedemdziesiąt kilogramów wagi. O ile było to zwierzę...

– Kurwa mać! – zaklął Dante.

Czas na wyświetlaczu wskazywał, że naruszenie miało miejsce pod koniec

jego szesnastogodzinnej wachty. Nie zauważył wskazań skanera, a powinien był.

– Myślisz, że nas namierzili? – zapytał Domingueza.

Metys tylko pokręcił głową.

– Gdyby to byli zwiadowcy Floty, już byśmy nie żyli.

– Chyba że chcą nas wybadać...

– Tego nie można wykluczyć, ale namierzyłem wszystkie ich częstotliwości.

Nikt niczego nie zgłaszał od tamtej pory.

– Jesteś pewien, że masz wszystkie częstotliwości pod kontrolą? – Dante usiadł w fotelu drugiego pilota i zaczął sprawdzać pozostałe zapisy. Jednakże ani wcześniej, ani później nie znalazł już żadnego śladu naruszenia skanowanej przestrzeni. – Trzeba to sprawdzić – zawyrokował po chwili zastanowienia.

– A harmonogram prac? – Zdziwiony Doom spojrział na dowódcę.

– Pieprzę harmonogramy – odparł Dante. – Pieprzę jajogłowych...

– Ja też bym ją przeleciał, chefe. – Metys aż uśmiechnął się do swoich myśli.

Dante nie zareagował. Wpatrywał się w monitory. Raoul przeniósł na nie wzrok i zamarł, wykresy wskazywały kolejne naruszenia. Jedno, dwa, siedem.

– Alarm! – ryknął Pat i sięgnął do przycisku uruchamiającego syreny wewnątrz orbitera.

Światło momentalnie przygasło, a do uszu ludzi wdarł się świdrujący dźwięk syren alarmowych. Doom gorączkowo przebierał palcami po klawiaturach i przyciskach, aktywizując system obrony statku.

– Kurwa, podeszli nas – mrucał. – Tam jest cały pluton, może nawet dwa...

– Na szczęście nie mają ze sobą niczego ciężkiego. – To znaczyło, że nie mają generatorów pola ani wygaszaczy i nie będą w stanie uziemić statku. – Nie zbliżają się na razie. Póki nie wiedzą, że ich widzimy, mamy pewną przewagę.

– Wezwę pozostałe grupy – zaproponował Doom.

– Nie, może jeszcze ich nie namierzili. Zarządź ciszę radiową na osiem godzin. Jeśli ktoś choć beknie w eterze, ze skóry obedrę.

– Ta jest!

Drzwi sterowni otworzyły się, wpuszczając pozostałych członków załogi. Ragnarok i Andrzej nie zdążyli zdjąć skafandrów, za to Hitler był nagi i mokry. Wskoczył spod prysznic na pierwszy dźwięk alarmu i nie tracił czasu na ubieranie. Nie zapomniał za to o broni. Czerń upręży żyroskopowej ręcznego działka pulsacyjnego zlewała się z jego hebanową skórą. Ketea wbiegła jako

ostatnia.

– Co się... – zaczęła i zamilkła, widząc nagiego olbrzyma.

Śmiesznie wyglądała, patrząc z otwartymi ustami na lśniąca od wody, czarną skórę Hitlera. Chociaż prawdę mówiąc, jej wzrok skupiony był na miejscu, którego Adolf często publicznie nie prezentował, mimo że wzbudziłby nim sensację.

– Zdarza się. – Andrzej dotknął jej ramienia. – Zawsze jak bierze zimny prysznic, fujarka mu się kurczy.

Wybuchnęli śmiechem, obserwując jej głupią minę.

– Męskie szowinistyczne świnię – syknęła, wydymając wargi. – Nic, tylko szpanujecie genitaliami. Chyba nie po to mnie tu zawołaliście, żebym oglądała to... to... – szukała w pamięci odpowiedniego określenia – ...salami.

– Fakt. – Ragnarok, który stał najbliżej stanowiska dowodzenia, zauważył już, jaki był powód alarmu. – Mamy gości.

– Ilu? – Andrzej natychmiast odsunął się od dziewczyny, a Adolf zasłonił powód zamieszania kolbą pulsatora.

– Co najmniej dwudziestu, ale może być ich znacznie więcej. Trzymają się skraju strefy skanowania. Pewnie mają czujniki... Na szczęście Doom wyczył ich za pierwszym razem i przestawiliśmy się na częstotliwości zapasowe. Jeśli odczytują poprzednie pasmo, pomyślą, że zwinęliśmy kramik. Może się wystawią.

– To nie są głupcy. – Ragnarok splunął na podłogę. – Do takich akcji nie bierze się szczawi. Założę się, że to Czarne Berety.

– No to mamy z lekka przejebane. – Adolf, starając się trzymać tyłem do kobiety, również zbliżył się do stanowiska dowodzenia. – Patrzcie na to – powiedział, wskazując palcem jeden z bocznych monitorów. – Tam, na szóstej.

Spojrzeli. Wykres pokazywał, że dwóch intruzów ruszyło biegiem. Ale nie w kierunku orbitera. Najwyraźniej jeden uciekał przed drugim, próbując go zgubić. Nie udało mu się to jednak i po chwili mieli wyraźny odczyt kotłowaniny.

– Co jest? – Doom aż otworzył usta ze zdziwienia. – Napierdalają się między sobą?

– To zwierzęta – powiedziała Ketea, pochylając się nad innym ekranem. – To tylko jakieś zwierzęta. Przypatrzcie się dobrze, te dwa osobniki walczą albo się bawią.

Jakby na potwierdzenie jej słów obserwowane cele rozdzieliły się i rozbiegły w różne strony.

– Ale jaja, a ja o mało nie narobiłem w gacie. – Doom opadł na oparcie fotela i założył ręce za głowę.

– To byłoby was już dwóch dzisiaj. – Ragnarok znacząco rzucił okiem na Adolfa, który gniewnie prychnął i pokazał mu zakończony długim paznokciem środkowy palec.

– Dobra – Dante wstał z fotela i przecisnął się do kabiny – koniec alarmu, odlatujemy.

– Chwileczkę. – Ketea chwyciła go za rękaw. – To są tutejsze formy życia. Powinniśmy je zbadać. Muszą być bardzo rzadkie, skoro nie natknęliśmy się na nie wcześniej.

Dante oswobodził się z jej chwytu bez większego problemu.

– Myślałem, że przylecieliśmy szukać złóż – powiedział.

– Owszem – nie dawała za wygraną – ale to może być odkrycie równie ważne jak pokłady rudy helonu.

– No to sobie badaj. Na swoją odpowiedzialność. – Pat wolał się ubezpieczyć.

– Zgoda. Dokonam stosownego zapisu w dzienniku pokładowym.

– W takim razie zostajemy. – Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się w otwartych drzwiach. – Chcesz zacząć teraz czy dopiero rano?

– Myślę, że lepiej będzie... – popatrzyła na obojętne twarze najemników – zaczekać z tym do rana.

Dante wyszedł, pozostali ruszyli za nim. Hitler szedł ostatni.

– Powiadają, że salami jest smaczne – powiedział, przechodząc obok Ketei.

– To prawda – zgodziła się słodkim głosem – ale podaje się je wyłącznie w plasterkach.

Ragnarok zawrócił, stanął na wprost zdziwionej kobiety i położył jej rękę na ramieniu.

– Masz gadane, mała. Tniesz słowami jak... kat toporem. Równa jesteś. W naszym oddziale każdy ma jakiegoś nicka. Od tej pory będziesz dla nas... Katem. Pasuje?

Nie wiedziała, co powiedzieć, skinęła więc tylko głową. Andrzej obdarzył ją czarującym uśmiechem.

– Ten chrzest oznacza, że możesz już bez obawy schylać się po mydło pod prysznicem...

To obrazowe powiedzenie wyjaśniało wszystko. Została jednym z nich. Została najemnikiem.

* * *

Doom obserwował wskazania skanerów do końca warty. Wypuścił też dwie sondy, by zwiększyć obszar poszukiwań. Stworzenia naruszały strefę bezpieczeństwa jeszcze wiele razy, ale przed nastaniem świtu zaczęły się przemieszczać na północ, wprost na niezbyt odległy masyw górski.

– Bingo! – Metys odsunął fotel pilota, gdy ostatni ślad zniknął z kręgu skanerów. – Mam was...

Przeszedł na tył kabiny i z dyspensera wyjął kubek aromatycznej kawy. Zastanawiał się, czy pójść do Dantego czy poczekać na koniec zmiany, gdy drzwi otworzyły się z cichym sykiem. Kat weszła ostrożnie do sterowni i skierowała się do fotela, na którym powinien siedzieć. Trzymała coś w dłoni. Nie widziała go, część rekreacyjna ukryta była za załomem sali. Ciche pobrzękiwanie aparatury sprawiało, że poruszała się bezszelestnie dla osoby siedzącej przed monitorami ze słuchawkami na uszach. A Doom miałby słuchawki na uszach, gdyby tam siedział.

Odstawił cicho kubek na stolik i ruszył za nią. Skoncentrowana na fotelu nie zauważyła, że ktoś zbliża się do niej od tyłu. Wyciągnęła rękę do oparcia, położyła palce na zagłówku... Nie czekał dłużej. Złapał ją za włosy i wykręcił jej drugą rękę. Krzyknęła przeraźliwie. Spojrzał na podłużny przedmiot, który trzymała. To był ażurowy mikrofon z lekkich stopów, jeden z tych, które rozmieszczali podczas prób geologicznych. Ważył może z dwadzieścia gramów i z pewnością nie nadawał się na broń.

– Oszalałeś?! – Wyrывała się z mocnego uścisku Metysa. – Puszczaj, zboczona świnió!

Odskoczył i podniósł ręce w przeproszającym geście.

– Spokojnie, gatita, spokojnie. Nie powinnaś się tak czaić na mucho bravo hombre – stuknął się pięścią w wyprężoną pierś.

– Idiota. – Poprawiła sobie włosy. – Nie chciałam cię budzić.

– Ja nie śpiam na warcie.
– Wszyscy śpią – odparowała.
– Nie w tym zawodzie, hermosa señorita – pochylił się nad nią.
– Gadaj zdrow – odepchnęła go.
– Dobrze, już dobrze, chica. Lepiej mów, czego chcesz.
– Sprawdziałam odczyty z naszych mikrofonów, w tym znalazłam coś ciekawego i postanowiłam porównać to z twoimi danymi.
Przeszedł obok niej i wskoczył na fotel.
– Daj mi to, Verdugo. – Wyciągnął rękę po mikrofon i natychmiast podpiął go do gniazda odczytu.
– Jak mnie nazwałeś?
– Słucham? – nie zrozumiał jej pytania.
– Co to znaczy „Vercoştam”?
– Po naszymu tyle samo, co człowiek odcinający innym głowy w majestacie prawa – wyjaśnił, cały czas wystukując coś na klawiaturze. Na monitorach pojawiły się wykresy pomiarowe. Obserwował je przez chwilę z miną znawcy, po czym powiedział: – Nie widzę tutaj niczego dziwnego. O 16.08 fala uderzeniowa, o 16.10 druga, przedtem i potem nic.
– No właśnie.
– No właśnie, querida... – odwrócił się do niej i puścił oko. – To był taki mały podstęp, co? Chcesz się zabawić moim kogucikiem?
Spojrzała na niego z wyraźną dezaprobatą.
– Masz na myśli tego frankfuterka? – powiedziała, zmysłowo oblizując usta.
– Po salami Adolfa chyba nawet bym go nie poczuła.
– Puta! – Raoul pogardliwie wyduł wargi i wrócił na miejsce. – Gadaj, czego chcesz, albo spadaj.
– Między szesnastą a siedemnastą przeprowadziliśmy tylko jedną próbę. Zamierzał właśnie wyjąć wtyczkę z kontaktu, gdy wypowiedziała ostatnie słowa.
– Jesteś pewna?
– Na sto procent, mam wszystkie dane na dysku. Ta fala o szesnastej osiem nie była efektem naszego eksperymentu.
– To ciekawe... – Raz jeszcze uruchomił rejestrator zapisu i prześledził dokładnie wykresy.

Komputer zanalizował siłę, częstotliwość i kierunek rozchodzenia się fal.

– Ime cago en la puta – szepnął Doom. – To mi nie wygląda na klasyczne trzęsienie ziemi.

– Mnie też nie – powiedziała Ketea.

– Pojedynczy impuls. Epicentrum wstrząsu znajdowało się osiemset kilometrów na północny wschód. Jeśli to był pojedynczy wybuch, musiał mieć moc kilkudziesięciu megaton... Może to kolejny łamacz blokady? Nie, niemożliwe, na kanałach Floty nie było nic na ten temat. Żadnych alarmów.

– Nie widzieliśmy też niczego na horyzoncie – dodała Kat – a powinniśmy. Choćby błysk...

Patrzył na nią w zamyśleniu i kiwał głową.

– Przesłuchaj jeszcze raz wszystkie zapisy - poradziła. - Powiedzmy od piętnastej do szesnastej dziesięć...

Nie dyskutował, tylko włączył kanał, na którym nadawały jednostki Floty. Wybrał zapis i określił przedział czasowy. Przez chwilę komputer kompilował dane, po czym wyświetlił zapis rozmów.

– Niewiele się działo. – Raoul przebiegł wzrokiem kilkadziesiąt linijek tekstu. – Wezwanie do bazy, szesnastka podaje namiary węzła... czymkolwiek jest ten węzeł... zmiana dyżurnych, już siedemnasta. Dwadzieścia trzy melduje o ustawieniu namierników, zgłoszenie do „Niezwyciężonego”... Nie ma nic ciekawego...

– Sprawdź dalej.

– Ale to już będzie po wybuchu.

– Właśnie, może go jakoś skomentują.

Wprowadził nowe dane i odczekał kilka sekund. Komputer pokazał zaledwie cztery odczyty w przedziale od szesnastej dziesięć do osiemnastej.

– Szóstka wraca do bazy, siedemnastka melduje o zamknięciu węzła, dwadzieścia trzy zakończył zbieranie namierników...

– A czwarty zapis?

– Jakieś brednie. Zestawienie materiałów potrzebnych na dzień jutrzejszy dla Centrum Geodezyjnego Floty...

Ketea usiadła na drugim fotelu.

– To niemożliwe, żeby nie zauważyli tak potężnej eksplozji. Zwłaszcza że baza Korpusu Desantowego Floty znajdowała się o sto pięćdziesiąt kilometrów

od miejsca, w którym do niej doszło. Musieli ją odczuć znacznie bardziej niż my.

– Pięćdziesiąt megaton to jak wybuch wulkanu – zgodził się Doom. – Skoro nie komentują, dobrze wiedzą, co to jest...

– Pamiętasz, co odebraliście za pierwszym razem? To było coś o...

– Mam to tutaj. – Jeden ruch ręki i z głośników popłynęły bezbarwne słowa:

– Młot Jeden do Kowadła, Młot jeden do Kowadła. Melduję, że namiar zakończony. Szesnastka gotowa do eliminacji.

– Przyjąłem, eliminacja w toku.

– Eliminacja... – zamyśliła się. – Namiar, szesnastka... Te słowa padają i w tych komunikatach.

– Tak, szesnastka namierza coś, co nazywają węzłem, potem ustawiają namierniki i meldują o zamknięciu...

– A jeśli zamknięcie równa się...

– ...eliminacji! – wykrzyknęli oboje.

– Lepiej obudź Dantego. – Raoul schylał się właśnie, by odsunąć fotel, gdy usłyszeli trzask zapalniczki pocieranej o draskę. Odwrócili się, by zobaczyć, jak wielki najemnik zapala cygaro.

– Spokojnie, Doom – powiedział Pat po zaciągnięciu się pierwszym dymkiem. – Nie musisz się fatygować, wiem już wszystko.

– Od dawna tu jesteś? – Ketei trudno było ukryć zaskoczenie, podszedł do nich tak niespodziewanie.

– Tobie się nie dziwię – odparł, niezupełnie odpowiadając na pytanie – ale Doom dał dupy jak dziewica po pierwszym skręcie.

* * *

Zgodnie z zamierzeniem, Kat wyruszyła następnego dnia rano na wyprawę w kierunku pobliskiego łańcucha górskiego. Towarzyszył jej Ragnarok. Andrzej i Adolf zajęli się ustawianiem mierników i przygotowaniami do rejestracji ewentualnych wybuchów. Przy okazji mieli sporządzić dokładną mapę złóż, które wykryli poprzedniego dnia.

Do dziewiętnastej wszystko toczyło się spokojnym torem. Pozostałe ekipy meldowały wprawdzie o wzmożonej aktywności patroli Floty, ale nie zanotowały żadnych dziwnych zdarzeń. Pełne raporty miały spłynąć do Dantego dopiero pod wieczór, z czterech załóg tylko dwie zbierały dane, zatem nie mogli sobie pozwolić na żadne dodatkowe opóźnienia. To, że Kat wzięła na siebie odpowiedzialność za przestój orbitera, nie zwalniał Dantego z obietnicy złożonej przedstawicielom korporacji. Musieli sprawdzić jak największe połączenie trzech wielkich kontynentów planety. Chwilowo podzielił zadania tak, by orbitery Ducksonów sprawdzał ocean, a Chińczycy osłaniali zespół naukowy badający największy kontynent, zajmujący niemal całą południową półkulę. Pat miał nadzieję, że jeden, góra dwa dni opóźnienia dadzą się wytłumaczyć bez wnikania w szczegóły. W końcu mieli pozostać nie wykryci do końca operacji, co wymagało kamuflażu i musiało wpłynąć na tempo prac.

O dziewiętnastej dwadzieścia seismografy orbitera wykryły słabe echo eksplozji. Jako że byli na nią przygotowani, zarejestrowali meldunki komandosów z przedziału czasowego poprzedzającego wydarzenie; były one niemal identyczne jak te odebrane wczoraj. Komputer wyliczył, że wybuch miał miejsce na północnym wschodzie w odległości stu osiemdziesięciu kilometrów. Ten wstrząs był odczuwalny nawet bez przyrządów. Raoul miał w tym momencie dwie sondy w powietrzu. Jedną wysłał natychmiast na maksymalny pułap, by zarejestrować optyczne skutki tak wielkiego wybuchu. Ku jego wielkiemu zdumieniu horyzont pozostawał absolutnie czysty – nie było żadnego dymu, żadnego rozbłysku ani atomowego grzyba. Po prostu nic.

– Nie rozumiem tego, chefe – powiedział Doom, gdy analizowali po raz dziesiąty zapis. – Nie ma nawet śladu po eksplozji...

– Ustal namiary epicentrum. Trzeba je jutro zbadać.

– Ta jest, chefe!

– I sprawdź, co z Ragnarem...

Krzywy uśmiech Dooma był najlepszym dowodem na to, że Metys wie dokładnie, iż nie o nordyka chodzi. Pochylił się nad konsolą i wybrał częstotliwość Kat.

– Pieniek do Kata. Dante pyta, jak tam nasz toporny kolega?

* * *

– I ja cię pozdrawiam, synu oślicy i pijanego woźnicy. – Ragnar odbierał na tej samej fali i uprzedził Kat.

– U nas wszystko w porządku – dodała dziewczyna. – Przed chwilą poczuliśmy lekkie drzenie, czy to kolejna eksplozja?

– Ta jest. Sto osiemdziesiąt kaemów na północny wschód. Dante chce to sprawdzić. Pośpieszcie się. Odbiór.

– Zrozumiałam, jeszcze nie dotarliśmy do wzgórz. Idziemy po śladach tych zwierzaków. Musiało być ich tutaj ze sto...

– Ucałuj je ode mnie, ale na więcej pieszczot nie pozwalaj – zarechotał Doom. – Zostaw coś dla nas.

– Palant!

– Dzięki za cumplido, znaczy komplement...

Zatrzymała się podczas rozmowy i rozwinęła elektroniczną mapę, którą zaprogramowali na podstawie odczytu z sond. Według niej mieli jeszcze dwa kilometry do samotnego wzniesienia, przypominającego czerwonawe płaskowyże środkowej Australii. Gęste mechate zarośla przesłaniały widok, a najbliższe sto metrów musieli przejść po dość stromym zboczu, prowadzącym na niewielki pagórek. Z jego szczytu schodzili wprost do stóp góry, która była ich celem.

Kat spojrzała na Ragnara. Wspinał się powoli, w czasie rozmowy zdążył pokonać kilkanaście metrów stromizny. Złożyła mapę i ruszyła za nim. Upał, panujący na zewnątrz mimo zbliżającego się zmierzchu, nie miał wpływu na temperaturę w środku skafandra i chociaż wymiana hełmu na wielki opancerzony, ale stary egzemplarz pozbawiła ją możliwości korzystania z większości dodatkowego wyposażenia, klimatyzacja działała. I to nawet za

dobrze; początkowo czuła tylko miły chłodek, ale nieco później wysiłek fizyczny towarzyszący niemal dziesięciokilometrowemu spacerowi wycisnął z niej dziesiąte poty. Te same, które teraz powolnym, lodowatym strumyczkiem spływały po jej plecach wprost między pośladki. Wzdrygnęła się, to nie było najprzyjemniejsze uczucie.

Ragnar zatrzymał się i spojrzał do tyłu. Była dwadzieścia kroków za nim. Nie poczekał, po prostu odwrócił się i podjął wspinaczkę. Po chwili zastanowienia uznała, że i tak nie przyjęłaby jego pomocy. Ale mógłby chociaż zaproponować...

Zbocze skończyło się razem z gęstymi zaroślami. Wyszli spośród oliwkowych liści wprost na rozgrzaną słońcem równinę. Porosty, które nazwali trawą, miały tutaj kolor złotawy. Widać było, że cierpią na brak wilgoci. Teren płaski jak stół opadał łagodnie w kierunku bulwiastej góry. Wyglądała jak ogromny ziemniak rzucony na ziemię. Nawet kolorystycznie przypominała popękana skórę przypieczonego kartofelka. Ragnar przyłożył do oczu lornetkę i spenetrował podnóże szczytu. Najwyraźniej coś go zainteresowało, bowiem nie opuszczał lornetki przez kilka chwil.

– Widać coś? – zapytała Kat, podchodząc do niego.

– Niewiele – odparł bezbarwnym jak zwykle tonem. – Zbocze jest pokryte wylotami małych jaskiń. Ale nie ma żadnych oznak życia.

– Wpatrywałeś się, jakbyś zobaczył ducha...

– Jak już coś robisz, rób to dobrze – rzekł sentencjonalnie, chowając lornetkę i ruszając w dół zbocza.

– Zaczekaj. – Kat ledwie dyszała po wspinaczkę. – Nie mam tyle sił co ty.

Przystanął i się odwrócił; nie mogłaby powiedzieć tego na pewno - krystalit nie pozwalał dojrzeć jego twarzy - ale chyba był zdziwiony.

– Nie radzę siadać – powiedział widząc, że się rozgląda. – Jeśli się zakwasiałś, potem będzie jeszcze trudniej.

– Aha – rzuciła, z żalem rezygnując z zamiaru położenia się na puszystych roślinach.

– Pójdziemy teraz wolniej – kontynuował Ragnar. – Spadek jest tak mały, że nie obciążą mięśni łydek. Gorzej będzie z wracaniem...

Spojrzała na ponad kilometrową łąkę. Nie mogła się poddać. Nigdy się nie poddawała, była z tego znana.

– No to chodźmy, mój rycerzu. – Zmusiła się do pierwszego kroku.

Nie odpowiedział. W ogóle niewiele mówił podczas drogi. Ucieszyła się, kiedy Dante wybrał do tej misji właśnie jego, bo chyba nie wytrzymałaby psychicznie końskich zalotów Dooma, głupkowatych uwag Adolfa – zwłaszcza po tym, jak zobaczyła jego... przednie wyposażenie. Andrzej był ciekawą alternatywą, ale Ragnar wydawał się jej solidniejszy. Teraz jednak, po trzech godzinach wspólnego spaceru przez tutejszą dżunglę, zaczynał ją irytować swoim wyniosłym milczeniem.

– Zawsze jesteś taki rozmowny? – zapytała.

Spojrzał na nią przelotnie i chyba się uśmiechnął, a może był to tylko refleks na osłonie hełmu.

– Nie pytają – odpowiedział – to nie otwieraj pyska. Tak mnie nauczono.

– Daj spokój, Ragnar... Nie jestem sierżantem w twoim wojsku. Nie potrafię tak wędrować i nic nie mówić. Chyba możemy porozmawiać?

– Oczywiście.

– Super... – Kat zrozumiała, że czeka ją raczej monolog, nie rezygnowała jednak. Perspektywa marszu w milczeniu przez najbliższe dwadzieścia albo nawet trzydzieści minut wydawała jej się nie do zniesienia.

– Długo jesteś w tym oddziale?

– Od czterech lat.

– Jak do nich trafiłeś? Czekał, Dante coś wspominał o kopalni...

– To prawda.

– A dokładniej?

Tym razem na pewno się roześmiał. I to na głos.

– Opowiem ci, choć nie będzie to opowieść o wielkiej przygodzie. Tak, byłem pracownikiem korporacji Mitsubishi-Prokom Mining. To był jeden z pierwszych międzynarodowych koncernów, który przejęli Polacy. Możesz nie uwierzyć, ale ja też urodziłem się na dawnym terytorium... to znaczy w granicach antycznej Polski. Ale nie to jest ważne. Dostałem robotę w zarządzie spółki zajmującej się wydobywaniem rzadkich minerałów na planetach szóstej i siódmej kategorii. Terraforming, zero atmosfery, śmiertelność powyżej dwudziestu procent. Trafiłem do systemu Panis Vulcanis, jakieś szesnaście lat świetlnych od Ziemi. Zadupie pełną gębą. Nazywaliśmy to miejsce...

– ...Penis Vulgaris – wtrąciła Kat.

- Skąd wiesz? –Zdziwienie po raz pierwszy zabarwiło jego głos.
- Nie uwierzysz, ale to miejsce odkrył mój ojciec. I on nadał mu tę nazwę.
- Panis Vulcanis?
- Nie, tę drugą. Panis był wymysłem Rady Naukowej Wyprawy.
- No, proszę... – Ragnarok pokręcił głową. – Jaki ten wszechświat jest mały.

Ale wracając do mojej opowieści... Dostałem kontrakt na rok, to i tak długo jak na taką dziurę. Byłem szychą, żadnej pracy pod ziemią, co najwyżej inspekcje. Nadzorowałem sprawy socjalne. Nudna papierkowa robota.

- Trochę jej jednak było, skoro tak... zmęźniałeś.

- Żartujesz. To kwestia ciężenia, jeden przecinek cztery ziemskiego.

Masakra. Szprycowali nas odżywkami i chemią do tego stopnia, że część górników wyglądała jak mutanci z komiksów. Miałem tyle wolnego czasu, że zająłem się studiowaniem historii. Nie tak na serio, po prostu ściągnąłem przez Interplanet materiały na temat wieków średnich, a potem czasów jeszcze wcześniejszych. Szczególnie spodobali mi się wikingowie. Prawdziwi mężczyźni, twardzi wojownicy.

- Wyglądasz jak jeden z nich...

– Teraz, wtedy wyglądałem inaczej, ale postanowiłem się do nich upodobnić. Stąd ta broda, warkoczyki.

- No dobrze, ale to chyba nie tłumaczy, dlaczego...

– Powoli, zaraz do tego dojdziemy – uciszył ją. – Skończył się mój kontrakt, ale władze spółki miały mały problem z naborem i nie wydały mi zgody na powrót. Niby musiałem odpracować jakieś tam klauzule w kontrakcie.

Sprawdziłem i rzeczywiście skurwysyny zastrzegły sobie przedłużenie umowy ze względu na... jak oni to ujęli... niestandardowe...

- Nienormowane wykorzystanie czasu pracy.

- Właśnie. – Ragnarok zatrzymał się i spojrzał jej prosto w oczy. –

Zadziwiasz mnie, Kat.

– Po prostu czytam uważnie to, co mi podsuwają pod nos. – Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Obojętne. Dowalili mi pół roku, potem jeszcze pół. Na szczęście nie musiałem schodzić pod ziemię. Z tych, którzy przylecieli ze mną, drugiej tury nie przeżyło nawet dziesięciu. Człowiek w tych warunkach zużywał się szybciej niż narzędzia. A nie dało się zrobotyzować tej gównianej kopalni. Tak nam

przynajmniej mówili...

– Z tego, co słyszałam, decydowały raczej względy ekonomiczne...

– Tak też myśleliśmy. Tysiące frajerów garnęło się do roboty. Wakaty mieliśmy góra tydzień. Do przylotu następnego promu. Tak gdzieś w dziesiątym miesiącu drugiej tury nastąpił pierwszy bunt. Trzystu górników sekcji trzeciej, przodkowej, zostało na dole. Zabarykadowali się i odmówili wpuszczenia kolejnej zmiany. Dostaliśmy rozkaz zagazowania chodników w tym sektorze. Kurwa, Ketea, ja znałem kilkudziesięciu z nich, wszyscy tam się jakoś znaleźliśmy, ale znalazł się skurwysyn, który odkręcił kurek. Nikt na dole nie przeżył, sprawca został potem żywcem obdarty ze skóry i jeszcze żywy trafił na powierzchnię. To już był prawdziwy bunt. Na sześć tysięcy ludzi w kombinacie ponad pięć odmówiło wyjścia do pracy. Zarząd uciekł prywatnymi promami, które ukryto w nieczynnej części kopalni. Zostaliśmy sami wobec nieuchronnej pacyfikacji. Miałem dostęp do danych wyższego stopnia tajności. Kumpel z kopalni na Regulusie 3 przekazał mi po cichu kody dostępu do baz danych korporacji. Wiedzieliśmy, że Ziemia nie puści tego płazem... – Ragnarok przerwał, zatrzymał się i ponownie popatrzył na Kat, z jego oczu wyzierało coś więcej niż smutek. – I przylecieli. Nawet nie tak wielu, jak myśleliśmy, ale za to uzbrojeni po zęby. Czarne Berety, elita. Górnicy bronili się zaciekle do samego końca. Jak się domyślasz, nie mieli niczego do stracenia. Byłem wtedy z nimi na dole. Trzymaliśmy się sześć dni w sztolniach przy głównych szybach wentylacyjnych. Żeby nas nie zagazowali. Wtedy ktoś na górze uznał, że szkoda tracić własnych ludzi na nas...

– I wysłali najemników.

– Tak. Dante i jego chłopcy byli w pierwszym rzucie.

– O ile dobrze zrozumiałam, przylecieli stłumić powstanie. Twoje powstanie.

– Dobrze rozumiałaś.

– W takim razie jak to możliwe, że się do nich przyłączyłeś?

– Ha, i o to właśnie chodzi. Dante nie był taki jak Czarne Berety. To szczwany lis. Nas na dole zostało wtedy nie więcej niż dwustu, on miał pod sobą pięćdziesięciu ludzi. Nie znali dobrze terenu, przegrali kilka pierwszych starć.

– Nadal nie rozumiem...

– Spokojnie. Dante zjechał do nas osobiście i zaproponował układ. Każdy, kto chciał wydostać się żywy z kopalni, miał złożyć broń i dostarczyć helon

wartości miliona kredytów. Czysty helon. Początkowo nie wierzyliśmy, potem kilku z nas pojechało z nim na powierzchnię. Przekonaliśmy się, że nie kłamie. Czarni odlecieli, zostawiając spacyfikowanie kopalni najemnikom. Ci nie zamierzali ginąć w walce z nami. Plan był prosty. Będą wysyłać meldunki do korporacji o postępującym oczyszczaniu kopalni – mieli na to dziesięć dni. W tym czasie my oczyszczamy dla nich rudę. Dziesiątego dnia wsiadamy na statki i każdy leci w swoją stronę. W porcie stało kilka transportowców korporacji, które nie zdążyły wystartować przed rebelią.

– Ciekawy plan. – Kat spojrzała na rosnącą w oczach skalną ścianę, nawet nie zauważyła, kiedy zbliżyli się do celu.

– Niestety nie wszystko się powiodło; albo korporacja miała system inwigilacji, albo ktoś sypnął, a może było to z góry ukartowane. W każdym razie na dzień przed upłynięciem terminu umowy Czarni zaatakowali ponownie. Z zaskoczenia. Wezwali najemników do budynków zarządu i po prostu je wysadzili. Potem ruszyli na kopalnię. Dante i część jego najbardziej zaufanych chłopców pilnowała akurat transportowca z helonem. Dlatego ocaleli. Mogli uciekać, ale przedostali się do nas, na dół, i pomogli nam przebić się przez korporacyjne siły bezpieczeństwa. Niewielu górników dotarło na powierzchnię, ale żaden z nich nigdy nie zapomni tego, co zrobił Dante.

– Zdziwiasz mnie. Nie sądziłam, że najemnicy...

– A jednak. Dlatego przystałem do Legii Dantego. To facet z jajami... i dotrzymuje danego słowa.

– A co z korporacją? Przecież po czymś takim musiał mieć zdrowo nasrane w aktach.

– Powiedzmy, że nie było nikogo, kto mógłby o tym donieść...

– No tak...

Zatrzymali się na skraju cienia rzucanego przez masyw. Z tego miejsca do podnóża góry było zaledwie sto metrów. Gołym okiem mogli zauważyć kilkadziesiąt otworów wyżłobionych w szarooliwkowym kamieniu.

– Wiesz, Ragnar, mam jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Już wcześniej chciałam o to zapytać.

– To wal śmiało.

– Jak się nazywasz? Wiem, jak się nazywa Doom, nawet znam wszystkie

imiona Hitlera, ale o tobie mówią tylko Ragnarok...

– To dlatego, że trudno wymówić moje nazwisko.

– Rozumiem, te staropolskie szeleszczenia...

– Niezupełnie. – Uśmiechnął się, nawet jego oczy się uśmiechnęły. –

Nazywam się Schweinchenener.

– Jak?

– Sama widzisz... Lepiej mów na mnie Ragnar.

* * *

– Stoimy przy zboczach góry, oznaczonej na planie numerem G-104 – zameldowała Kat. – Wygląda na to, że w jej wnętrzu kryją się nasze zwierzaki. Na razie badamy przedpole. Wolę się upewnić, czy nie grozi nam tu jakieś niebezpieczeństwo. W promieniu kilkudziesięciu metrów gleba jest całkowicie pozbawiona roślinności, prawdopodobnie wydeptana. Nie widać jednak żadnych ścieżek ani wodopojów. Odbiór.

– Zrozumiałem. Bez odbioru – tym razem odebrał sam Dante.

Kat spojrzała na zegarek. Za kwadrans pierwsza. Pewnie już zmienił Dooma.

– Co teraz? – zapytał Ragnar. Cały czas stał za nią z odbezpieczoną bronią.

– Wydaje mi się, że nas obserwują...

– Też mam takie uczucie.

– Usiądźmy – zaproponowała. – Niech się z nami oswoją.

Zamiast odpowiedzieć, po prostu usiadł. Złożył karabin na kolanach, tak by mógł go błyskawicznie użyć. Poszła w jego ślady.

– Trochę poczekamy – zauważył chwilę potem. – Te zwierzaki wyraźnie nie wystawiają nosa poza swoje nory.

– Może się boją, a może nie lubią światła – pomyślała na głos Kat.

– Poproszę o rewanż – poprosił zniecierpliwiony Ragnar.

– To znaczy?

– Opowiedziałem ci o sobie, powiedz teraz, jak ty tu trafiłaś.

– To będzie znacznie mniej ciekawe – ostrzegła.

– Ale zawsze lepsze niż czekanie w milczeniu.

– Co racja, to racja. Jak już wspomniałam, mój ojciec...

– Ćśśś – uciszył ją nagle. – Nie ruszaj się, widzę jakiś ruch w jaskini za tobą.

Podniósł lufę pulsara o kilkanaście stopni i skierował ją za plecy kobiety.

– Mów, co widzisz – szepnęła. – I włącz komunikator. W razie czego na statku będą wiedzieli, co się z nami stało...

– Naukowcy... – mruknął Ragnar. – Wy chyba nie macie instynktu samozachowawczego. Bardziej cię interesuje, czy nagranie zostanie zachowane dla potomnych, niż to, czy zabierzesz stąd własną dupę przymocowaną do kręgosłupa.

– Niezupełnie, ale...

– Ćśśś... – syknął ponownie. – Wychodzą... Jeśli chcesz je zobaczyć, to się odwróć, ale naprawdę powoli...

Kat starała się jak mogła, by jej ruchy wyglądały na powolne. Udało jej się odwrócić głowę na tyle, że w lustrach hełmu zobaczyła istoty opuszczające jaskinię. Miały krótkie nóżki czy też, jak się zaraz w myślach poprawiła, kończyny tylne, i baryłkowaty korpus. Górne kończyny były znacznie dłuższe, więczyło je coś na kształt dłoni i. Dzięki nim istoty te mogły opierać się o podłoże, stojąc w pozycji wyprostowanej. Całe ciało pokrywało delikatne różowe futro. Zwierzaki wyglądały naprawdę zabawnie ze swoimi niewielkimi ruchliwymi łebkami o dużych, oklapniętych uszach. Czarne jak paciorki, wyłupiaste oczy dopełniały obrazu istoty, która przypominała Ketei zabawkę, którą miała we wczesnym dzieciństwie. Gdyby nie te długie ręce...

– Widzisz je? – zapytał szeptem Ragnar.

– Tak, wyglądają jak... jak...

– Mnie się z niczym nie kojarzą.

– Miałam kiedyś taką zabawkę. Postać z holoksiążki, starej holoksiążki dla dzieci...

– Nie pamiętam żadnych ksiązek z dzieciństwa, wolałem zabawy w piwnicach naszego mrówkowca...

Zafascynowana Kat przyglądała się obcym istotom. Było ich pięć, wszystkie mniej więcej takiej samej wielkości. Nie potrafiłaby ich rozróżnić, oglądała tylko odbicia.

– Chyba się całkiem odwróć – szepnęła.

– Jak chcesz – odparł Ragnar. – W razie czego kryję ogniem lewą stronę.

– To znaczy?

– To znaczy, że w razie zagrożenia skaczesz w prawo. W twoje prawo –

uprzedził jej następne pytanie.

– Rozumiem.

Kat powoli wstała, nadal tyłem do istot, po czym odwróciła się, rozkładając szeroko ręce, tak by widziały, że nic w nich nie ma. Irracjonalnie zakładała, że są istotami myślącymi i dzięki temu nie potraktują jej jak agresora. Nie uciekły, co ją wyraźnie ucieszyło, aczkolwiek zamarły na chwilę, obserwując uważnie jej ruchy. Teraz widziała je już wyraźniej. Wydłużone i zakończone płasko pyszczki, a raczej ryjki, poruszały się nerwowo, jakby istoty usiłowały złowić jej zapach. Nagle przypomniała sobie nazwę dawno zapomnianej zabawki.

– Prosiaczek... – powiedziała.

– Słucham?

– One wyglądają jak Prosiaczek z „Kubusia Puchatka”.

– Być może. – Ragnar nie wydawał się tym poruszony. – Patrz, Kat, na tego po prawej, on ma coś w pysku.

Przyjrzała się różowemu stworkowi. Rzeczywiście, z pyska zwisała mu gałązka krzewu. Przyglądał się jej i jednocześnie przeżuwał roślinę.

– To chyba nie są drapieżniki. Ten maluch żuje jakieś liście.

– I chwala Bogu. Zabijałem wiele istot, ale jeszcze nigdy takie pokraki...

Kat zrobiła kilka kroków w kierunku różowych zwierzaków. Cofnęły się przy jej pierwszym ruchu i ustawiły bokiem, jakby zamierzały uciec, lecz nadal obserwowały intruzów.

– Włączyłeś interkom na sterownię? – zapytała Kat, zdając sobie nagle sprawę, że nie słyszy Dantego.

– Kurwa, zapomniałem...

– To na co czekasz, mamy pierwszy kontakt.

Cieszyła się, że przynajmniej jej osobista kamera rejestruje widok rdzennych mieszkańców Nowego Raju.

* * *

Tego popołudnia wszyscy zebrali się w sterowni, by podsumować wyprawę do jaskiń. Dante ściągnął dane z pozostałych spacerów i porównywał je z tym, co sami znaleźli. Wyglądało na to, że planeta jest praktycznie niezamieszкана. Badacze nie trafili na ślad żadnych istot poza niewielkimi ptakami, rybami i

wszechobecnymi owadami. No i prosiaczkami. Za to w dziedzinie geologii osiągnęli sukces. Dwanaście sektorów z trzydziestu, które spenetrowali do tej pory, posiadało bogate złoża rzadkich minerałów. Brakowało jeszcze sześciu, by plan maksimum został wykonany. Nie mogli obstawić większej liczby znaczników, było ich teraz tylko osiemnastu. Włączając naukowców.

– Coś mi mówi, że trafiliśmy na prawdziwy raj – zagał Dante, rozparty wygodnie w fotelu drugiego pilota. – Nie dość, że pod powierzchnią tkwią złoża złota, boksytów i helonu, to jeszcze atmosfera wydaje się całkiem nieszkodliwa. Szczepionki na istniejące tu bakterie zdobędziemy najdalej za kilka tygodni, zwierząt prawie nie ma. Te tam świniaki...

– Prosiaczki – sprostowała Kat.

– Jak zwał, tak zwał. Te prosiaki to jedyne większe stworzenia na powierzchni lądu. Na dodatek tak rzadko spotykane, że trzeba ich szukać...

– Siedzą pod ziemią, wyłazą dopiero nocą i niespecjalnie oddalają się od swoich gniazd – podsumował własną wiedzę na ten temat Ragnar.

– Ale są inteligentne – dorzuciła Kat.

– Zwierzęta bywają inteligentne. – Andrzej przestał czyścić rewolwer i przyłączył się do rozmowy. – Miałem kiedyś kota, wabił się Max, był cholernie inteligentny...

– Nie chodzi mi o taki rodzaj inteligencji – przerwała mu Kat. – Te istoty nie są zwierzętami w naszym rozumieniu.

– Nie? To dlaczego wpierdalają liście i śpią na tym, co wysrajają? – Hitler rozumował prosto.

– A co wpierdalali nasi przodkowie? – rozzłoszczona Kat użyła jego prymitywnej retoryki. – Mieszkali w jaskiniach i żarli, co popadło.

– Jeszcze dziadek Adolfa taki był – wtrącił Doom – i jego babka też. Po prostu małpoludy. Jemu zresztą też niewiele brakuje.

– Odwał się, człowieczku z małym fiutkiem. – Hitler wiedział, czym może zdeprymować Metysa.

– No, a kto nawalił wczoraj w skafander i długo tak siedział? – poparł Raoula Andrzej. – Skończcie te zaloty. – Dante uciął przekomarzania swoich ludzi jednym zdaniem. – Kat, mów dalej.

– Dzięki. Jak już widzieliście, weszliśmy z Ragnarem do jaskiń będących domami prosiaczków. Z pozoru wyglądają one na zwykłe nory, ale zauważyłam

w kilku miejscach na ścianach i sklepieniach próby malarstwa. Nieporadne, prymitywne, ale nikt nie zaprzeczy, że są to rysunki. A które zwierzę potrafi rysować?

– Fakt – odezwał się Andrzej. – Chociaż pamiętam kilka małą, które paćkały farbami w ramach jakiegoś eksperymentu, ale chyba nie to ci chodzi.

Kat zignorowała uwagę Rewolwera.

– Żeby potwierdzić badania, potrzebuję jeszcze paru dni, ale już wstępne wyniki są tak obiecujące, że mogę pokusić się o stwierdzenie, iż są to istoty rozumne.

– Zaliczyłybyś je do klasy trzeciej? – zapytał Dante.

– Nawet do drugiej. Są na razie prymitywne, ale potrafią się porozumiewać, znają sztukę, posiadają hierarchię i organizację.

– Wiesz, co to znaczy?

– Wiem. – Kat spojrzała na niego, potem na pozostałych. – To znaczy, że planeta musi zostać poddana kwarantannie i nikt nie może na niej wylądować, dopóki nie zostanie ustalony status jej mieszkańców. Z dotychczas zebranych danych wynika jednoznacznie, że Nowy Raj powinien zostać objęty ochroną rządową.

– Myślisz, że jakakolwiek korporacja na to pójdzie?

– Takie są przepisy Konwencji o Ochronie Życia Pozaziemskiego.

Korporacje muszą się im podporządkować.

– Muszą albo i nie muszą – skwitował Ragnarok.

– Penis Vulgaris jest tego najlepszym przykładem – poparł go Andrzej. –

Korporacje stoją ponad prawem.

– Tam chodziło o ludzi, tu mamy do czynienia z pierwszym obcym inteligentnym gatunkiem, jaki napotkaliśmy w przestrzeni – przypomniała Kat. – Jeśli zaczniemy Wielki Wyścig, te stworzenia wyginą.

– A co nas to obchodzi? – bąknął Adolf.

– Jak to? – wybuchnęła Kat. – Pozwoliłbyś je wymordować?

– Gdyby za nie płacili, sam bym zabijał.

– Jesteś gorszy niż zwierzę – rzuciła gniewnie w jego stronę i splunęła. Ślina spadła na absorbent podłogi i powoli wsiąkła, nie zostawiając nawet śladu.

– Hitler ma rację. – Dante wydmuchnął piękne kółko dymu. – Jeśli ktoś zapłaci, zaroi się tu od myśliwych i twoje świniaki przejdą do historii.

Nieważne, czy jest prawo, które je chroni, czy go nie ma.

Ketea zacisnęła usta.

– Takie jest życie, Kat. – Andrzej poklepał ją po ramieniu. – Silniejszy zawsze wygrywa.

– Co wcale nie znaczy, że mam się na to zgadzać.

– Te świniaki to nie największy problem, jaki mamy. – Pat nagle zmienił temat. – Pozostaje jeszcze kwestia tajemniczych eksplozji.

– Udało się coś ustalić? – zainteresował się Ragnarok.

– Na razie nic. – Dante zrobił dziwną minę. – Jutro z rana zabierzemy Spacera i udamy się do najbliższego punktu zero. Tam zbadamy sytuację.

– A co z Prosiaczkami? – zapytała Kat płacząco.

– A co ma być? Oficjalnie nas tu nie ma. Jeśli zawiadomisz swoich o tym odkryciu, każą nam zapomnieć o futrzakach. Jeśli ktoś z Floty przejmie komunikat, zajebią nas na miejscu. Tak czy inaczej, zwierzaki mają przesrane, ale na razie my mamy jeszcze szansę... Rozejść się, o ósmej chcę być już w powietrzu.

* * *

Niestety plan Dantego, choć genialny w swej prostocie, spalił na panewce. A zabrakło tylko półtorej godziny...

O szóstej trzydzieści, dwadzieścia minut po świcie, w zasięgu skanerów sondy pojawiły się dwa łaziki Czarnych Beretów. Nadszedły z północy bez żadnego ostrzeżenia. Co ciekawsze, poruszały się po dość trudnym terenie, choć ledwie dwa kilometry dalej miały szeroką i otwartą przestrzeń. Doom, znudzony długą i nudną wachtą, pochrapywał w swoim fotelu, gdy ciche piski towarzyszące wykryciu intruzów wypełniły pomieszczenie sterowni. Dobrą minutę trwało, zanim dotarło do niego znaczenie tych dźwięków. Początkowo wziął je za efekt brykania prosiaczków, ale szybko zdał sobie sprawę, że ton jest zbyt równy i za wysoki, a i pora niezbyt odpowiednia na wizytę różowych zwierzaków. Wtedy wystarczyła sekunda, by całkowicie obudzony znalazł się przy pulpicie. Na szczęście Dante kazał utrzymywać przez całą dobę kamuflaż i orbiter wyglądał jak nieco gęstsza kępa miejscowego buszu. Na szczęście, bowiem pierwszy z łazików zatrzymał się nie dalej niż kilometr od obłęgo

kadłuba Spacera. Drugi przejechał tylko w polu widzenia i skrył się w zaroślach po lewej.

Doom włączył interkom i wywołał szeptem Dantego.

– Mamy gości, chefe. – Te trzy słowa wystarczyły, by połączenie zostało przerwane.

Raoul przeszedł na aktywny nasłuch częstotliwości cesarskich. Początkowo nic się nie działo, ale już po chwili usłyszał pierwszy komunikat. W momencie gdy do sterowni wpadł Dante, głośniki ożyły.

– Młot Siedem do Kowadła, jestem na pozycji.

– Zrozumiałam, Młot Jeden. Jaki jest wasz status?

– Zajmuję pozycję wyjściową. Pełna gotowość za sześćdziesiąt sekund.

– Zrozumiałam, sześćdziesiąt sekund.

Zrobiło się cicho.

– Namierzyli nas? – zdziwił się Doom. – Jakim cudem?

– Tu nie o nas chodzi. – Dante wskoczył na fotel drugiego pilota. – Mamy w powietrzu jakąś sondę?

– Nawet dwie.

– Super. Jedna na maksymalny pułap, druga tysiąc... nie, tysiąc pięćset metrów, nad Młota Jeden. Chcę wszystko widzieć. Zdaje się, że będziemy świadkami kolejnej akcji eliminacyjnej.

– Tyle to i ja wiem – zachnął się Doom – ale kogo oni chcą eliminować, przecież tutaj jesteśmy tylko my i te tam...

– Dokładnie...

– Bez jaj. Elita przestrzennej piechoty rozwala zasrane gniazda pluszowych misiów? Czarne Berety kontra Puercos?

– A masz jakieś inne wytłumaczenie? – zapytał Dante, odrywając na chwilę wzrok od ekranu.

– No, nie mam...

– To zamknij pysk i nagrywaj, zanim ci nogi z dupy powyrywam. I obudź resztę towarzystwa, może trzeba będzie zrywać się w trybie awaryjnym.

– Ta jest! – Pchnięcie otwartej dłoni Metysa uwolniło demona tkwiącego w systemie alarmowym. Przeciągłe gwizdki, które wewnątrz kadłuba wręcz rozsadyły bębunki, były niesłyszalne dla osób stojących zaledwie kilka metrów dalej.

– Wyłącz mi to kurewstwo. – Dante aż się skrzywił. – Jeszcze mi ktoś wykituje na zawał...

– Ta jest! – Natychmiast zapadła miła dla ucha cisza. Po chwili przerwało ją sapnięcie drzwi.

Ragnarok wbiegł do sterowni, dopinając ładownice, za nim wpadła Kat, rozczochrana i niekompletnie ubrana. Potem pojawił się Andrzej, bez spodni, ale za to z nieodłącznym rewolwerem i pasem ładownic w dłoniach. Kompletna golizna Hitlera nikogo nie zdziwiła.

– Strugamy kogutki czy nos Dooma potknął się o rękę szefa i przypadkiem upadł na przycisk? – ziewając zapytał jeszcze nie do końca rozbudzony Rewolwer.

– Nie, tym razem mamy gości, ty... – Doom nie dokończył, bowiem głośniki znów ożyły.

– Młot Jeden na pozycji.

– Masz pełen wgląd na przedpole?

– Potwierdzam, widoczność 2500 metrów, czysto.

– Węzeł potwierdzony?

– Tak jest, węzeł potwierdzony.

– Jakies ślady aktywności w pobliżu wylotów?

– Żadnych śladów, powtarzam, żadnych śladów. Skanujemy podczerwienią...
wynik negatywny.

– Młot Siedem, rozpocznijcie ustawianie namierników.

– Potwierdzam, rozpoczynamy ustawianie namierników.

Łazik stojący w pobliżu orbitera ruszył w kierunku zbocza, które nie tak dawno pokonała Kat z Ragnarem.

– Co oni robią? – zapytała zdezorientowana kobieta.

– Zdaje się, że zamierzają złożyć wizytę naszym dobrem znajomym –
odpowiedział Dante.

– Nie rozumiem.

– Ustawiają namierniki do przeprowadzenia ataku na jaskinie.

– Chcą zaatakować jaskinie prosiaczków? – Kat nie wierzyła w to, co usłyszała.

– Na to wygląda.

– Po co?

– Pojęcia bladego nie mam.

– Ale...

– Uciszyć się, kobieto. – Doom przerwał lawinę pytań, zerkając na nogi Kat. – Mamy tu trochę roboty, lepiej wracaj do siebie i załóż majtki.

– Mam je na sobie – prychnęła i podniosła nieco koszulkę, prezentując wspomnianą część garderoby: eleganckie, koronkowe stringi w kolorze burgunda.

– Jak mi przykro – odciął się Raoul. – Z tej odległości wyglądają zupełnie jak twoje włosy łonowe...

Kat, widząc uśmiechy błędzące po twarzach pozostałych mężczyzn, odwróciła się na pięcie i pobięła do swojej kajuty po spodnie.

– Ty, Hitler, jeszcze nie pora na kolację, możesz schować to salami. – Dante odwrócił się do swoich ludzi i zlustrował ich uważnie. – Dwie minuty, pełny rynsztunek. Wypad.

Wrócili po minucie. Wszyscy prócz Ragnara, on miał wyposażenie przy sobie już za pierwszym razem. Teraz siedział przy automacie z kawą i popijał aromatyczny płyn.

– Coś nam uciekło, patron? – zapytał Andrzej, gdy drzwi zamknęły się za Kat, ostatnią wchodzącą.

– Nic, na razie się rozstawiają.

Widok z kamer sondy pokazywał oba łąziki. Jeden stał na skraju zarośli niemal w tym samym miejscu, z którego Ragnar obserwował po raz pierwszy górę, drugi przesunął się powoli w kierunku jaru prowadzącego ku zboczowi, ale zatrzymał się ponad półtora kilometra od celu. Z wnętrza maszyny wysypali się żołnierze. Rozstawili jakieś urządzenia, chwilę przy nich pogmerali i wycofali się do bezpiecznego wnętrza pojazdu.

– Młot Siedem do Kowadła, namierniki na pozycjach. – Głośnik ożył w momencie, gdy stalowy właz zatrzasnął się za ostatnim z wchodzących.

– Wycofać się na granicę strefy bezpieczeństwa. „T” minus dziesięć, powtarzam: „T” minus dziesięć.

– Zrozumiałem: „T” minus dziesięć.

– Oni naprawdę to robią... – Kat przepchnęła się przez najemników.

– Wiem nawet, dlaczego – odparł Dante, choć nie mówiła do niego, raczej rzuciła to zdanie w próżnię. – Zdaje się, że Flota nie zamierza przyznać tej

planecie kategorii drugiej. Cicha likwidacja świniaków pozwoli na spokojną kolonizację...

– Nie możemy na to pozwolić! – krzyknęła Ketea.

– Dlaczego? – zdziwił się Hitler. – Czy dlatego, że przypominają ci ulubioną zabawkę?

– Jesteś prymitywem i głupcem – odparowała.

– Ale mam to – poklepał kolbę ogromnego miotacza, z którym się nie rozstawał – i załatwiłem więcej supermądrych cwaniaków niż niejedna zaraza.

Znów przegrała na słowa.

– Daleko ci jednak do imiennika... – spróbowała się odciąć.

– Pracuję nad tym – Adolf nie przejął się przytykiem – i mam już pierwsze sukcesy.

Transportery Czarnych Beretów pojawiły się znów w bezpośrednim polu widzenia, by zniknąć tam, gdzie po raz pierwszy wjechały w strefę kontrolowaną. Tym razem były śledzone przez kamery sondy.

– Odczekaj jeszcze trzydzieści sekund i podnieś maszynę na dziesięć metrów – powiedział Dante. – Wycofujemy się nad ocean.

– Ta jest! – Odpowiedź Dooma była standardowa.

– Chcecie tak po prostu się wycofać? – Kat nie wierzyła własnym uszom.

– A co powinniśmy zrobić twoim zdaniem? – zapytał Dante.

– Nie wiem, cokolwiek, rozwalić te namierniki.

– Laluniu, za dziesięć minut coś się tu stanie. Nie wiem co, ale to będzie zajeście wielkie i kurewsko niebezpieczne. Widziałaś odczyty. Eksplozja o sile pięćdziesięciu megaton. Nie nuklearna, tyle tylko wiemy. Jeśli masz ochotę na przewracanie tych dalmierzy, nie widzę problemu. Możemy cię jeszcze wysadzić. Ale musisz szybko decydować, bo nie narażę moich ludzi na pewną śmierć dla kupy różowego, futrzastego gówna.

– Pieprzę was – zachnęła się i przeszła na koniec sali, do Ragnara.

– My tę czynność nazywamy kochaniem, madame... – dobił ją Andrzej.

Trzy zero w ciągu kilku minut. Ten dzień nie należał do udanych. Usiadła przy stoliku i spojrzała ponuro na jedyne, który wydał jej się przyjazny. Na nordyka z wyglądu, który okazał się Polakiem o niemiecko brzmiącym nazwisku.

– Podasz mi kawę? – zapytała.

– Czemu nie – odparł. – Ze śmietanką, ile cukru?

– Wszystko jedno...

Orbiter drgnął nieznacznie, gdy Doom poderwał go do lotu. Wycofywali się cicho i dyskretnie. Napęd grawitacyjny był znakomitym wynalazkiem. Drogi jak cholera i nieopłacalny na szerszą skalę, teraz zwrócił się Korbie z nawiązką. Nad plażą znaleźli się w okamgnieniu. Do punktu „T” zostało jeszcze około sześciu minut, gdy pojazd minął linię brzegową.

– Co teraz, chefe? – zapytał Doom, zatrzymując Spacera nad spokojną powierzchnią wody. – Możemy odlecieć na bezpieczną odległość albo wodować...

– Woduj. Łaziki już się zatrzymały, a są bliżej góry niż my. Zejdziemy na dwa, trzy metry i zobaczymy, czym dysponuje pan baron Zwiebellus.

– Ta jest!

Otoczony poduszką pola siłowego dysk orbitera zanurzył się miękko w lazurowej toni. Doom zszedł jednak głębiej, niż kazano, na prawie dwadzieścia metrów. Na wszelki wypadek. Pomimo tego łączność z sondami nadal była znakomita.

– Wycofaj jedną z sond na maksymalną odległość – polecił Dante. – Druga niech zostanie na miejscu.

Rozkaz został wykonany natychmiast. Obraz na ekranach po lewej zaczął się nagle i szybko oddalać. Po prawej pozostał nieruchomy.

– Zbliżenie na masyw.

– Ta jest!

Zbocze góry wypełniło niemal cały ekran.

– Dziewięćdziesiąt sekund do punktu „T” – zameldował Doom, jakby nie widzieli wielkich czerwonych cyfr timera odmierzającego czas do eksplozji.

Obserwowali monitory w całkowitym milczeniu, tylko Kat siedziała tyłem do ekranów. Nie chciała widzieć, nie rozumiała, dlaczego ludzie mogą być aż tak okrutni, by zniszczyć nowo odkryty gatunek, mając na uwadze zysk.

– Czterdzieści sekund. – Głos Raoula był równie beznamiętny jak ten z komunikatów.

Katea zacisnęła pięści i pochyliła się nad swoją kawą.

– Dwadzieścia sekund. – Zamknęła oczy.

– Dziesięć sekund. – Zacisnęła powieki najmocniej, jak mogła.

– Cztery, trzy, dwa, szlag....

Cisza przedłużała się niemiłosiernie. Kat uchyliła powieki. Siedzący przed nią Ragnarok miał otwarte szeroko oczy i usta. Kawa wylewała mu się z przechylonego kubka.

– Co z wami? – Odwróciła się, ale na ekranach nie było widać nic konkretnego. Te po prawej migotały, widocznie sonda uległa zniszczeniu, po lewej zaś było widać jedynie panoramę wybrzeża i niebieskie niebo. Nagle obraz zaczął się przybliżać, Doom uruchomił silniki drugiej sondy.

– Grawitron – mruknął Dante w momencie, gdy dotarła do nich fala uderzeniowa. Orbiter zakołysał się lekko. Tutaj, pod wodą, kilka kilometrów od miejsca uderzenia, nie było bezpośredniego niebezpieczeństwa. – Daj mi to jeszcze raz...

Ekran po prawej znów wyświetliły obraz góry, w miarę upływu czasu pojawiało się coraz więcej detali. Raoul zmieniał powiększenie... Potem nagle obraz zniknął, bez błysku, bez huków, ot, tak...

– Cofnij i ustaw na ostatnich klatkach przed wybuchem...

Obraz góry zamarł.

– Teraz ustaw drugą sondę w tym samym miejscu.

Po lewej pojawiły się zarośla, potem równina i... niewielki skalny pagórek. Ketea przyglądała się temu równie zdziwiona jak pozostali. Góra wyglądała, jakby... jakby ktoś ją rozpląszczył.

– Co to było, chefe? – zapytał szeptem Adolf.

– Grawitron – odpowiedział Dante. – Pierdolone działo grawitacyjne o kurewsko dużej mocy.

– To my mamy coś takiego? – zdziwił się Doom.

– Jak widać...

– W mordę jeża, toż to musi być kurewsko supertajne. – Hitler odłożył na ziemię miotacz, który cały czas przyciskał do klatki piersiowej. – Ja nie mogę...

– No to już wiemy, czemu kwarantanna trwa nadal i kto tu się bawi w Boga.

– Dante zgasił cygaro swoim sposobem i ruszył do drzwi. – Możemy wracać do zajęć.

* * *

Kat dogoniła dowódcę w korytarzu.

– Zaczekaj. – Chwyciła go za rękaw.

Zatrzymał się i spojrzał na nią z góry.

– Słucham?

– Ja... – zająknęła się, widząc jego lodowato zimne, niebieskie oczy – ja uważam, że powinniśmy coś zrobić dla uratowania...

– Daj spokój, Kat – przerwał jej, ruszając w dalszą drogę. – Wiesz równie dobrze jak ja, że nic więcej nie możemy zrobić.

– Ale to są inteligentne istoty, zapytaj Ragnara, jeśli mi nie wierzysz. On też tam był i wszystko widział!

– I co z tego? – Dante ponownie się zatrzymał i odwrócił do niej. – Raz już o tym mówiłem, a nie lubię się powtarzać. Mamy kontrakt na badania geologiczne, zgadza się?

– Tak...

– Twoja firma chce dostać najlepsze kęski tej ziemi. Wydała na to kupę kasy...

Skinęła głową. Wiedziała, do czego Pat zmierza.

– Jeśli chcesz, zamelduj Korbie o swoim odkryciu. – Wskazał jej sterownię. – Założę się o całe nasze honorarium, że każą ci sięść na dupie i udawać, że deszcz pada. A może się mylę, panno Tychoo?

Nie starała się nawet zaprzeczyć. Wiedziała, że Dante ma rację. Nikt w zarządzie Korby nie zastanawiałby się nawet sekundy przed podpisaniem rozkazu likwidacji zarówno nowego gatunku, jak i świadków. Ziemia 2 była tego dowodem.

– Flota wykonuje brudną robotę – ciągnął tymczasem Dante. – Jeśli wiadomość o tym, że tu jesteśmy, trafi do jakiegokolwiek czujnika, to... – Przyłożył wyprostowaną dłoń do ust i dmuchnął na nią. Kilka cieniutkich płatków spalonego tytoniu poszybowało w powietrzu.

Znów musiała przyznać mu rację.

– Czego więc chcesz, kobieto? Mamy tu coś do zrobienia i dołożę wszelkich starań, by zakończyć pracę w terminie.

Stała, patrząc na niego spode łba. Wściekła jak szlag, ale bynajmniej nie na najemników. Uważała, że jej obowiązkiem jest za wszelką cenę ocalić rdzennych mieszkańców tej planety. Tylko ona widziała w nich coś więcej niż

zwierzęta...

– Rozumiem twój punkt widzenia – powiedziała ostrożnie – ale nadal sądzę, że musimy coś zrobić...

– Jak wymyślisz, co – uśmiechnął się, zatrzymując obok drzwi do swojej kabiny – daj znać, a ja ci pomogę.

Została w korytarzu sama, zanim zdążyła wymyślić jakąkolwiek odpowiedź. Gorączkowo zastanawiała się, co mogliby zrobić dla prosiaczków. Setki myśli przelatywały jej przez głowę, ale żadna nie była na tyle sensowna, by zyskała aprobatę Dantego.

– Milion za głowę.

Drgnęła, słysząc cichy głos dobiegający z oddali. W przejściu stał Ragnar. Patrzył na nią i uśmiechał się.

– Pamiętasz, co mówiłem o Penis Vulgaris? Milion za głowę...

Teraz zrozumiała. Uściskałaby go, ale zdążył już skrócić za róg; usłyszała syk drzwi prowadzących do kajuty załogowej. Tak, Ragnar poddał jej dobry pomysł. Ruszyła w dół korytarza. Kabina Dantego znajdowała się pięć kroków dalej.

Nacisnęła przycisk interkomu.

– Otwarte. – Nie trzymał się, by sprawdzić, kto dzwoni.

Stała przed fotokomórką i drzwi rozsunęły się, ukazując niewielkie, ale schludne pomieszczenie. Dante siedział na fotelu z nogami opartymi na blacie biurka i palił cygaro.

– Już wymyśliłaś? – zapytał.

– Tak – odparła, nie wchodząc do środka. Powstrzymał ją nie tylko duszący, acz beznikotynowy dym.

– Słucham.

– Zawrzemy układ. – Starła się patrzeć mu w oczy, ale wydmuchnięty właśnie dym zasłonił na moment całą jego twarz. – Znajdziemy nową kolonię prosiaczków. Zabierzemy kilka osobników na pokład Spacera i ukryjemy je.

– A co ja z tego będę miał prócz utraty kontraktu w razie wpadki?

– Zaczekaj, to jeszcze nie koniec – powiedziała. – Doprowadzimy prace do końca. Nie zgłosimy faktu posiadania tych istot do momentu rozstrzygnięcia wielkiego wyścigu. Dostaniesz swoją forszę, a wtedy ja wkroczę na scenę.

– Zabiją ciebie i te twoje zwierzaki, zanim zdążysz gdziekolwiek je pokazać...

– Mam paru znajomych w syndykatach informacyjnych. Wiesz, wolne media i takie tam. Oni zadbają, żeby wszyscy dowiedzieli się o mieszkańcach tej planety.

– Sprytne, ale nadal nie widzę motywacji dla moich ludzi...

– Miliard.

– Co: miliard?

– Miliard kredytów za uratowanie prosiaczków.

– Miliard. – Dante odłożył cygaro na popielniczkę i spojrzał na nią. – Nie, droga pani!

– Jak to: nie? – zgłupiała.

– Widzisz, lala, gdybyś powiedziała: milion, dwa miliony za jednego futrzaka, traktowałbym to poważnie, ale miliard? Nie masz takiej kasy, a ci twoi znajomkowie z mediów na pewno tyle nie zapłacą.

– Mylisz się...

– Tak? No to dostarcz ten miliard, a my uratujemy twoje świniaki.

Spojrzała na niego ze złością. Czuła, że przesadziła, już w momencie, gdy wymówiła tę przeklętą liczbę. Była tak zdenerwowana, że nie zwróciła uwagi na irracjonalność własnej propozycji, dopóki słowa nie opuściły ust. A potem było już za późno.

– Dobrze, dwa miliony za ocalonego osobnika – poprawiła się, choć nie sądziła, że Dante połknie tę przynętę.

– Z góry... – Najemnik mierzył ją wzrokiem.

– Przecież wiesz, że nikt normalny nie nosi przy sobie takich pieniędzy.

– To o czym w ogóle rozmawiamy? – Dante sięgnął po cygaro. – Dobranoc, Kat, prześpij się z tym problemem...

– Przelew... – szepnęła, próbując ostatniej deski ratunku.

– Potwierdzony?

Wreszcie zauważyła w oczach Dantego zainteresowanie.

– Mam terminal w swoich rzeczach...

– Ale nie masz tyle kasy na koncie.

– O to niech cię głowa nie boli – zachnęła się. – Mam wystarczająco dużo, żeby ci zapłacić.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do swojej kabiny. Blefowała i nie chciała, by przenikliwy wzrok Dantego dojrzał jakikolwiek cień na jej twarzy.

– Chwila – zatrzymał ją przy samych drzwiach. Drgnęła, gdy usłyszała jego głos. Miała nadzieję, że tego nie zauważył.

– Tak? – Odwróciła się profilem.

– Jeszcze nie skończyliśmy. – Stał o dwa kroki od niej.

– Nie rozumiem. – Czują, jak pot występuje jej na czoło, to na pewno zauważył, skubany.

– Spokojnie – uśmiechnął się. – Nie chcę przypieczętować umowy.

Zapomniałaś o jednym szczególe.

– Tak?...

– Gdzie zamierzasz je umieścić?

– Gdziekolwiek.

Pokręcił głową.

– Nie da rady.

– Dlaczego?

– Czyś ty spadła z Księżycy? – Zbliżył się tak, że czuła zapach jego potu zmieszany z dymem cygara. – Te stwory nie oddychają naszą atmosferą, to znaczy mogą nią oddychać, ale dopiero po kwarantannie. Przecież nie będziemy chodzili cały czas w skafandrach.

Zapomniała o tym na śmierć. Musiała szybko znaleźć jakieś rozwiązanie. I znalazła. Idealne.

– Szpital... – szepnęła, nie mając jeszcze pewności.

– Szpital? – zdziwił się Dante.

– Tak, szpital. – Rozluźniła się trochę. – To jedyne hermetyczne pomieszczenie na dolnym pokładzie. Ma własny system wymiany powietrza ze zbiorników, które posiadają wyprowadzenie na zewnątrz pancerza.

– Fakt.

– Możemy odciąć to pomieszczenie i ulokować tam wszystkie osobniki.

Badałam rośliny, które żuł ten maluch przed jaskinią. Wydzielają pewną substancję, która wywołuje ciekawe reakcje u miejscowych owadów. Działa jak środek odurzający. Blokuje system nerwowy na kilka godzin, prosiaczki tego chyba używają, żeby zasnąć w dzień. Jeśli wyekstrahujemy trochę tego środka w czystej postaci, będziemy mogli trzymać je w uśpieniu przez dłuższy czas.

– Myślisz?

– Tak uważam.

– Dobrze, przekonałaś mnie. Nie mamy chorych i nie spodziewam się takich, więc możemy wyłączyć szpital.

– Wspaniale. – Znów ruszyła do drzwi.

– A co do tego przypieczętowania umowy...

– Przypominam, co mówiłeś, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz... Wtedy to Doom trzymał się za interes, chcesz być następny?

Roześmiał się na głos. Gdy na niego spojrzała, w palcach trzymał małą szaszetkę herbaty. Wartą chyba miesięczne pobory, o ile oczywiście nie była syntetyczna.

– Myślałem o herbacie... Mogłabyś skoczyć po kubek wrzątku dla szefa?

* * *

Przelot na miejsce akcji nie trwał długo. Sondy Dooma namierzyły jeszcze trzy potencjalne gniazda prosiaczków na tym kontynencie. Zaczęli od położonego najbliżej, zaledwie dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od zatoki.

Rodriguez posadził orbiter na szczycie wzniesienia oddalonego o dwa kilometry od góry, która przypominała poprzednie siedlisko różowych istot. Zakamuflowany kadłub zlewał się z otoczeniem do tego stopnia, iż Ketea po przejściu dwudziestu kroków miała problem z dostrzeżeniem śluzu. Tym razem poszli większą grupą, pomimo początkowych protestów dziewczyny. Dante przydzielił jej prócz Ragnara jeszcze dwóch ludzi – Andrzeja i Hitlera. Mieli sprowadzić sześć osobników, najlepiej młodych. Doom przygotowywał już salę medyczną na ich przyjęcie, usuwając co delikatniejsze wyposażenie. Tam zdecydowali się trzymać prosiaczki do zakończenia operacji, co sądząc z pośpiechu Czarnych Beretów i niewielkiej liczby gniazd bądź jak nazywano je tutaj - węzłów, które zdołali zlokalizować, nie mogło potrwać dłużej niż dwa, trzy dni.

Kat przed zejściem do podnóża góry zerwała naręcze gałązek, które tak smakowały istotom przy poprzedniej wizycie. To samo poradziła pozostałym. Prosiaczki wydawały się bardzo płochliwymi stworzeniami. Gdyby jakieś nie spały, miała nadzieję kupić je łakociami. Dante nie był tak romantyczny jak ona, rozkazał, by w razie trudności po prostu zabić wszystko, co się rusza, i szybko

wracać na pokład. Ale teraz Kat miała trochę więcej do powiedzenia.

Nieopatrznie dał jej możliwość dowodzenia swoimi ludźmi podczas tej misji.

– Sprawdźmy jedną z bocznych jaskiń na dole, po prawej, tam powinny siedzieć młodsze osobniki – powiedziała, gdy zbliżali się do rdzawej ściany.

– Skąd ta pewność? – zapytał Andrzej.

– W kolonii, którą obejrzelśmy wcześniej z Ragnarem, tak to było ułożone...

– Głębokie mają te tunele? – Hitler osłaniał ich i trzymał się nieco na uboczu, ale słyszał wszystko wyraźnie przez interkom.

– Nie mam pojęcia – odparła Ketea. – Weszłam na kilkadziesiąt metrów i już widziałam co najmniej trzy rozgałęzienia.

– Znaczący, mogą być długie – podsumował Adolf.

– Badaliśmy strukturę ziemi rezonansowo do głębokości ponad dwustu metrów i nie trafiliśmy na ślad tuneli poza obszarem tej góry. Ale pod nią może być różnie.

– Ja nie wchodzę – kategorycznie stwierdził czarnoskóry najemnik.

– Cykoria? – Andrzej lubił z niego szydzić; szyderstwa uchodziły płazem, o ile nie wydobywały się z ust osób trzecich, spoza Legii.

– Nie jadam. – Adolf potrafił się zrewanżować.

– A szkoda, bo to taka smaczna przyprawa i zapobiega stanom lękowym.

– Pieprz się, francuski piesku. – Tym razem Andrzej skutecznie wszedł na odcisk Adolfa, wszak była między nimi kobieta. – Nie boję się, ale łażenie po dziurach to domena robali, takich jak ty. Zostaję na powierzchni jako osłona i już.

– Może to i lepiej – mruknęła Kat zadowolona z takiego obrotu sprawy; nie ufała Hitlerowi, nie była pewna, czy nie zaczęłyby masakry tylko dlatego, by pokazać jej, jak mało ma do powiedzenia w oddziale. – Moglibyśmy w ciemnościach wziąć cię za jednego z nich...

Andrzej zachichotał, a Ragnar parsknął tylko, słysząc tę uwagę. Adolf udał, że nic nie dosłyszał. Zeszli niemal do krawędzi cienia rzucanego przez masyw. Słońce stało już w zenicie. Kat przysłoniła wizjer hełmu i włączyła podgląd w podczerwieni. Wszystkie wejścia, które sprawdziła, były czyste. Prosiaczki spały w swoich legowiskach. Nie było żadnych wart ani czujek. Tam, przy zatoce, musiały się wybić ze snu przez wstrząs towarzyszący likwidacji sąsiedniego gniazda. Teraz, miała taką nadzieję, nic podobnego się nie zdarzy.

– Wchodzimy tam – wskazała na otwór o nieco mniejszej średnicy, znajdujący się na wysokości zaledwie metra.

Ruszyła, zanim którykolwiek z najemników zdążył odpowiedzieć, widziała jednak w lusterku, że idą za nią. Tylko Hitler został na zboczach, przysiadł na trawie i oparł swój pulsar o ziemię. Wzruszyła ramionami, lepiej niech siedzi tutaj, niż miałyby narobić zamieszania w jaskini... Zresztą, osłona na wypadek niespodziewanych kłopotów na pewno się przyda.

Kręty korytarz kończył się po kilkunastu krokach niewielką pieczarą. Zatrzymała się u wylotu i przyjrzała całemu wnętrzu. W podczerwieni przekształcanej przez procesory hełmu widziała jak w dzień, czego na pewno nie można było powiedzieć o śpiących na barłogach prosiaczkach. Wskazała ręką na te leżące w pewnym oddaleniu od grupy. Ragnar i Andrzej wymierzili i po chwili dało się słyszeć ciche klaśnięcia. Dwa ciała wyprężyły się na moment i zastygły ponownie w bezruchu. Ketea podeszła do pierwszego i sprawdziła, czy żyje. Biomed był zaprogramowany na badanie istot ludzkich, ale potrafił wykryć rytm serca i sprawdzić temperaturę. A o tym, że istoty te mają coś w rodzaju serca, przekonała się przy poprzedniej wizycie w jaskiniach. Udało jej się przebadać kilka osobników, choć one na pewno nie domyślały się, do czego służy mały kawałek plastiku, którym przesuwiała po ich sierści. Zapamiętane wtedy dane teraz były porównywane z odczytami otrzymanymi od uśpionych prosiaczków. Nie różniły się zbyt wiele. To ucieszyło Kat. Ekstrakt z roślin działał. Skinęła na czekających w progu najemników. Podeszli bez słowa i podnieśli uśpione zwierzęta. Wyłumione specjalnie na tę okazję buty kombinezonów nie uczyniły żadnego hałasu, gdy wychodzili. Kat została. Przykucnęła niedaleko wyjścia i przyglądała się śpiącym istotom. Były tak śliczne, tak niewinne, a jednak zostały skazane na śmierć przez chciwość ludzi. Nie chciała nawet myśleć, jak wiele z nich już nie żyło. Gravitron był czystą bronią, tak przynajmniej twierdził Dante, nie zanieczyszczał środowiska, nie zostawiał promieniowania, nie powodował chorób u tych, co przeżyli. Po prostu prasował określony przez namierniki teren z siłą nacisku milionów ton. Nic, co znalazło się w polu jego oddziaływania, a był to obszar nawet kilku kilometrów kwadratowych, nie miało prawa przeżyć. Prosiaczki ułatwiły zadanie swoim oprawcom. W dzień kryły się w swoich jaskiniach, zasypiały niemal kamiennym snem. Jedynie kilka zbudziło się wczoraj po wstrząsie wywołanym użyciem

broni grawitacyjnej na innym węźle. A przecież był tak silny... Teraz, w całkowitej ciszy, wynoszono kolejne osobniki, a stado spało. Może to i lepiej, że nie zorientują się, jaki los gotuje im człowiek. Żałowała ich szczerze. Ale nie mogła nic zrobić, by powstrzymać masakrę, nie narażając życia najemników i swojego. Choć była gotowa na to ostatnie poświęcenie, nie miała jak porozumieć się z orbitą. Dante zablokował wszystkie kanały komunikacyjne. Swoją drogą, przewidujący z niego facet. Musiał taki być, inaczej nie przeżyłby wojny o Ziemię 2 i tylu lat w zawodzie. Posłuch i szacunek, jakim darzyły go nawet takie szumowiny jak Hitler, też nie brały się z powietrza. Wiedziała, że Dante jest bezlitosny. A jednak opowieść Ragnara pokazała jej zupełnie inne oblicze tego człowieka. Ale czy na pewno? Teraz, gdy się nad tym zastanawiała, przyszło jej na myśl, że tam na Panis Vulcanis nie kierował się czystymi intencjami, ale zwykłym instynktem przeżycia. Walka z górnikiem przyniosłaby śmierć wielu z jego ludzi. Kompromis, który zawarł, pozwalał mu zachować twarz i przy okazji zarobić kupę forsy. Nie udało się, ale za to został bohaterem, o którym w wielu koloniach wciąż krążyły niesamowite opowieści. Oczywiście przerysowane do granic, sama kilka z nich słyszała, nawet jej ojciec czasami je opowiadał. Ale to należało już do przeszłości, teraz liczyła tylko na to, że pieniądze pozwolą jej ocalić kilka osobników gatunku przeznaczonego do bezwzględnej likwidacji. Miała już szczegółowy plan, jak postąpić, aby nie wystawić najemników na szwank ani nie narażać ich na straty. O los Korby się nie martwiła. W końcu jej szefowie zawiadywali majątkiem wielu bilionów kredytów, niewyobrażalną wręcz kwotą, i to, czy zdobędą wpływy na tej planecie, nie było tak ważne dla przetrwania firmy. Tej czy jakiegokolwiek innej. Nowy Raj był łakomym kąskiem dla wielu korporacji, lecz tylko deserem po samym obiedzie. I dlatego zdecydowała się odebrać im te porcje niezasłużonej słodyczy. No, może nie tylko dlatego. Już widziała siebie w encyklopediach jako odkrywczynię pierwszego pozaziemskiego stworzenia obdarzonego inteligencją. Może nawet wzorem dawnych naukowców pozwolą jej nazwać prosiaczki swoim nazwiskiem. Na przykład *Alienus erectus tychoous*. Nie znała co prawda łaciny, języka, który wciąż dominował w tego typu nazewnictwie, ale od czego są słowniki. Na razie ta nazwa wydała jej się odpowiednia...

Ragnar i Andrzej obrócili po raz trzeci.

– Mamy już szóstkę – powiedział Terreine. – Wracajmy.

– Chciałabym jeszcze przez chwilę... – powiedziała wyrwana z zamyślenia Kat.

– Lepiej rusz kształną dupkę, zanim Hitler nie zechce sprawdzić, czy rzeczywiście wpierdalały to samo co jego dziadek...

W tym sarkastycznym stwierdzeniu kryła się groźba. Adolf mógł faktycznie zabić któreś ze schwytych stworzeń. I co gorsza, nikt prócz Kat by nie zaprotestował.

– Wracamy – zakomenderowała, choć oni już byli w tunelu.

Raz jeszcze spojrzała na porzucane w nieładzie ciała i poczuła, jak pod powiekami zbierają jej się łzy. Zamrugła, podniosła głowę do góry i zatrzymała się na moment. Z wrażenia aż otworzyła usta. Nad wylotem tunelu znajdowało się malowidło. W komputerowo poprawionym obrazie widziała każdy szczegół wielkiej panoramy. O ile w poprzedniej kolonii naskalne malunki przypominały te znajdowane w jaskiniach Cro Magnon, to tutaj miała do czynienia ze znacznie bardziej rozwiniętą sztuką. Powoli przejechała wzrokiem po obrazie, rejestrując wszystko osobistą kamerą.

* * *

Nie pokazała tego zapisu nikomu prócz Dantego. Poczekała, aż zmieni Dooma na wachcie w sterowni, i opuściła pomieszczenie szpitalne, w którym na stołach operacyjnych spały prosiaczki. Nikt nie wiedział, jak zadziała na nie środek usypiający, który zastosowali, więc na wszelki wypadek przypięto je pasami, a automatyczne dozowniki podawały następne dawki treospamu tym, co zaczęli odzyskiwać świadomość. Kat wpadła na pomysł, by przyozdobić kabinę roślinami, z jakich go uzyskała, by istoty zbytnio się nie wystraszyły po przebudzeniu, które prędzej czy później musiało nastąpić. Zaszczytne zadanie wykopania kilku krzewów i drzewek otrzymał Hitler. Jeszcze długo można było słyszeć, jak klnie, wymachując łopatą. Ale jedno musiała mu przyznać: ani razu nie powtórzył przekleństwa.

Dante zarządził, by środek nasenny podano im jeszcze o osiemnastej, w porze zmierzchu na tej szerokości geograficznej Nowego Raju. Na wszelki wypadek, gdyby miały się za szybko obudzić. O tej godzinie sam objął wachtę. Doom z resztą najemników udał się do części mieszkalnej orbitera. Do

dwudziestej mieli czas wolny, z którego korzystali niezwykle skwapliwie. Kat teoretycznie miała wolny wstęp do ich kabin, ale wolała, zamiast wysłuchiwania uwag o swoim biuście i innych sferach erogennych, pracę w laboratorium. Przeanalizowała raz jeszcze skład próbek dostarczonych przez chłopaków z okolic gniazda i równiny rozciągającej się na północ od niego. Nie znalazła jednak niczego ciekawego, podobnie nie przyniosły rezultatów odwierty i rezonanse. Ta część kontynentu była naprawdę uboga w życie biologiczne i minerały.

Kwadrans po osiemnastej skończyła robotę. Zahaczyła po drodze o szpital, po czym skierowała się wprost do sterowni. Dante siedział w fotelu i palił cygaro - było to jedyne zajęcie, któremu oddawał się równie chętnie, co ćwiczeniom. Beznikotynowy dym nie szkodził, choć śmierdział jak ten, który w zamierzchłej przeszłości zabił miliony mieszkańców Ziemi.

– Nie niańczysz swoich podopiecznych? – zapytał, gdy weszła do sterowni.

– Nie, zanim którykolwiek się obudzi, minie jeszcze trochę czasu – odparła. – Wpadłam na kawę...

– I?

– I chciałam ci coś pokazać. – Nie zamierzała go zwodzić, na pewno wiedział, że nie przyszła tu tylko na kawę.

– Coś, co dotyczy tych futrzaków?

Podeszła do dyspensera i naląła sobie aromatycznego, smolistego płynu. Uzupełniła kawę warstwą gęstej śmietany i wrzuciła kilka pastylek zsyntetyzowanego cukru. Kubek zamieszał zawartość, cicho pomrukując.

– Tak, mam coś, co powinno cię zainteresować...

– Skoro tak, dlaczego czekałaś tak długo? – wstał z fotela. Pochylił się nad monitorami i coś przełączył.

– Wolałabym, żeby to zostało między nami.

Dante podszedł do stołu i usiadł na krześle obok niej.

– Zrób mi kawy – powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona, ale posłusznie zaparzyła jeszcze jedną, czarnej i niesłodzonej, tyle zdążyła zapamiętać z poprzednich wspólnych posiłków. Podała mu kubek i położyła na stole mały kryształ.

– Co to jest?

– Zapis z holokamery hełmu.

Zmarszczył brwi.

– Z dzisiejszej wyprawy?

– Tak.

Wziął kostkę do ręki i wsunął ją do czytnika zestawu rozrywkowego, umieszczonego na ścianie obok dyspensera. Monitor znajdował się na przeciwległej ścianie, tuż nad blatem stołu. Nagranie nie było długie, miało może z minutę, ale Kat zapętlila je, by Dante mógł dokładniej obejrzeć niezwykle obraz...

– Tak – powiedział po dłuższej chwili, wyciągając kryształ z czytnika. Nie oddał go jednak Kat, tylko schował w kieszeni.

– To kopia – poinformowała go dziewczyna.

– A oryginał jest zapewne dobrze schowany – uśmiechnął się i sięgnął po kawę. Skinęła głową. – Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał, gdy opróżnił kubek.

– Niczego konkretnego, chciałam, żebyś wiedział, że nie masz do czynienia ze zwierzętami.

– Fakt, zwierzę nie mogło namalować czegoś takiego. – Dante wyjął z kieszeni niewielki kryształek i obejrzał go, jakby mógł przez przezroczyste ścianki dostrzec coś więcej niż to, co przed chwilą jarzyło się na monitorze.

– Przyznam, że poczułam się dziwnie, patrząc na tę scenę...

Pokiwał głową w zamyśleniu, po czym odchylił się i raz jeszcze wsunął nagranie do czytnika. Tym razem wziął do ręki pilota. Ustawił opcje wycinania i powiększania fragmentów obrazu. Usunął pasek kontrolny i wskaźniki kombinezonu. Pozostał tylko czysty obraz, zarejestrowany przez zewnętrzną kamerę.

Malowidło przedstawiało stado istot prosiaczkopodobnych. Nieznany malarz przedstawił je bardzo realistycznie. Zważywszy na ciemność panującą we wnętrzu jaskini i nierówności skały, można było mówić o prawdziwej maestrii.

– One widzą w ciemnościach – mruknął Dante po chwili.

– Słucham? – Kat początkowo nie zrozumiała, co powiedział, zamyśliła się, spoglądając na monitor.

– Powiedziałem, że świniaki muszą mieć wzrok, który pozwala im na doskonałe widzenie w mroku. Nie widziałaś przecież śladów ognia w jaskiniach?

– To prawda, nie pomyślałam o tym... Tamte malowidła znajdowały się na wprost wejść przy krótkich korytarzach. Widać je było nawet bez podczerwieni i komputerowej obróbki obrazu...

– To logiczne, są istotami nocy. W dzień kryją się w jaskiniach, nocą wychodzą na żerowiska. Muszą widzieć w ciemnościach...

– Ale w dzień też widzą, przecież tam przy pierwszym kontakcie wyszły na zewnątrz i reagowały na ruch. Patrzyły na mnie.

– W takim razie są istotami doskonałymi, przynajmniej jeśli chodzi o narząd wzroku.

Dante przesunął obraz o kilka klatek, potem jeszcze o kilka. Za każdym razem przyglądał się uważnie fragmentowi malowidła zastygłego na monitorze. A było na co patrzeć. Cały obraz miał ponad trzy metry długości i przedstawiał coś, co można było nazwać tylko w jeden sposób. Rzeź, straszliwą rzeź istot zwanych prosiaczkami. Stado uciekało na prawo, osobniki w pierwszych szeregach wyglądały na przerażone, artysta oddał doskonale mimikę pysków i ułożenie ciał. Nieopodal środka obrazu pojawiały się ginące stworzenia, najwyraźniej rozrywane przez monstra, które wypełniały lewą część obrazu. Dante zatrzymał się na dłużej przy środkowej części. Zrobił zbliżenie na szczególnie interesujący fragment. Ogromne pazury wyłaniały się z korpusu prosiaczka, który miał odrzuconą w tył głowę i otwarty na całą szerokość pysk. Wokół fruwały kawałki jego skóry. Różowe futro odcinało się od szarej powierzchni skały.

– Przerażające... – Kat wpatrywała się w scenę śmierci z dziwną fascynacją.

– Nic dziwnego, że na lądzie nie ma zbyt wielu zwierząt. Te bestie wyglądają na dość drapieżne – stwierdził Dante.

– Ciekawe, dlaczego nie trafiliśmy na nie...

– Pewnie wyginęły po tym, jak zlikwidowały wszystkie źródła pokarmu. Może nawet doszło do kanibalizmu na masową skalę...

Nagle obraz zniknął i monitor zapłonął krwistą czerwienią. Dante syknął, jakby się oparzył, i rzucił się do stanowiska dowodzenia. Kat zdumiona spoglądała na czerwony napis pulsujący na monitorze.

– Alarm? Jaki alarm? – zapytała.

– Biegnij po sprzęt. – Dante nawet nie odwrócił się do niej, gdy to mówił. Sprawdzał kolejne odczyty i włączał systemy obrony.

– Ale co się dzieje? – Zdezorientowana zatrzymała się na środku sali. Zamiast odpowiedzieć, włączył głośniki sprzężone z nasłuchem.

– ...Dwanaście na pozycji wyjściowej. Czekam na dyspozycje.

Zrozumiała, dotarli i tutaj. Spojrzała na zegar, do zmroku pozostało jeszcze dużo czasu, żaden ze zwierzaków pewnie się nie zbudzi. Zresztą dlaczego miałyby się budzić, łąziki trzymały się dość daleko od góry i jaskiń.

– Zmiataj po sprzęt! – ryknął Dante, a ona aż przysiadła ze strachu. – Za chwilę będzie tu gorąco!

Miał rację, choć jeszcze nie wiedział, kto będzie sprawcą prawdziwego zamieszania.

* * *

Orbiter stał przed szczytem niewielkiego wzgórza. Roślinność była tutaj dość bujna, a kamuflaż nie pozwalał dostrzec jednostki gołym okiem, ale dla czułych instrumentów namiarowych była widoczna jak goły Hitler na śniegu. Dante wiedział o tym doskonale, wiedzieli i pozostali, dlatego wszyscy przygotowali się do walki. Założyli nawet kombinezony na wypadek ewakuacji w wyższe partie atmosfery. Liczyli na to, że Zwiebellus z czystej ciekawości spróbuje przechwycić jednostkę, która przebiła się przez kordon Cerbera. A jeśli spróbuje, to będzie musiał na moment rozszczelnić sieć satelitów, by sprowadzić nad planetę myśliwce przechwytyjące. Z nimi orbiter miał większe szanse niż z potężnymi laserami „Cerberusa“. Większe, lecz nie wielkie. Dlatego też nie ruszali się z miejsca, mając nadzieję, że podobnie jak nad zatoką, teraz również zdołają oddalić się tuż przed atakiem. Niezauważeni oczywiście.

– Skurwysyny – mamrotał Adolf, polerując lufę swojego miotacza. – Zawsze muszą wpieprzyć się tam, gdzie nie trzeba.

– Zamknij ryj, czarnuchu – uciszył go Dante. – Muszę się skupić.

– Się wie, chefe...

Pat spojrzął na niego z ukosa. Pokazując palcem Hitlerowi, żeby się więcej nie odzywał, zapytał Dooma:

– Za ile możemy uaktywnić sondę?

– Nie wiem, chefe, muszę to sprawdzić. Baterie były na wyczerpaniu. Zacząłem ładowanie około piętnastej, obawiam się, że to za mało nawet na

kilkunastominutowy lot.

– Sprawdź dokładniej.

W czasie gdy Raoul obliczał coś na komputerze, głośniki ożyły ponownie.

– Młot Osiemnaście do Kowadła. Zająłem pozycję wyjściową. Dystans dwa tysiące metrów, przedpole czyste.

– Zrozumiałam, Młot Osiemnaście, rozpocznijcie skaning.

– Tak jest, rozpoczynamy skaning.

Przez chwilę nie było słycać nic. Chwilę ciszy wykorzystał Doom.

– Mogę podnieść sondę na cztery i pół minuty, o ile nie każesz jej wznieść na maksymalny pułap i zachowamy normalny tryb wznoszenia.

Dante skinął głową na znak, że się zgadza. Dwie sekundy później beznamiętny głos żołnierza zameldował:

– Teren wokół wyjść czysty, nie wykryto żadnej aktywności.

– Kowadło do Młota Dwanaście. Rozpocząć ustawianie namierników.

Doom włączył ekrany. Sonda ukryta w zaroślach powoli wzniosła się w górę. Widzieli oddalającą się powierzchnię planety, wreszcie kamery zaczęły przekazywać obrazy z całego teatru działań. Jeden łazik stał na prawo od nich na skraju dużego płata wysokiej roślinności. To z niego wysypali się żołnierze z namiernikami. Rozbiegli się, tworząc linię. Część zniknęła po drugiej stronie łazika, część biegła niezdarnie w kierunku orbitera.

– A żeby się posrali – nie wytrzymał Hitler. – Leżą prosto na nas.

– Spoko majonez. – Andrzej nie panikował. – Mamy wirtualny kamuflaż, musieliby wałnąć łbami o kadłub, żeby go zauważyć.

– Co jest wielce prawdopodobne. – Ragnarok wskazał najbliższego z żołnierzy. Był już nie dalej niż dwadzieścia metrów od orbitera i nie zwalniał.

– Zatrzyma się, musi się zatrzymać... Zatrzyma się, musi się...

Doom mantrował, jakby chciał wroga powstrzymać samymi słowami, ale uparty piechur wciąż parł naprzód. Zdyszany nie patrzył, gdzie dokładnie biegnie, a imitujący miejscowe zarośla kamuflaż był naprawdę dobry, najnowszy z dostępnych na rynku. Kamera pokazała zbliżenie z góry. Piechur właśnie dobiegał do orbitera, wyciągając rękę, żeby odsunąć zagrażające mu drogę krzewy.

Nic nie usłyszeli, ale zobaczyli wyraźnie, jak pędzący mężczyzna odbija się od elektrostatycznego pola ochronnego. Uderzenie wyrzuciło go na metr w górę.

Dwaj kolejni żołnierze, którzy biegli w pewnej odległości od niego, przypadli do gruntu z bronią gotową do strzału, jeszcze zanim bezwładne ciało ich towarzysza dotknęło ziemi.

– Draper wyeliminowany. – Tym razem głos dobiegający z głośnika nie był wcale spokojny. – Nie mam odczytu, albo nie żyje, albo rozwalił komputer kombinezonu.

– Jak to wyeliminowany, co tam się kurwa dzieje? – Oficer w centrum dowodzenia zapomniał o rytualnych formułkach.

– Biegł na przedzie, przy zaroślach oberwał. Odrzuciło go na kilka metrów, prawdopodobnie nadział się na kleszcza.

– Kurwa mać, sprawdzić to dokładnie... Młot Osiemnaście, nie przerywać skanowania jaskiń. I kompletna cisza!

– Tak jest, panie pułkowniku.

Kolejny Czarny poderwał się z ziemi, chowając blaster do kabury. Przełożył ciężki miotacz z pleców do pozycji strzeleckiej i ruszył w górę zbocza. Poruszał się ostrożniej niż jego poprzednik. Zbliżył się do miejsca, gdzie leżał Draper, zlustrował okolicę i pochylił się nad nieprzytomnym.

– Chyba już po nim – usłyszeli po chwili. – Ma pękniętą osłonę krystalitową, możliwe rozhermetyzowanie. Transmitter jest uszkodzony, dlatego nie mamy odczytu.

– Sprawdź wewnętrzne kontrolki, Morgan. Jeśli Draper jeszcze żyje i nie doszło do skażenia, zabierzcie go stamtąd. Jeśli jest skażony, zlikwidować zagrożenie.

– Tak jest. – Żołnierz jeszcze raz zlustrował krzewy, ale nie zauważył niczego niezwykłego.

Przywołał czekającego w pobliżu towarzysza i gestem kazał mu kryć ścianę roślin. Ponownie się pochylił i przystawił wizjer hełmu do szklanej osłony chroniącej twarz leżącego. Przy odrobinie szczęścia mógł zauważyć kontrolki systemu podtrzymywania życia umieszczone na dolnej listwie hełmu. Jednakże aby pomóc szczęściu, musiał przewrócić Drapera na bok, co też zaraz zrobił. I to był błąd. Ranny bereciarz ocknął się w chwili, gdy Morgan go przewracał, i będąc w szoku zareagował instynktownie. Szarpnął się i sięgnął po przymocowaną na plecach broń.

– Kurwa, Drap, to tylko ja! – krzyknął zaskoczony takim obrotem sprawy

żołnierz. – Pojebało cię czy co...

Dalsza konwersacja nie miała większego sensu, lufa ciężkiego pulsara nieubłaganie zmierzała ku głowie Morgana. Zrobił więc to, co mógł w takiej sytuacji zrobić - podbił broń oszołomionego kolegi, kierując jej wylot w górę. Szarpnięcie spowodowało odruchową reakcję Drapera. Nacisnął spust.

Co się stało, zebrani w sterowni zorientowali się moment później, gdy pocisk wystrzelony z granatnika umieszczonego na obudowie lufy wzbił się w niebo. Biała smuga widoczna z kamer umieszczonych na pancerzu orbitera różniła się nieco od widoku przekazywanego przez sondę. Na ekranie zamiast kreski widoczny był tylko biały, rosnący punkt.

– Kurwa mać, namierzył się na sondę – jęknął Doom.

Rzeczywiście, granat zbliżał się do wiszącej kilkaset metrów nad tym miejscem kamery.

– Wznoszenie – krzyknął Dante.

Raoul rozpoczął wznoszenie ułamek sekundy wcześniej, ryzykując karę za niesubordynację. Sonda ruszyła ostro w górę, ale mimo że obraz uciekał w szybkim tempie, biały pióropusz gazów wylotowych rósł w oczach.

– Jaki to kurewstwo ma zasięg? – zapytał Hitler, nerwowo ściskając broń.

– Po balistycznej około trzech kilometrów. – Andrzej starał się przypomnieć sobie dokładne dane, on jeden był obryty w rodzajach broni do tego stopnia, by znać takie szczegóły. – W górę polecą na siedemset metrów, nie więcej.

– To mamy jeszcze sto. – Doom odsunął się od klawiatury, teraz nie mógł już nic zrobić.

Samonaprowadzający się pocisk mknął w ślad za sondą.

– Wytraca prędkość. – Hitler pierwszy zauważył zmianę, a może tylko pierwszy ją wyartykułował. Faktycznie, spaliny zaczęły rzednąć.

– Nam też kończy się paliwo – oznajmił grobowym głosem Dominguez.

Sonda zaczęła automatyczne wyhamowywanie. Jej oprogramowanie zawierało procedurę na wypadek wyczerpania zapasu paliwa. Procedura ta powodowała przerwanie aktualnego zadania w momencie, gdy poziom energii przekroczy wartość potrzebną do bezpiecznego powrotu. Taki moment właśnie nastąpił.

Granat wciąż się zbliżał, choć już nie tak szybko. Rósł w oczach, to fakt, ale smugi kondensacyjnej nie było widać. Wreszcie osiągnął maksymalną

wysokość, zaledwie o dwa metry od obecnej pozycji sondy. Widzieli wyraźnie, jak obła głowica o średnicy pięciu centymetrów zawisa na ułamki sekund, a potem rusza w dół. Widzieli też żółty krąg wymalowany na jej zapalniku. Klasycznego śmieszka. Draper musiał być zabawowym draniem.

– Kumulacyjny. G-505 Mark VIII, jak widać, bez funkcji zbliżeniowej. – Andrzej na oko rozpoznał typ granatu. – Na jakiej wysokości się zatrzymał? – zapytał Dooma.

– Sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć metrów.

– Kurwa, dokładny jestem jak szwajcarski zegarek, czymkolwiek on był.

– Prawda. – Hitler poklepał go po plecach, chyba odrobinę za mocno.

– Patrzcie, jak spierdalają. – Ragnarok wskazał na obraz przekazywany z kamer na pancerzu orbitera.

Żołnierze rzucili namierniki i biegli do wozu, jedynie Draper siedział jak ogłupiały na trawie i wymachiwał bronią. Dopóki nie upadł granat, co nastąpiło dosłownie sekundę po tym, jak skierowali na niego kamerę. Wybuch rozerwał go na strzępy, te jednak nie poleciały tak wysoko, by zarejestrowała to kamera z opadającej sondy.

– Ciekawe, co ich tak wystraszyło? – zastanawiał się Andrzej. – Przecież nie ten granat. Puść głośniejsze ich pasmo...

Raoul podkreślił głośność. Słyszał było nawet sapanie biegnących.

– Młot Osiemnaście do Kowadła. Możliwość wyrojenia, zgłaszam możliwość wyrojenia!

– Co tam się dzieje? – Facet tytułowany pułkownikiem powoli tracił cierpliwość.

– Przypadkowe odpalenie granatu, sir! – zameldował ktoś zdyszany głosem.

– Jak to: przypadkowe? – pieklił się oficer. – Kto to zrobił?

– Draper, sir!

– Rozstrzelać idiotę!

– Potwierdzam, sir – znów zasapany głos, chyba Morgana.

– Co potwierdzacie?

– Draper nie żyje.

– No, to rozumiem. – Pułkownik jakby się uspokoił. – Młot Dwanaście, skanujcie jaskinie.

- Skanujemy, sir.
- I co?
- Jak na razie nic...
- Dobrze, wycofajcie się, jak tylko osiemnastka zbierze ludzi.
- Tak jest, przerywamy skanowanie za... ja pierdolę...
- Słucham?!
- Wyrojenie, mamy pełne wyrojenie! Kleszcze na powierzchni!
- Wycofać wozy!!! – ryknął pułkownik. – Natychmiast wycofać wszystkie jednostki. Dwunastka, osłaniajcie odwrót.
- Tak jest, sir... ale musimy podjąć oddział piechoty.
- Za późno. Ratujcie wozy!
- Ależ, sir!...

– Jak coś spierdolicie, kapitanie, osobiście dobiore się wam do dupy!

Dante przykręcił głośność i przełączył obraz z sondy na wszystkie ekrany. Z wnętrza góry wylewały się potoki przedziwnych stworzeń. Budową przypominały nieco Prosiaczki, ale tylko na pierwszy rzut oka. Może za sprawą wydłużonych przednich kończyn. Były jednak bardziej masywne i całe ciało miały pokryte kostnym pancerzem. Były też diabelsko szybkie. Poruszając się na czterech odnóżach zakończonych pojedynczymi, lekko zakrzywionymi pazurami o długości trzydziestu centymetrów, zdawały się płynąć tuż nad ziemią.

– Daj no zbliżenie. – Dante wyłowił wzrokiem Kat i ruchem głowy wskazał na szarżujące zastępy. – Kleszcze... Oto i nasze brakujące ogniwo.

- To ich boją się Czarnuchy... – mruknął Andrzej.
- Nie boję się żadnych robali – zachnął się Hitler.
- Mówiłem o Czarnych Beretach, nie o tobie – Andrzej zmierzył go rozbawionym wzrokiem – wyjątkowo...
- Popatrzcie na to! – Kat wskazała monitor. – Popatrzcie tylko na to...

* * *

Z wnętrza góry nadal wylewały się hordy pokracznych istot. Teraz były ich już tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy. Żywa rzeka rozlewała się coraz szerzej po równinie, zmierzając w kierunku obu transporterów. Ukryci w dźwiękoszczelnej kabinie orbitera nie słyszeli żadnego dźwięku dobiegającego z

przedpola, nie czuli też rytmicznego drżenia ziemi, jakie z pewnością ponaglało uciekających żołnierzy.

Czarne Berety zmykały tak szybko, jak tylko to było możliwe. Ciężkie opancerzone kombinezony nie pozwalały im jednak na wielkie tempo ewakuacji. Kleszcze były jeszcze daleko, może o kilometr od bezpiecznego wnętrza łoża, lecz miały wielokrotną przewagę prędkości. Dante ocenił, że co najmniej czterech komandosów nie zdąży dopaść luku.

– Dlaczego nie spierdalają z tą puszką? – Hitler na swój nieskomplikowany sposób wyraził myśli wszystkich zgromadzonych w sterowni.

– Bo są żołnierzami, nie dzikusami. – Doom spojrział na niego z nieukrywaną pogardą. – Zostawiłbyś nas w takiej sytuacji?

– Skąd – obruszył się Adolf, ale widać było, że niezbyt szczerze.

– Spierdoliłbyś jak nic – mruknął Andrzej, o mało co wywołując kolejną sprzeczkę.

Wyraźnie pękali. Choć byli twardzielami, sytuacja zaczęła ich przerastać. Kat cofnęła się i wyszła pomiędzy najemników. Spojrzała na Ragnaroka, który nadal siedział za stołem z kubkiem w ręku. Poruszał bezwiednie ustami, patrząc w ekran. Zbliżyła się do niego powoli. Ale nawet stojąc dwa kroki od nordyka, nic nie słyszała.

– Co mówisz? – zapytała.

–Widzę wilka Skolla – powiedział głośniejszym głosem – który w tym dalekim dniu połknie Słońce, i Księżyc też zaginie, a gwiazdy zbryzga krew. Ziemia się trzęsie, drzewa i skały padają i wszystko niszczeje...

– Co... o czym ty, kurwa, mówisz? – Andrzej miał oczy okrągłe jak talerze.

–Wszystkie więzy zostają zerwane! – krzyknął Ragnar, zamykając oczy. – Wilk Fenrir wyrwał się na wolność, morze wdziera się na ląd, a Jormungand, wąż Midgardu, wypływa na brzeg. Zrywa się z kotwicy statek Naglafar. Zrobiony jest z paznokci zmarłych, a więc, kiedy mąż umiera, obcinajcie mu paznokcie, żeby długo budowano statek. Ale teraz widzę, jak unosi się po wodach potopu, a kieruje nim olbrzym Hymir. Fenrir zbliża się, rozdziawiając paszczę, Jormungand zaś rozpryskuje truciznę po morzu i powietrzu...

Struchlała Ketea spoglądała na najemników. Odwrócili się od ekranów i patrzyli na pogrążonego w transie nordyka. Ale tylko przez moment, wydarzenia na równinie przyciągnęły ich wzrok niczym magnes opiłki metalu. Kleszcze

były już czterysta metrów od łoża. Ktoś otworzył ogień do pędzącej masy. Ale nie była to załoga maszyny, która wolno się poruszała w kierunku nadbiegających sylwetek. Strzały padały z góry. Myśliwce Floty!

– Rozwierają się niebiosa – deklamował Ragnar z zamkniętymi oczami i wypiekami na twarzy –i w płomieniach schodzą z nich synowie Muspell. Prowadzi ich Surt z ognistym mieczem, a kiedy jadą po Bifroście, most załamuje się pod nimi i spada na ziemię, potrzaskany w kawałki.

Uśmiech zastygł na twarzy Dooma, gdy dwa myśliwce zderzyły się podczas nieudanego manewru wąskiego nawrotu i zwały na ziemię w kuli ognia. Spadły tuż przed czołem pędzących na oślep kleszczy. Mrowie ich zginęło w sięgającej tysiący stopni temperaturze, ale to nie powstrzymało ich marszu. Skrzydła falangi otoczyły krąg ognia. Napór tylnych szeregów wciąż spychał setki zwierząt w morze płomieni, większość jednak omijała pułapkę i podążała ku metalowemu żukowi, oddalonemu o zaledwie dwieście metrów.

– Loki także jest wolny i śpieszy na równinę Vigrid. Obaj z Hymirem wiodą na bitwę olbrzymów szronu. Wszyscy poplecznicy Hel idą za Lokim. Garm, pies piekieł, szczeka zajadle przed pieczarą Gnipa, a jego pysk lśni krwią. Słyszę, jak Heimdall we wrotach Asgardu trąbi na rogu Gjallar. Jego głos czysty i ostry rozbrzmiewa po wszystkich światach, odtrąbiając Dzień Ragnaroku...

Żołnierze wreszcie dostrzegli beznadziejność swojego położenia, dwóch zatrzymało się i zaczęło strzelać do nacierających kleszczy. Dysponowali potężną bronią, ale nawet dziesiątki kolejnych zabitych nie były w stanie powstrzymać dzikiej furii tajemniczych istot. Poszarpane promieniami i granatami osobniki ginęły pod pazurami pobratymców i zamieniały się w krwawą masę. Czoło falangi było już o sto metrów od pierwszego z komandosów.

– Gromadzą się Asowie, Odin po raz ostatni jedzie do źródła Mimira. Drży Yggdrasil, drzewo świata, niebiosa i ziemia. A teraz widzę, jak Asowie kładą zbroję i jadą na pole bitwy. Pierwszy jedzie Odin w złotym hełmie i jasnej zbroi na rumaku Sleipnirze, z oszczepem Gungnirem w ręku. Jedzie na wilka Fenrira. Thor jest u jego boku, wymachując Mjollnirem, ale nie może nic pomóc Odnowi, bo poświęca wszystkie siły walce z Jormungandem...

Łazik zatrzymał się i ustawił pod kątem do nacierających. Wszystkie lufy wozu bojowego bluznęły ogniem. Odpalono rakiety, granaty i działka laserowe.

Ziemia przed czołem atakujących zagotowała się, wyrzucając wysoko w błękitne niebo fragmenty roślin i trafionych zwierząt. Ale napierająca masa była szersza od zasięgu laserów; część kleszczy zginęła, ale inne parły naprzód. Drugi transporter znajdował się na razie poza ich zasięgiem, ale jego załoga zdawała sobie sprawę, że szarżujące istoty zmierzają także w ich kierunku. Uruchomiono dysze pionowego startu i kadłub zadrzał w nieudanym wysiłku wzlecenia ku niebu. Pilot w panice zdławił ciąg, za szybko otwierając przepustnice. Maszyna spadła na ziemię i znieruchomiała, przechylona pod ostrym kątem. Załoga mimo to próbowała podnieść go raz jeszcze.

– Frey walczy przeciw Surtowi, bój trwa długo, w końcu Frey pada. Ach, nie poległby, gdyby miał w dłoni swój miecz. Ale oddał go Skirnirowi. Och, jak głośno szczeka Garm w pieczarze Gnipa! Teraz się zerwał i napadł na Tyra. O, gdyby Tyr miał dwie ręce, trudno byłoby Garmowi go kąsać, ale teraz jeden drugiego kładzie trupem. Thor zabija węża Midgardu, jest to czyn tak wielki, że równego mu nie dokonał nikt przedtem i nikt nie dokona później. Odchodzi od miejsca swej walki, ale po dziewięciu krokach pada na ziemię, bo potężny jest jad, którym prysnął na niego Jormungand...

Ostrzał przedpola nie osłabł, kolejni komandosi zatrzymywali się na zboczu, widząc bezsensowność ucieczki. Krótkie błyski zabójczego światła skrzyżowały się na pierwszych szeregach pajęczaków, siejąc zniszczenie, ale kleszcze już dopadły pierwszego żołnierza. Zginął w sekundę, nikt nie potrafił powiedzieć, czy nadziany na pazury szarżujących bestii czy po prostu stratowany. Kipiąca masa momentalnie pokryła miejsce, którego bronił. Do następnego było zaledwie kilkadziesiąt metrów wolnej przestrzeni. Dwie sekundy, może trzy, i kolejny Czarny Beret zniknął pod ruchomym dywanem obcych istot. Po tej stronie łązika był jeszcze jeden żołnierz, nie przerwał ognia nawet na chwilę, ale karabin umilkł, gdy czoło fali zbliżyło się na dziesięć metrów do jego stanowiska. Padł na ziemię, a rzeka bestii przelała się nad nim. Kilka sekund później w środku skłębionej masy rozkwitła wielka kula jasnego ognia. Komandos nie oddał życia tanio. W ostatniej chwili odbezpieczył granaty i choć zginął, zabrał ze sobą tysiąc z okładem przeciwników.

– Odin i Fenrir wciąż się zmagają ze sobą, ale w końcu wilk odnosi zwycięstwo i pożera Odina...

Kleszcze dotarły do strzelającego łązika. Ukryci pod grubym na metr

pancerzem ludzie pewni byli swojego bezpieczeństwa, nie na darmo wozy te zyskały miano niezniszczalnych podczas wielu bitew na oddalonych planetach. Promienie pulsarów nie były w stanie spenetrować porowatej masy aktywnego pancerza. Nawet eksplozja, o ile tylko nie używano broni nuklearnej, nie mogła zagrozić ukrytym w nim żołnierzom. Lecz to, co normalnie czyniło z łożnika ruchomą fortecę, tym razem okazało się zgubne. Kleszcze otoczyły maszynę żywą barierą. Wspinały się na korpus ledwie sekundę po tym, jak dotarły do jego burt, i pokrywały go dywanem swoich ciał. Załoga nie przerywała ognia, likwidując setki przeciwników, paląc ich ciała, tnąc je i miażdżąc sześćsettonową masą maszyny. I to właśnie zgubiło zbyt pewnych siebie ludzi. Któryś z kleszczy, umyślnie bądź nie, zablokował swoim pancierzem wyrzutnię rakiet. Odpalenie następnej salwy skończyło się fatalną w skutkach eksplozją w komorze amunicyjnej. Wstrząs po tym wybuchu odczuli nawet najemnicy zgromadzeni w sterowni orbitera. Kamery pokazały obraz totalnego zniszczenia. W żywej rzece pojawiła się niemal kilometrowa wyrwa. Zginęły niezliczone tysiące atakujących istot, ale nadal pozostało ich tyle, by zagrozić drugiej maszynie. Front ruszył wprost na wznoszący się łożnik.

– Vidar śpieszy pomścić ojca i stawia stopy na dolnej szczęce Fenrira. Chroni go but ze skrawków ludzkiej skóry, ścinanej z pięt. Toteż jeżeli człowiek chce pomóc Asom, powinien ją często ścinać i odrzucać. Vidar chwytą za szczęki wilka i rozdziera mu paszczę. Taki jest koniec Fenrira. Loki toczy bój z Heimdallem, zabijają się nawzajem i obaj padają na ziemię.

Kleszcze nie były w stanie dosięgnąć uszkodzonego łożnika, który wzbił się kilkanaście metrów nad ziemię. Krążyły bezładnie po równinie tuż pod maszyną, która majestatycznie zatrzymała się nad środkiem tego kłębowiska. Na dole były jeszcze dziesiątki tysięcy krwiożerczych istot, może nawet i sto tysięcy. Bitwa powoli zamierała... Strzały z lecącego łożnika nie robiły zbyt wielkiego wrażenia na masie traktującej ziemię

– Młot Dwanaście do Kowadła. – Cichy głos dobiegający z głośników wyrwał Kat z chwilowego zamroczenia. Potrząsnęła głową jakby z niedowierzaniem i rozejrzała się po kabinie. – Osiemnastka zniszczona, oddział powierzchniowy też. Potrzebuję dyspozycji – drżącym głosem kontynuował meldunek dowódca łożnika.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

– Określcie sytuację, Młot Dwanaście.

– Wyrojenie w toku. Nadal mamy kilkadziesiąt tysięcy żywych osobników. Nie jesteśmy w stanie ich opanować.

– Kurwa mać! – Głos pułkownika nie był już tak opanowany. – Jaki jest wasz status?

– Wznieśliśmy się w powietrze mimo uszkodzeń. Krążymy nad kleszczami, absorbując ich uwagę. Na razie nie rejestrujemy rozpadu stada, ale zbliża się...

– Macie sprawny system radiolokacyjny? – przerwał mu oficer z centrali.

– Tak jest.

– Uruchomcie radar dalekiego zasięgu...

– Ale... po co?

– Nie dyskutować, wykonać.

– Tak jest.

Zapadła cisza.

– Surt rzuca ogień na ziemię i świat ginie w pożodze – obwieścił już znacznie ciszej Ragnar, otwierając wreszcie oczy – Zstępuje ciemność i nie widzę już nic więcej.

Kat spojrzała na niego, potem przeniosła wzrok na pole upiornej bitwy. Jedyne słońce tego systemu zniknęło powoli za horyzontem, pogrążając pobojuwisko w całkowitej ciemności.

– Po co im ten radar? – zastanawiał się na głos Doom, gdy nagle Dante skoczył do jego fotela.

– Wypieprzamy stąd! – ryknął, szarpiąc go za ramię. – Oni namierzają się na ten łazik.

– Ale...

– Za chwilę przypierdolą w to miejsce grawitronem! Na oślep!

Nie trzeba było mu powtarzać dwa razy. Doom nie zapinał nawet pasów, tylko uderzył dłonią w aktywator silników; teraz nie miało najmniejszego znaczenia, czy załoga łazika ich dostrzeże. Do potencjalnego ataku z orbity zostało niespełna kilka sekund.

Orbiter wyprysnął na sto metrów w górę i ruszył na południe, oddalając się od niedawnego pola bitwy. Za późno. Potężny wstrząs przechylił maszynę o sześćdziesiąt stopni, zwalając wszystkich z nóg. Kat poleciała w tył wprost na Adolfa, który chwycił się przegrody przy stanowisku dowodzenia.

Kilkudziesięciokilogramowy pocisk zmiotł czarnoskórego najemnika, ale zafundował miękkie lądowanie kobiecie. Miękkie, ale nie na tyle, by zdołała zachować przytomność.

* * *

Obudziła się, czując wszechogarniający ból. Pamiętała bitwę i nagłe poderwanie maszyny. Upadku już nie mogła sobie przypomnieć. Poruszyła palcami u rąk, potem stopami. Była w stanie to zrobić, ale czuła przy tym kłujący ból. Kręgosłup zdawał się cały... na szczęście. Ale dlaczego jest tu tak ciemno...? Czyżbym oślepa?! Spróbowała się poruszyć, ale coś ją trzymało, coś przygniatało jej nogi. Coś twardego i obłego. Ciało, martwe ciało. Zaczęła krzyczeć.

– Ciszej nad tą trumną – jęknął ktoś obok jej ucha.

Umilkła natychmiast.

– To ty, Andrzej? – zapytała najciszej jak umiała.

– Ja. – Odpowiedź była krótka.

– Tak się cieszę, myślałam, że wszyscy zginęliście. Tak tu ciemno...

– Przy upadku straciliśmy kontrolę nad silnikami i rufą. Szczęście, że w ogóle udało nam się przeżyć...

– A co z pozostałymi?

– Ragnar żyje, jęczy mi do drugiego ucha. Ty upadłaś chyba na Hitlera.

Kat poruszyła ręką, starając się wymacać teren wokół siebie. Trafiała na szeleszczącą materię kombinezonu. Przesuwając ręką w prawo i w lewo namacała kołnierz i głowę Murzyna. Krzyknęła, gdy ugryzł ją w palec.

– Oszalałeś, Adolf?!

– Leżysz mi... na przeponie... – wychrypiał.

– Coś przygniotło mi nogi, nie mogę się ruszyć – próbowała się wytłumaczyć.

– Nie coś, tylko ktoś – mruknął Andrzej. – Nasz patron raczył wylądować na szczycie tego przekładańca.

– Gównu zawsze wypływa na wierzch – sapnął Adolf.

– Słyszałem to. – Głos dobiegający z ciemności był zduszony, ale bez wątpienia należał do Dantego.

Kat poczuła, że nacisk na jej nogi zelżał. Wielki najemnik poruszył się i usiłował wstać. Po drugiej próbie ciężar jego ciała zniknął.

– Kto zginął? – zaraz padło pytanie.

– Jeśli Doom się nie odezwie, to mamy jednego kandydata.

Doom się nie odezwał.

– Ja, kurwa, pewnie też już nie mam co marzyć o życiu – mruknął Hitler.

– Żebyś wiedział, Adolf. – Dante przesunął się gdzieś dalej, jego głos dobiegał z ciemności po prawej.

– To był żart, chefe...

– Umrzyj jak mężczyzna, mein führer – zachichotał Andrzej. – Pokaż, że masz jaja.

– Nie mogę – jęknął Hitler – laska właśnie na nich leży, ale może wam opowiedzieć... To, do czego przed chwilą się przytulaaś, panienko, nie było moją ręką...

Kat dźgnęła go łokciem, ale chyba nie trafiła. Zaśmiał się tylko i strząsnął ją jak uschnięty liść. Wylądowała na twardej powierzchni. Jęknęła, czując ból promieniujący ze stłuczonych żeber. Już się odwracała, by opieprzyć Adolfa, gdy nagle jasne światło zalało sterownię. Musiała zacisnąć oczy i zasłonić je ręką, by kłujący ból zelżał.

– Niech się stanie światłość – wycharczał Andrzej po fakcie.

Przyzwyczajanie oczu do blasku trwało chwilę. Kat otarła łzy i zamrugła nerwowo. Orbiter leżał pochylony na bok. Mocno pochylony. Zbyt mocno...

– Nie jest źle – powiedział Dante.

Spojrzała w stronę, z której dobiegał głos. Widziała tylko zamazaną sylwetkę. Raz jeszcze przetarła oczy. Nie na wiele się to zdało. Nadal nie miała ostrości wzroku. Spróbowała się podnieść, z trudem klęknęła, potem ktoś podniósł ją i postawił na nogi. Nieomal upadła, kolana miała jak z waty, ale czyjaś ręka nie pozwoliła jej zwalić się na podłogę.

– Kadłub jest szczelny – obwieścił Dante. – Reaktor też nienaruszony. Nie polecimy wprawdzie, ale systemy podtrzymywania życia powinny działać.

– Hurra! – wysapał Andrzej – A jak tam się miewa dispenser?

Dante nie odpowiedział. Pochylał się, to widziała, ale nad czym, mogła jedynie zgadywać.

– Co z Doomem? – zapytała, gdy cisza się przedłużała.

Nikt nie odpowiedział. Domyśliła się dlaczego. Potykając się, przeszła kilka kroków.

– Mam ukończony kurs pierwszej pomocy – wydyszała. – Może uda mi się...

– Jeśli potrafisz domontować głowę do korpusu, to proszę bardzo... –

Majaczące przed nią plecy Dantego odpłynęły w bok. Z powodu piekących i coraz bardziej łzawiących oczu nie widziała wyraźnie tego, co odsłonił, ale słodkawy odór krwi uzmysłowił jej, że spóźniła się ze swoją ofertą pomocy.

– Przepraszam – szepnęła.

– Nie masz za co przepraszać. – Plecy Dantego znów znalazły się przed jej oczami. Tym razem wyraźniejsze.

Odwróciła się, usiadła. Zamrugwała i delikatnie otarła łzy. Facet, który jeszcze nie tak dawno przygryzał jej, teraz nie żył. Nadal czuła charakterystyczny zapach śmierci, zbierało jej się na wymioty, ale przełknęła ślinę i zacisnęła szczęki.

– Hitler, sprawdź, co z Ragnarem – zagrzmiał tuż nad jej głową Dante. – A ty, Rewolwer, przestań się głupkowato uśmiechać i chodź mi pomóc. Musimy wynieść Raoula ze sterowni.

Najemnicy ruszyli się, słyszała to raczej, niż widziała.

– Pat – szepnęła mrugając rozpaczliwie – Pat, ja nie widzę...

Pochylił się nad nią i zobaczyła, jak zamglony kształt przesuwa się jej przed oczami.

– Całkiem nie widzisz? – zapytał z pewną troską w głosie.

– Tylko zamazane plamy...

– W porządku, to minie. To tylko szok pourazowy. Zamknij na chwilę oczy i powoli je otwieraj, przyzwyczajaj się do światła.

Wstał i przeszedł dalej, klepiąc ją w ramię.

– Rewolwer, to nie była prośba, to był rozkaz! Zabieraj dupę i pomóż mi wynieść Dooma do... – Głosy zaczęły się od niej oddalać, a światło przygasło. Zemdląca.

* * *

– Niewiele da się z tym zrobić – powiedział Ragnarok, wysuwając się z otwartego panelu. – Większość urządzeń została zniszczona podczas upadku.

Połąpałem, co się dało, ale trudno mówić o uruchomieniu orbitera. Przeżyć, przeżyjemy. Żyrogenerator działa, wyprostujemy się za kilka minut, ale polecieć, nie polecimy. Nie ruszymy tej kupy złomu z miejsca nawet o milimetr. Co najgorsze, jesteśmy też głusi i ślepi.

– Musimy jakoś zawiadomić dwójkę i trójkę. – Dante siedział w fotelu drugiego pilota i przyglądał się robocie Ragnar.

– Zostają nam sygnały dymne albo...

– Albo? – zainteresował się Hitler.

– ...nadajniki skafandrów – dokończył nordyk.

– Chyba cię pojebało!!! – ryknął Adolf. – Widziałeś, co tam się działo!?

Ragnar pokręcił głową i przysiadł na fotelu Dooma.

– Nie widziałem.

– Tylko debil zgodzi się wyjść na zewnątrz – stwierdził czarnoskóry najemnik.

– Słuszna uwaga. – Dante spojrzał na niego znacząco. – Debil albo czarnuch.

– O nie, ja na pewno nigdzie nie pójdę.

– Spokojnie, Adi, gówno zawsze wypływa na wierzch, pamiętasz?

– Kurwa...

– ...też kobieta. Zakładaj hełm i popylaj, robaczku, do śluzy.

– Nie mam hełmu. – Hitler wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. –

Wymieniłem się z Kat podczas lądowania.

– Masz hełm, tylko dziurawy – przypomniał mu Dante. – Ale nie denerwuj się, nie jestem sadystą. Podczas misji ściągania świniaków pożyczyłeś garnek od Dooma. Teraz też możesz to zrobić.

– Ale on ma go na głowie...

– Ta głowa już się na ciebie nie obrazi...

– Jasne... Jak coś, kurwa, idzie nie tak, to czarnuchy muszą narażać dupę.

– Zamknij ryj i wypierdalaj do śluzy, bo zaraz sprawię, że zamiast dupy będziesz miał tylko wspomnienia o niej. – Dante nagle stracił ochotę do rozmowy. – Wezwij tutaj dwójkę i nie próbuj wiać przed zakończeniem przekazu, bo...

– Dobra, dobra... – Hitler podniósł pulsara z podłogi i podszedł do uchylonych drzwi. – Jeśli nie wrócę... przynajmniej wypijcie moje zdrowie.

– Spoko majonez – powiedział Rewolwer.

– A kto stawia? – zainteresował się Ragnar.

* * *

Zewnętrzny właz musiał otworzyć za pomocą korby. Spocił się przy tym jak mysz i mało nie porzygał, wykładzina hełmu była jeszcze lepka od krwi, a wysoka temperatura wyzwalała ze zdwojoną siłą tkwiący w niej słodki odór śmierci. Hełm Dooma podczas zderzenia z konsolą doznał kilku mechanicznych uszkodzeń, ale o dziwo, wciąż nadawał się do noszenia. Zachował nawet pełną szczelność. Osłona nie pękła, choć pojawiło się na niej kilka głębokich rys. Za to kontakty przedstawiały obraz nędzy i rozpacz. Musiał odłączyć komputer, żeby cokolwiek widzieć. Językiem! Niebieskie komunikaty o błędach krytycznych wyświetlały się z częstotliwością trzech na sekundę. Wolał pozbać się kilku przyjemności, w tym chłodzenia, żeby mieć lepszy widok. Od tego mogło zależeć jego życie.

Otworzył mały właz techniczny i wyjrzał na zewnątrz orbitera. Było już całkiem ciemno. Obły kadłub zasłaniał większą część horyzontu. Doom sprowadził maszynę do niewielkiego jaru, co uchroniło ją od całkowitego rozbicia, ale teraz sprawiało nie lada kłopot. Adolf zamierzał nadać wiadomość nie schodząc ze stopni włazu, tyle że nie miał stamtąd zasięgu. Setki ton plastalowego pancerza tłumiły fale. Musiał zeskoczyć na ziemię i przejść przynajmniej na skraj skarpy, a to oznaczało przebywanie na otwartym terenie przez dwie, może trzy minuty. Czyli o dwie, może trzy minuty za długo. Nadal miał przed oczyma obrazki z bitwy, która zakończyła się zaledwie godzinę temu. Trudno powiedzieć, czyim zwycięstwem. Jeśli kleszcze przetrwały, to... wolał nawet o tym nie myśleć. Sprawdził ładownice i wyjął dwa granaty termiczne. Zważył je w dłoniach i uaktywnił zapalniki kontaktowe. Jeśli czają się w pobliżu, to będzie piecyste.

* * *

Kat obudziła się w swojej kabinie. Zdezorientowana rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu, ale nie zauważyła nawet śladu katastrofy, którą wciąż miała przed oczami. Odsunęła koc i spojrzała na swoje smukłe, opalone

nogi. Poruszyła palcami. Nie czuła żadnego bólu. Nie widziała żadnych sińców. To był sen, pomyślała. Zwykły koszmar...

Usiadła na koi i sięgnęła po wideofon. Wystukała kod sterowni. Odebrał Dante.

– Słucham – powiedział niewyraźnie, przygryzając cygaro.

– Gdzie jest Doom?

Spojrzał na nią jakoś tak dziwnie.

– Jak to: gdzie? U siebie – rzucił, i kręcąc głową, wyłączył się.

Jest u siebie. Zatem wszystko w porządku. Odetchnęła. Założyła lekki kombinezon pokładowy i wyszła na korytarz. Kabiny chłopaków znajdowały się za załomem korytarza. Doom zajmował ostatnią od wejścia do sterowni. Szła spokojnie pustym i chłodnym korytarzem, cichy pomruk generatorów Zanussiego działał odprężająco i usypiająco. Minęła szerokie dwuskrzydłowe drzwi sterowni, potem dwie pary mniejszych. Zatrzymała się przy tych z naklejką oznajmiającą:

«PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ, CIPKI, KTÓRE TU WCHODZICIE».

Pod spodem ktoś nabazgrał ceramitowym pisakiem:

«Wielkie ego, mały fiutek».

Wiedziała, kto. Teraz nawet trochę się tego wstydziła. Stała przed fotokomórką, ale zanim zdążyła się odezwać, połyskliwa płyta drzwi zniknęła bezgłośnie w ścianie. Z kabiny powiało chłodem. Klimatyzator był ustawiony na pełne chłodzenie.

– Doom? To ja, Kat... Jesteś tu?

Nie odpowiedział, ale w świetle nocnej lampki zobaczyła jego nogi. Leżał na łóżku.

– Słuchaj, miałam straszny koszmar i... – mówiła, idąc w kierunku koi.

Wypowiedzenie tych słów zabrało jej akurat tyle czasu, ile było potrzebne, by stanąć u wezłowania. A tam zobaczyła całą sylwetkę leżącego. A właściwie ciało, bowiem patrzyła na bezgłowy tułów, złożony w foliowym worku. Zrobiło jej się słabo. Poczowała nagły chłód spływający po plecach i chwytający ją za gardło. Pierwszy skurcz żołądka przyszedł sekundę później. Odwróciła się do wnęki z umywalką...

Straciła przytomność po raz trzeci tego dnia.

* * *

– To był głupi pomysł – powiedział Dante.

Czekał przy śluzie na wracającego z rekonesansu Adolfa.

– A co miałem zrobić? – Murzyn wzruszył ramionami. – Sam kazałeś zabrać mu hełm...

– Ale nie kazałem ci wkładać głowy do umywalki. Teraz mamy dodatkowy kłopot.

– Ależ, chefe. Gdzie niby miałem położyć tę pieprzoną głowę? Ona wciąż krwawiła!

– Trzeba było włożyć do worka...

– A miałem na to czas? – Hitler nie bardzo rozumiał, o co ta cała awantura. – Stało się coś, że się tak pieklisz?

– Stało. – Dante wypluł niedopałek cygara i jeszcze dymiący wrzucił do śluzi. Potem uruchomił rygle. – Kat poszła go odwiedzić. Myślałem, że jaja sobie robi, jak o niego zapytała...

– I co? – zainteresował się czarnoskóry najemnik.

– Zemdląła i rozwaliła sobie głowę. O mało się nie udusiła własnymi wymiocinami.

Hitler pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Te baby – mruknął, ściągając kombinezon.

– Lepiej mów, jak wygląda sytuacja na zewnątrz. – Dante przeszedł do zasadniczego tematu.

– Przecież widziałeś przekaz z mojej kamery.

– Widziałem, ale przekaz wideo to nie to. Chcę poznać twoje zdanie...

Adolf spojrział na niego i przygryzł górną wargę. Zawsze tak robił, kiedy się zastanawiał. Inni marszczyli czoło, on zaś w taki sposób wyrażał stan najwyższego skupienia.

– No, gadaj! – ponaglił go Dante.

– Na moje oko załatwili wszystkie. Dolina, czy jak kto woli lej, ma ze dwa kilometry średnicy i jest wypełniona breją ze zmiażdżonych ciał. Łaziki wyglądają, jakby je ktoś sprasował, ale dają się rozpoznać. Na obrzeżach leja leżą bardziej rozpoznawalne szczątki kleszczy, ale nie widziałem takich, co by

zginęły od wstrząsu albo podmuchu...

– To oznacza – przerwał mu Dante – że rozproszyli maksymalnie wiązkę. Uderzenie było na tyle silne, że zabiło wszystko w promieniu rażenia, lecz nie zdołało zniszczyć maszyn. To nam uratowało dupy. Gdyby tak skomasowali promień na jednym kilometrze, nie byłoby co zbierać.

– Co fakt, to fakt – zgodził się Hitler.

– Teraz musimy tylko doczekać przylotu dwójki.

– To mamy siedem godzin lenistwa. Kaczory mówiły, że na kontynencie zaczął się wzmożony ruch, dlatego muszą zachować maksymalną ostrożność. Pytali nawet, czy nie wywołać czegoś podobnego dla dymu...

– Lepiej żeby nie dotykali niczego, co się pali i wybucha... – Dante pokręcił głową.

– Myślę – Hitler założył pokładowy kombinezon i przyczesał włosy, przeglądając się w osłonie hełmu – że bereciarze poważnie wzięli się do roboty. Robią namiar średnio co godzinę po stronie planety.

– Po tym co tu się stało, wcale im się nie dziwię. – Dante odpalił nowe cygaro. Adolfa nie poczęstował. Murzyn nigdy nie nauczył się palić, za to pił jak noworuski człowiek.

– Idziemy, trzeba się przygotować do przenosin.

* * *

– Jak tam naprawy? – zapytał Pat, sadowiąc się w fotelu pilota. Rewolwer siedział, paląc papierosa, na skraju otwartego luku technicznego. Wystające z mrocznego wnętrza nogi należały do Ragnaroka.

– Spoko majonez, chefe. Ten pokład jest już nasz. Mamy łączność, wodę, oświetlenie i wszystkie bajery. Gorzej z ładowniami i częścią techniczną. Ale pracujemy nad tym.

– Właśnie widzę.

– Płaska szesnastka. – Głos Ragnaroka dobiegał jak ze studni.

– Się wie. – Rewolwer odwrócił się i wygrzebał ze sterty narzędzi żądany klucz. Włożył go w otwór i chwilę siedział tak pochylony.

– Kiedy skończycie? – Drugie pytanie Dantego przywołało wyraz zadumy na twarz Andrzeja.

- Robimy, co możemy...
- Pytałem: kiedy? – powtórzył Dante, tym razem wolniej i dobitniej. Rewolwer wzruszył ramionami, a z otworu dobiegł dudniący głos Ragnarar:
 - Jeszcze godzina, góra dwie...
- Uśmiechnięty Rewolwer zaciągnął się dymem z papierosa.
- Będzie, jak majster mówią – dodał od siebie.
- Jeśli skończycie za godzinę – rzucił Dante, wstając z fotela – to po powrocie na Ziemię dostaniecie najnowszy skafander.
- Bosko. – Terreine uniósł kciuk w geście zwycięstwa.
- Nie ty. – Pat poklepał go po ramieniu. – Majster...

* * *

Dokładnie o dwudziestej drugiej udało im się odzyskać kontrolę nad dolnym pokładem. Nie działały jeszcze wszystkie systemy, ale odblokowali większość zamków i podłączyli zasilanie.

Dante zwołał odprawę kwadrans wcześniej. Pozostało im jeszcze pięć godzin oczekiwania. W tym czasie nad polem niedawnej walki mogły się pojawić patrole Floty, a orbiter nie miał już osłony maskującej. Uderzenie Gravitronu zniszczyło sześćdziesiąt procent aktywnego poszycia i całą ukrytą w nim elektronikę. Cudem ocalili, okupując sukces tylko jedną ofiarą. Doom miał pecha, cholernego pecha, że znalazł się na drodze zwykłej tacy kuchennej. Siła uderzenia porwała ją z terminala i cisnęła wprost w szyję najemnika. Cienki plastik zadziałał jak ostrze gilotyny, zagłębiając się w materii skafandra i mięśniach chroniących kręgosłup. Ślepy traf, którego nikt nie brał pod uwagę, odebrał życie człowiekowi, umiejacemu wyrwać się z okrążenia, a nawet zlikwidować w pojedynkę bunkier z kompanią piechoty. Los lubił płać figle, ale teraz chyba posunął się za daleko. Przynajmniej w opiniach pozostałych przy życiu członków Legii Przestrzeni.

Kat siedziała z obandażowaną głową przy stoliku. Reszta załogi skupiła się wokół fotela Dantego. Ragnar gmerał coś przy tablicy rozdzielczej. Kończył już robotę i nie przeszkadzało mu, że dyskutują.

– Na moje oko Cesarscy słusznie likwidują to tałatajstwo. – Hitler miał spolaryzowane poglądy na życie. Czarne było czarne, a białe znajdowało się po

stronie przeciwnej. Żadnych szarości. Oczywiście czarne było dobre...

– Przy okazji niszczą jedyne rozumne istoty, jakie napotkaliśmy w tej części Galaktyki.

– Zwierzęta, nic więcej niż zwierzęta – prychnął Adolf.

– A widziałeś ich malarstwo?

– Te bohomyzy? – roześmiał się.

– Nie. To, co znalazłam za drugim razem...

Spojrzał na nią zdziwiony, podobnie jak pozostali.

– Spokojnie. – Dante wyjął kryształ z kieszeni. – Nie było okazji, żebyście to widzieli.

– Odnoszę wrażenie – powiedział Rewolwer – że jestem niedoinformowany.

– A ja odnoszę wrażenie, że zaraz będziesz przepracowany. – Pat nie dał się zbić z pantałyku. – Skoro mówię, że nie miałem okazji wam tego pokazać, to nie miałem. Kat przyniosła mi tę taśmę tuż przed bitwą.

– W takim razie przepraszam. – Andrzej sięgnął po papierosa.

Dante włożył kasetę do czytnika. Nagranie nie było długie, po chwili znów wrócili do dyskusji.

– Myślę, że to wyjaśnia zagadkę nieobecności fauny na kontynentach – podsumowała Kat.

– A ja myślę – przerwał jej Ragnarok – że nasz raj ma bezpośrednie połączenie z piekłem.

– To znaczy?

– Te jaskinie, które zamieszkują świ... – spojrzenie na Kat kazało mu przerwać – ...prosiaczki, są łącznikiem ze światem podziemnym, gdzie mieszkają te tam, kleszcze. Dlatego Czarnuchy czopują wszystkie wyjścia.

– Pytanie tylko – Dante przyjął tę hipotezę na wiarę – czy okaże się to skuteczną metodą na powstrzymanie kleszczy.

– Wszystko wskazuje na to, że tak.

– Nie byłbym tego taki pewien. Oni blokują tylko widoczne wyjścia, a jeśli są inne, których nie znajdują?

– Panowie. – Kat znów zdołała zabrać głos. – Za przeproszeniem, ale to ja tu jestem specem od nauki, nie wy. Analizowałam wyniki testów sonicznych i wstrząsowych. Ta planeta ma solidny płaszcz, nie ma możliwości, żeby pod powierzchnią istniał jakiś inny świat. Kleszcze żyją pod ziemią, to fakt,

widzieliśmy, jak się wyroiły. Ale to lokalne gniazda, nie wyjścia z podziemnego świata.

Patrzyli na nią z umiarkowanym zainteresowaniem. W normalnych warunkach zapewne nie doszłaby do głosu, ale teraz, w obliczu tak straszego wroga, zdali się na rozsądek i słuchali opinii jedynej osoby, która wiedziała więcej od nich.

– Zbierzmy to, co wiemy o tej planecie. Oceany kipią życiem, na niebie też lata co nieco. Natomiast na ziemi nie ma praktycznie nic prócz roślinności i owadów. Zatem możemy przyjąć, że wyrojenie kleszczy nie jest tutaj niczym nowym ani rzadkim. Co więcej, ewolucja po stworzeniu tego gatunku zatrzymała się, przynajmniej na lądzie. Widzieliście, do czego zdolne jest takie stado...

– Oj, widzieliśmy – wtrącił Andrzej. – Załatwiły w pełni sprawny łązik. Kurwa, panowie, na Gobulis Tertio taka maszyna rozwaliła niemal całe miasto. Kombinowaliśmy jak cholera, ale nie mogliśmy jej powstrzymać, dopóki nie skończyła dzieła zniszczenia, a tym tu wystarczyła niespełna minuta i bum.

– Nie mieliście takich pazurów. – Hitler rzucił na podłogę prawie półmetrowy fragment odnóża kleszcza. Pochylili się nad nim, dotykając ostrożnie, jakby to była relikwia. Jedyne Kat odskoczyła z przerażeniem.

– Przecież to... – jęknęła, zatykając usta.

– Spokojnie – wyjaśnił Dante z uśmiechem. – Ta łapka przeszła pełen proces dekontaminacji i jest jałowa jak gadka Adolfa.

– To kurewstwo jest twardsze od diamentu – zreferował Hitler, gdy kobieta wróciła do szeregu. – Widziałem pancierz łązika zryty tak, jakby to była zwykła milimetrowa blacha. Nie wiem, jaką siłą dysponują te istoty, ale wbicie tego gówna na dwa centymetry w helonową powłokę jest, jak dla mnie, mistrzostwem świata.

Zgodzili się z nim. Nie było odporniejszego metalu niż helon, a jednak tutejsze stworzenia radziły sobie z nim jak ze zwykłym drewnem.

– Czy mogę? – Kat odczekała, aż wszyscy skończą podziwiać odnóże przyniesione przez Hitlera. – Doceniam wasz podziw dla tych istot, ale raczcie zauważyć, że przez nie zginie inna inteligentna rasa.

– Pieprzenie. – Hitler machnął odnóżem. – Jaki masz dowód na to, że te futrzaki namalowały panoramę?

– Nie kpij ze mnie, negatywie! – Kat aż poderwała się z krzesła.

– Bo co?

– Bo... – zamilkła na chwilę, co wszyscy zebrani wzięli za oznakę słabości, ale ona szukała jedynie odpowiedniej riposty.

– No, słucham – judził Adolf.

I nagle ją olśniło.

– Pieprzony prawiczek – syknęła.

Hitler zbieleł na twarzy. Pozostali patrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Co powiedziałaś, suko?

– Nie miałaś jeszcze żadnej kobiety, troglodyto.

– Setki ich miałem i błagały...

– ...żeby ci stanął. – Zaśmiała się szatańsko, a Hitler pobieleł jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

– Ty, ty...

– Ja, ja – kpiła z niego w żywe oczy. – Może wszyscy ci zazdroszczą tego, co masz w gaciach, ale oboje wiemy, że twój organizm nie ma tyle krwi, żeby napompować takiego flaka.

– Gównno prawda! – ryknął Adolf, zrywając się z miejsca.

– Siadaj – Dante podniósł z ziemi pulsar i wymierzył w Murzyna – i nie przeszkadzaj więcej pani doktor. Nie znasz się na malarstwie, a ona na męskości.

– Jedyne, co potrafię pomalować, to ściana. – Hitler usiadł, ale jego wzrok nadal zabijał.

– Kat, przeproś Adolfa za te pomówienia...

Popatrzyła na Dantego, potem na wściekłego czarnoskórego najemnika.

– Okay, moje dywagacje to tylko przypuszczenia. Nigdy nie słyszałam o tak wielkim... egzemplarzu.

– Ten temat nikogo nie interesuje – zgasił ją Dante. – Mówmy o świniakach...

– Racja. Prosiaczki są ewenementem na skalę wszechświata. Przynajmniej tej części, którą znamy. Jeszcze nigdy ludzkość nie trafiła na obce istoty rozumne. Były wprawdzie bakterie krzemowe, były porosty, były nawet planety z życiem na poziomie pierwotniaków, ale jeszcze nigdy nie trafiliśmy na istoty, które posiadają inteligencję pozwalającą na tworzenie rzeczy tak abstrakcyjnych jak malarstwo. Tego fresku, który widzieliście, nie powstydziliby się nawet człowiek. A jednak zdecydowano się na unicestwienie populacji tych istot, uznając, że

zagrożenie ze strony kleszczy jest zbyt wielkie. Faktem jest, że zniszczyły wszystkie gatunki zwierząt na lądzie. W wodzie zapewne nie są w stanie żyć. Z tego, co widziałam na ekranach podczas wyrojania, ich budowa nie rokuje wielkich szans na pływanie, a organów do pobierania tlenu z wody pewnie w ogóle nie wykształciły. To oczywiście tylko hipoteza oparta na tym, co widzieliśmy niedawno, ale moim zdaniem bardzo prawdopodobna.

– Hipotezy hipotezami, ale gdzie konkrety?

Kat usiadła, musiała się chwilę zastanowić. Sytuacja zbyt się skomplikowała, by mogła przyjąć za pewnik, że eksterminacja prosiaczków ma na celu li tylko uniknięcie dziesięcioletniej kwarantanny.

– Istoty, które zdołały wyniszczyć życie na całych kontynentach, są cholernie niebezpieczne, dlatego Zwiebellus i Flota zdecydowali się na ich eksterminację. Sama optowałabym za takim rozwiązaniem, ale coś mnie tu niepokoi ... – przerwała, zbierając myśli.

– Słuchamy, słuchamy.

– Obecna wiedza pozwala mi na wysnucie pewnego wniosku. Wydaje mi się, że Flota mogła schwytać pewną liczbę istot zwanych prosiaczkami – powiedziała w końcu. – Liczbę potrzebną do zachowania gatunku. Resztę przeznaczono na straty...

– To znaczy, że te futrzaki w szpitalu są głównie warte? – Dante skierował na nią lufę pulsara.

– Tego nie powiedziałam.

– Ale ja usłyszałem...

– Powiedziałam jedynie, że istnieje taka możliwość. A to różnica.

– Pamiętaj, że wszystko co robiliśmy przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, idzie na twoje konto...

– Zdaję sobie z tego sprawę – przytaknęła – ale musisz przyznać, że wiele się od tamtej pory wydarzyło.

Skinął głową, co trochę ją uspokoiło.

– Nie mamy możliwości, żeby to sprawdzić, chyba że oni sami się z tym zdradzą – zauważył Rewolwer.

– Nie liczyłbym na to... – Dante opuścił pulsar i spojrzał na Ragnara, który wycierał właśnie ręce.

– Gotowe – powiedział nordyk.

– Mamy pełną kontrolę nad dolnym pokładem?

– Absolutną. – Uśmiech Ragnara był zaraźliwy.

– No to sprawdźmy, co tam się dzieje. – Dante odwrócił się do konsol i zaczął aktywację systemów dolnej kondygnacji orbitera.

Kamery ożywały jedna po drugiej: ładownia, przedział maszynowy, generatory, magazynek, szpital. Nie patrzył na ekrany, ale inni patrzyli.

– Ja pierdołę – jęknął Adolf.

Dante podniósł głowę. Najpierw spojrzał na Hitlera, potem na ekran nad głową.

* * *

Zajęli pozycje w korytarzu. Dante obserwował wnętrze szpitala na ekranie przenośnego wideofonu sprzężonego z systemem kamer przemysłowych, pozostali sprawdzali ściany i wszystkie otwory czujnikami ruchu i temperatury.

– Czysto – zameldował Andrzej.

Przenieśli się do następnego narożnika. Przed zejściem na dół odcięli cały sektor. Musieli dostać się do szpitala, gdzie powietrze było skażone. Dlatego wszyscy nosili pełne kombinezony próżniowe.

– Jak one się tu dostały? – Kat spoglądała przez ramię na niewielki ciekłokrystaliczny wyświetlacz pokazujący nerwowo poruszające się kleszcze. Na łóżkach pełno było krwi i fragmentów ciał prosiaczków. – Kadłub jest szczelny, śluzy cały czas były zamknięte, wtórny obieg szpitala nienaruszony...

– Dowiemy się później... – Dante wolał skupić się na bezpieczeństwie swoich ludzi. Ragnarok i Hitler szli na szpicy, w pełnych kombinezonach i z najcięższymi rodzajami broni, jakie znaleźli w ładowni.

– A może te skurwysyństwa wyłażą ze świniaaków... – Andrzej stanowił straż tylną, miał najmniej do roboty i czas na rozmyślanie, choć też dźwigał niemal dwumetrowy kaem igłowy Hecklera & Kochańskiego.

– Zastanów się, co mówisz. – Dante nie oderwał nawet wzroku od ekranu, słysząc jego słowa.

– Zastanowiłem się, chefe – odparł Rewolwer. – Nie ma możliwości, żeby to kurewstwo wlaźło na orbiter bez naszej wiedzy. Czyli...

Kat zatrzymała się nagle, powodując nerwowość zarówno straży przedniej,

jak i tylnej.

– Rewolwer może mieć rację – powiedziała, kierując te słowa do Dantego.

– Myślisz?

– Owszem. – Przykucnęła przy dowódcy. – Ile ich widzisz?

– Kilka, pięć albo sześć, nie mogę ustawić panoramy całego pomieszczenia.

– Założę się, że jest ich tam sześć – mruknął Andrzej.

– Ja też – dodała Kat.

Dante pokiwał głową.

– Zrobiliśmy się w...

– Nikt nie mógł tego przewidzieć. – Kat nie pozwoliła mu dokończyć. –

Wyglądały tak niewinnie.

– To by tłumaczyło, dlaczego zamieszkiwały jaskinie, którymi wydostawały się na powierzchnię Kleszcze – powiedział Dante.

– Otóż to. Założyliśmy, że są ofiarami, a tymczasem to oprawcy...

Niesamowite istoty...

– Kiedyś czytałem o czymś takim – mruknął Andrzej.

– To znaczy?

– Była taka powieść o facecie, co drinknął kwasa i zmienił się w swoje... no...

– Alter ego – odpowiedziała mu Kat.

– Nie, w tego, no... przeciwieństwo... – Andrzej marszcząc brew starał się znaleźć właściwe określenie.

– Alter ego to jest właśnie przeciwieństwo.

– Nie znam niemieckiego – usprawiedliwił się Rewolwer.

– Ale to nie po niemiecku.

– Tak? – zdziwił się. – A brzmiało tak... aryjsko.

Dante skrzywił się. Drażniła go ta rozmowa. Skądkolwiek przyszły kleszcze, musieli się ich pozbyć, i to szybko.

– Zamknijcie się – syknął. – Zabijemy je, to pogadamy...

– Spoko majonez. – Rewolwer potrząsnął ogromnym karabinem zawieszonym na żyrouprzęży. – Nas nie łykną jak Czarnuchów.

– Tylko dobrze celuj – napomniał go Ragnarok.

Jeszcze tylko dwa załomy korytarza dzieliły ich od drzwi szpitala. Nadal było czysto, żadnych śladów, żadnych odczytów. Posuwali się szybko, uważnie sprawdzając każdą dziurę i zakamarek. Nie znali przeciwnika tak dobrze jak

podczas poprzednich misji, toteż woleli nie ryzykować. Wyglądało jednak na to, że kleszcze nie wydostały się ze szpitala.

Hitler wyjrzał za ostatni róg. Schował się szybko, ale dał znak, że droga jest wolna. Wyszli w szyku i ustawili się naprzeciw drzwi. Z lewej stał Andrzej, z prawej Adolf. Obaj z hecklerami. Pośrodku ustawił się Ragnar z miotaczem ognia. Dante i Kat stali za nim.

– Otwórz drzwi. – Pat popchnął dziewczynę do tablicy kontrolnej.

– Oszalałeś? Wystawię się... – Odsunęła się od niego.

– Sprowadziłaś tutaj to gówno, to teraz posprzątaj – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Kat poszukała wsparcia u najemników, ale ci nie okazali jej współczucia.

– Ruchy na sprzęcie – ponaglił ją Hitler.

– Dobrze, tylko mnie nie postrzelcie.

– Spoko. – Dante machnął ręką: – Dam ci znak w momencie, gdy będą oddalone od drzwi.

– Patrz na rękę pana, suko – wtrącił Adolf, ustawiając broń na wprost wejścia. – Spóźnisz się o ułamek sekundy i po tobie.

Kat posłała mu mordercze spojrzenie, ale nie skomentowała obraźliwej wypowiedzi. Podeszła do drzwi i położyła dłoń nad czytnikiem linii papilarnych. Spojrzała na Dantego. Najemnik podniósł rękę. Sekundy mijały i nic się nie działo. Dziewczyna coraz bardziej się męczyła, nie była przyzwyczajona do takiego stresu. Krople potu zaczęły jej ciurkiem płynąć po czole. Co gorsza, dłoń również się spociła.

– Teraz – krzyknął Dante, ale umówionego gestu nie zrobił.

Opuściła rękę na czytnik i szybko wbiła kod dostępu.

– Twoje prawo. – Głos, który dotarł do jej uszu, należał do Ragnara.

Zrobiła to, co wpoił jej przed wejściem do jaskiń. Rzuciła się szczupakiem poza obręb drzwi, zanim najemnicy otworzyli ogień. Uderzenie o twarde płyty podłogi zabolowało, ale o wiele mniej niż rana postrzałowa albo poparzenia.

Ragnar pokrył szczelinę w drzwiach ogniem z miotacza, blokując dostęp do korytarza, a Adolf i Andrzej, kierowani przez Dantego, rozpoczęli ostrzał szpitala. Kamery pozwalały namierzyć pozycję szalejących kleszczy. Dwa zostały zmiecione w pierwszych sekundach kanonady. Wyraźnie było to widać na ekranie. Trzeci, prawdopodobnie ranny, schronił się w martwym polu

widzenia kamery. Pozostałe miotały się pod bocznymi ścianami.

– Musicie zagaęścić ogień – krzyknął Dante. – One chowają się w głębi pomieszczenia.

Andrzej przestał strzelać, podobnie Hitler. Ragnar nadal podgrzewał atmosferę, uniemożliwiając przedarcie się bestii przez otwarte drzwi.

– Jak? – zapytał Rewolwer.

– Ragnar gasi płomień, a wy stajecie w drzwiach i siejecie do wszystkiego, co się rusza.

– Tego nie da się zgrać. – Adolf też miał wątpliwości. – Będzie sekunda przerwy.

– Da się – zawyrokował Dante. – Jak się pośpieszycie, nawet tego nie zauważą.

– Na trzy – rzucił Ragnar.

Skinęli głowami.

– Raz... dwa... trzy!

Płomień zgasł i obaj najemnicy ruszyli do przodu, przerywając ostrzał. Dym przesłaniał im pole widzenia, ale ruch zobaczyli, zanim dobiegł do nich ostrzegający okrzyk Dantego. Hitler miał lepszy refleks i wypalił od razu. Andrzej spóźnił się o kilka dziesiątych sekundy, lecz to wystarczyło, by jeden z kleszczy wypadł na korytarz.

Jednakże zamiast zaatakować – czego się spodziewali – pomknął w głąb przejścia i zniknął za rogiem, zanim zdążyli zareagować. Adolf pociągnął za nim serią, ale tylko osmalił policzek Andrzeja i zmusił Kat do ponownego przywarcia do podłogi.

– Kurwa – jęknął Ragnar – gdzie ty masz oczy?

– Wal się. – Hitler podniósł dymiącą lufę. – Spierdolił, po prostu spierdolił, bo jesteście cioty.

– Mogłeś mnie zabić. – Rewolwer dotknął dłonią piekającej rany na twarzy.

– On też – odciął się czarnoskóry i miał rację.

Kat zamknęła drzwi. Zapadła cisza. Broń stygła, najemnicy uspokajali się.

– Zaraz... – mruknęła Kat, podnosząc się z podłogi i wskazując na Dantego.
– Z twoich słów wynika, że załatwiliśmy dwa. Jeden uciekł, zostają jeszcze...

Zostały trzy. Zadymione wnętrze szpitala nie pozwalało już na obserwację kleszczy. Dante odrzucił bezużyteczny wideofon i ustawił się za Andrzejem

twarzą do korytarza, w którym zniknął intruz.

– Druga próba – zarządził. – Rozwalmy te, co zostały, a potem zajmiemy się uciekinierem.

– Słusznie. – Adolf przeładował swojego hecklera. – Dawaj, lala, do klamki.

– Jeden jest ranny – przypomniała, kładąc rękę na terminalu – i może być w amoku...

Wielki i zadziorny sukinsyn wyskoczył na nich jak pajac z pudełka. Jakby rozumiał, o czym rozmawiali. Pojawił się w przejściu, ledwie Kat wspomniała o jego istnieniu. Z rozwalonego boku tryskała zielonkawa posoka.

Tylko Ragnar zdążył zareagować. Z jego miotacza buchnął płomień. Musnął odnóże stwora, który w tym czasie mknął już w kierunku skamieniałej ze strachu dziewczyny. Kat stała z ustami i oczami otwartymi na całą szerokość. Kleszcz był tuż przed nią. Stożkowaty łeb odchylił się do tyłu, by zadać mordercze uderzenie, ale pociski z automatu Rewolwera były szybsze. Łeb stwora rozprysnął się na kawałki, trafiony serią małokalibrowych naboju. Zakończone rogowatymi szponami odnóże zmłóciły powietrze o centymetry od nieruchomej Kat. Bestia zwała się na podłogę. Ragnar nadal blokował drzwi strumieniem ognia.

– Trzy do zera – skomentował Hitler.

– Krwawisz. – Andrzej wskazał na Kat lufą automatu.

Dziewczyna spojrzała na swoje piersi. Kombinezon był rozdarty w paru miejscach. Ostre jak diamenty szpony rozcięły materię, zdolną powstrzymać nawet pocisk. A razem z nią skórę i ciało. Dotknęła jednego z rozcięć ręką i spojrzała na czerwone plamy zdobiące palce.

– Dziabnął mnie – szepnęła i po raz kolejny osunęła się na podłogę bez czucia.

– Super... – Adolf opuścił karabin. – Nie dość, że jeden spierdolił, to jeszcze mamy balast.

– Ja ją zastąpię. – Dante ustawił się przy zamku. – Ragnar, na trzy wyłączasz ogień. Adolf na szpicy, kryjesz prawą, Rewolwer lewą.

– Zrozumiałem, lewa. – Andrzej popchnął lufą Hitlera. – Ruchy, nie będziemy tak tu stali do rana.

– Znowu ja. Adolf na zewnątrz, Adolf do środka, Adolf to, Adolf tamto. Czemu Andrzej nie pójdzie? Ja nie chcę.

– A kulkę chcesz? – Dante wymierzył wprost w osłonę hełmu. – To rozkaz. Hitler odwrócił się i podniósł broń.

– To nie jest, kurwa, żaden film – dodał jeszcze, stając w rozkroku obok płomienia – gdzie czarnuch musi przeżyć do finału, to pierdolone życie najemnika!

– Sam je sobie wybrałeś – dorzucił Ragnar. – Na trzy gaszę.

– Raz. – Ustawili się przy drzwiach. Przełączyli wizjery na podczerwień.

– Dwa. – Sprawdzili broń i przygotowali się do biegu.

– Trzy! – Ruszyli, Adolf od razu strzelił długą serią, czyszcząc przedpole, Andrzej poprawił, jak tylko minął futrynę. Ragnar odwrócił się na lewo, Dante na prawo. Pilnowali tyłów.

– Brak odczytów – zameldował po chwili nieco spanikowany Hitler, ale nie przerwał ognia.

– Jak to: brak? – zdziwił się Dante.

– No, brak to brak, nie widzę żadnego celu.

– Spieprzył ci się czujnik podczerwieni?

– Nie, wszystko jest okay, ale nie widzę celów... Jakby wyparowały.

– To po co strzelasz? – zapytał Dante.

– Na wszelki wypadek. – Odpowiedź była zgodna z logiką Hitlera.

– Wstrzymać ogień i wycofać się – rozkazał Pat.

Posłuchali.

– Co robimy, patron? – zapytał Andrzej, gdy drzwi zamknęły się przed lufą jego kaemu.

– Czekamy.

– Na co?

– Aż dym się rozwieje. – Dante schylił się po wideofon. – Sprawdzimy, gdzie się schowały.

– Może się przypiekły albo zaczadziły – powiedział Ragnar. – Ten dym jest kurewsko toksyczny.

– Może. Za kilka minut będziemy wiedzieli na pewno, a tymczasem niech ktoś opatry Kat, bo jeszcze się wykrwawi. I niech to nie będzie Hitler, bo chcę, żeby żyła.

Ragnar jak zwykle znalazł się przy dziewczynie, zanim Dante skończył mówić. Miał wprawę w opatrywaniu ran, w kopalniach często zdarzały się

wypadki, a przy poważniejszych pracownicy socjalni porzucali swoje biurka i zostawali sanitariuszami. Rana była długa, ale powierzchowna. Wyjął ją i ściągnął kawałkiem skóry w sprayu. Podał też dziewczynie kilka działek środków przeciwbólowych i najsilniejsze antybiotyki. W tym surowicę, którą sama opracowała. Przynajmniej w teorii powinna powstrzymać infekcję wirusów, znalezionych w tutejszej atmosferze i glebie. Istniało jednak duże ryzyko, że nie wszyscy mikroskopijni mordercy wpadli w jej szkiełko. Ale ci zeszkrobani z odnóża przyniesionego na statek przez Adolfa powinni być w komplecie.

– Skończone – powiedział Ragnarok, wstając.

– W samą porę, mam już jako taki obraz. – Dante poruszał ostrożnie manipulatorem i przyglądał się każdemu zakamarkowi.

– Kurwa mać – aż jęknął, gdy coś zobaczył.

– Co jest?

Zgromadzili się za jego plecami, ale widzieli niewiele.

– Mamy wyłom w tylnej ścianie – poinformował ich. – Te sukinsyny przebiły się do ładowni.

– Jak? – Andrzej z niedowierzaniem pokręcił głową. – Przecież to plastal gruba na dwa centymetry. Wzmacniana helonem...

– A jednak widzę ślady cięć i sam otwór.

Adolf otworzył drzwi do sali szpitala. Resztki dymu rozwiały się po korytarzu, pędzone przeciągiem.

– Potrafiły pochłostać łazik, to i ze ścianą dały sobie radę – mruknął, rzucając broń na zakrwawiony stół.

– No to mamy kłopot – podsumował ostatnie wydarzenia Ragnar. – I trzy kleszcze na pokładzie.

– I pięć godzin do przybycia Kaczorów.

* * *

– To wszystko pikuś – stwierdził Adolf. – Byle się nie rozdzielać. Zawsze jak ktoś oddziela się od grupy, ginie.

– Skąd czerpiesz te mądrości? – zapytał Ragnar. – Z „Piranhas in Avatar of Titanic”?

– Ze „Star Trek of Alien” – odparował Hitler. – W każdym porządnym horrorze tak jest.

– Ale to nie horror, tylko samo życie. – Rewolwer ostentacyjnie zakręcił bębniem swojej antycznej broni. – A my nie jesteśmy cioty, tylko najtwardsze sukinsyny po tej stronie jądra Galaktyki. Jest Obcy do zabicia, to trzeba go zabić.

– Najpierw musimy go znaleźć – zgasił ich Dante.

– Znajdziemy – powiedział Hitler z przekonaniem – pod warunkiem, że się nie rozdzielimy.

Wszyscy się zgodzili, nawet Kat, mimo że chyba nie wiedziała, o co właściwie chodzi. Surowica może i blokowała rozwój obcych wirusów, ale na pewno oszałamiała, i to do tego stopnia, że wszyscy się nią zainteresowali.

– Super – Dante przeszedł między nimi, wymachując wideofonem – tylko powiedzcie mi, jak je namierzyć, chodząc grupą. Każdy pokład ma zamknięty obieg korytarzy. Pójdziemy z prawej, on zwieje lewą i vice versa.

– No to naprawdę mamy problem – zasepił się Adolf.

– Spoko majonez, czarnuchy w klasycznych horrorach zawsze przeżywają. To się nazywa political correctness.

– Wal się człowieku, ten skurwiel to prawdziwa maszyna do zabijania.

– Tak jak my. – Andrzej z chłodną ręką w dłoni czuł się pewnie.

– Ale ty nie pobiegiesz przez pole minowe na wprost łazików bereciarzy, pieprząc, czy urywa ci jaja – Adolf dźgnął go palcem w pierś – a on owszem...

To zdanie przygasiło bojowy zapal w oczach najemników. Kleszcze rzeczywiście wykazywały się niesamowitą determinacją z pogranicza samobójstwa. Ale to mogło obrócić się przeciw nim. Jeśli dobrze zaplanować akcję...

– Musimy się ich pozbyć, zanim pojawią się Kaczory – uciął dyskusję Dante.
– A właściwie – zapytał nagle Ragnarok – dlaczego nie otworzymy luków i nie spieprzymy na górny pokład? Jest izolowany od tych pomieszczeń. Może te skurwiele po prostu sobie pójda?

– Nie sądzę. – Głos Kat był cichy, ale wyraźny.

Spojrzeli na nią, była blada jak śmierć i chwiała się na nogach.

– Dlaczego nie sądzisz? – zapytał ją Dante.

– Są bestiami, ale inteligentnymi, piekielnie inteligentnymi. To jakby wyższa forma prosiaczków, istot niewątpliwie obdarzonych rozumem. One sobie nie pójda ot tak, obudziliśmy w nich potwory, które zabijają w szale, póki same nie padną albo nie zabiją wszystkiego, co stoi im na przeszkodzie...

– Kosmiczni berserkerzy – mruknął Ragnar.

– Kto? – zdziwił się Adolf.

– Wikingowie byli znani z... – zaczął Ragnar, ale Dante go uciszył.

– Pieprz to, najwyżej Hitler umrze w niewiedzy – powiedział. – Dajcie dość do słowa kobiecie.

– Dzięki – popatrzyła na Pata z wdzięcznością. - Nie mamy wielu obserwacji, ale liczba żywych organizmów na tej planecie jest chyba wystarczającym dowodem na nieustępliwość gatunku zwanego przez nas kleszczami.

Zgodzili się z tym twierdzeniem, w ogóle stali się wyjątkowo zgodni.

– Uważam, że Hitler miał rację – kontynuowała Kat – kiedy mówił, że nie powinniśmy się rozdzielać. Nie tylko dlatego, że to pierwszy krok do śmierci w mękach w każdym horrorze, ale przede wszystkim dlatego, że w grupie możemy sprawniej działać i kryć jeden drugiego.

– O, tak – mruknął Andrzej.

– Zamknij się, Rewolwer, jeśli nie masz nic mądrego do powiedzenia.

– A właśnie że mam – odparował natychmiast Terreine.

– No to słuchamy...

– Zakładacie, że te istoty są równie inteligentne jak świniaki, a może nawet mądrzejsze.

– Zakładamy.

– A ja wam mówię, że jest odwrotnie. Może one i są zmutowanymi prosiaczkami, ale są znacznie głupsze. Mam na palmbooku taką książkę o doktorze Jekyllu i panu... zaraz, jak mu było... a, zdaje się, że Hyde. To moja

ulubiona lektura, mówiłem wam. O gościu, co łyknął kwasa i zmieniał się...

– Do rzeczy – ponaglił go Dante. – Nie mamy całego dnia na te brednie.

– Dobra już, dobra. – Rewolwer uniósł pojednawczo ręce. – No więc doktorek był całkiem zmyślny, ale ten jego alte egon...

– Alter ego – poprawiła go mechanicznie Kat.

– ...jasne, więc ten drugi był silniejszy, ale znacznie głupszy. Tam było napisane, że to jakaś reguła naukowa z takimi mutacjami.

– Mutacja regresywna. Zdziwiasz mnie. – Kat spróbowała się uśmiechnąć. – Nie sądziłam, że czytujesz klasyków.

– A co, myślałaś, że masz do czynienia z prymitywami?

– No, nie...

– Ta seria o doktoru to moja ulubiona.

– Słucham? – zdziwiła się Kat.

– Jak chcesz, to ci pożyczę, mam ze trzy tomy w palmie. Ale najlepszy jest „Doktor Jekyll i pan Hyde versus Mrówkosłonie z Vegi”. Prawdziwa esencja akcji.

Dziewczyna niezdarnie usiadła na zaplamionym resztkami prosiaczka stole. Zaśmiała się dźwięcznie, aż drgnęli.

– Coś nie tak? – zainteresował się Dante.

– Ależ skąd. – Starła się opanować śmiech, ale niezbyt jej to wychodziło. – Masz naprawdę odczytany personel.

– Wracajmy do tematu. – Dante zaczynał się niecierpliwić. – Jeśli ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia, to słucham. Za pięć minut zaczynamy operację oczyszczenia orbitera z kosmicznych śmieci. I zrobimy to po mojemu, jeśli mnie nie przekonacie.

Milczeli, co zważywszy na okoliczności, nie było dziwne. Tak więc Kat znów zabrała głos:

– Nie wiemy, czy są inteligentniejsze czy nie. Ale lepiej założyć, że są. Łatwiej je wtedy będzie pokonać. Proponuję wrócić na górę, zablokować przejścia i przeczekać. Mamy sieć kamer wewnętrznych. Będziemy widzieli, co kombinują. Jeśli zrobi się gorąco, możemy przebić się na zewnątrz...

– A dlaczego od razu tam nie iść? – zapytał rzeczowo Ragnarok.

– Jest noc, nie znamy terenu ani warunków – Kat przemyślała odpowiedź, zanim ją wygłosiła – poza tym może ich być więcej.

– Hitler mówił, że wszystkie zginęły – wtrącił Andrzej.
– Hitler mówił, że miał setki kobiet... – zripostowała.
– Tak, to przesądza sprawę. – Dante stanął przed wściekłym Murzynem. – Na tym kończymy dyskusję. Jeśli chcecie się wzajemnie pozabijać, daję wam wolną rękę, ale dopiero po tym, jak oczyścimy statek. Zrozumiano?!
– Dziękuję, chefe. – Tylko Adolf się odezwał. Pozostali nie mieli morderczych intencji wobec kogokolwiek prócz kleszczy.
– To zabieramy dupska do sterowni – rozkazał Dante, popychając Andrzeja i Ragnara w kierunku drzwi..
– Ale, chefe... – Adolf podniósł broń ze stołu, lecz nie poszedł za nimi – myślę, że powinniśmy...
– Ty lepiej nie myśl – przerwał mu Dante. – Od tego może cię głowa rozboleć, a nie mamy już prozacu.

* * *

– Nie mogłeś tego powiedzieć wcześniej?! – ryknął Dante.
Adolf wzruszył ramionami.
– Próbowałem, chefe, ale nie chcieliście mnie słuchać...
– Kiedy?
– Jak wychodziliśmy ze szpitala...
– I co, nie mogłeś się przeciwstawić? – Pat był naprawdę wkurzony. – Zawsze pieprzysz bez sensu, obojętne, co się do ciebie mówi, a tym razem zamilkłeś jak potulny baranek.
Rozmawiali na dole o tylu aspektach sprawy, że zapomnieli o najważniejszym. O łączności z dwójką. Kaczory miały wylądować za niecałe cztery godziny, a jeszcze nie wiedziały o tym, co czai się w ładowniach orbitera. Na zewnątrz zachowują wzmożoną uwagę, ale po wejściu do wnętrza dadzą się zaskoczyć jak dzieci. Dante gorączkowo szukał rozwiązania. Praktycznie biorąc, byli uwięzieni na górnym pokładzie. Tylko sterownia miała na tyle grube ściany, żeby zagrozić drogę kleszczom. Przynajmniej na jakiś czas.
Mieli podgląd na sześćdziesiąt procent dolnego pokładu, ale nawet przez moment nie dostrzegli śladu kleszczy. Kamery w głównej ładowni były tak poustawiane, by można było nadzorować przeładunek, a nie kąty, i bestie

najwyraźniej to wyczuły.

– Wystarczyłoby przejść trzydzieści metrów i bylibyśmy przy słuzie osobowej. – Rewolwer z niedowierzaniem kręcił głową.

Dante siadł ciężko na fotelu pilota

– Trzeba się zastanowić, co dalej.

– Ja nigdzie nie idę. – Hitler ostentacyjnie odłożył hełm i hecklera.

– Tym razem nikogo nie wyślę samego. – Pat był surowym dowódcą, ale nie szaleńcem bez skrupułów, choć po prawdzie często sprawiał takie wrażenie.

– We dwóch też nie da rady – poparł Hitlera Ragnarok.

– Wiem...

– Może by tak we trzech... – Andrzej powiedział to tak cicho, że Kat nie dosłyszała.

– Co powiedziałeś? – zapytała.

– We trzech możemy mieć całkiem spore szanse – powtórzył już pewniej Rewolwer. – Adolf będzie na szpicy, ja kryję tyły, a Ragnar otwiera i zamyka grodzie.

– To by się dało zrobić – poparł go Hitler.

Dante milczał. Kalkulował. Wreszcie się odezwał:

– Jeśli pójdziemy teraz, będziemy musieli wracać. Proponuję poczekać jeszcze trzy godziny i ruszyć na krótko przed przybyciem dwójki. Pójdziemy wszyscy, zejdziemy na dół i zamkniemy się w słuzie zewnętrznej do momentu pojawienia się orbitera Kaczorów. Włazy mają grubość pancerza próżniowego. Nawet te skurwysyny nie przebiją się przez nie.

– Dobry plan, chefe. – Adolf podniósł rękę jak do głosowania, pozostali, wszyscy prócz Kat, zrobili tak samo. – W piątkę skopiemy im dupska.

Dziewczyna spoglądała na nich zaskoczona. Nie znała obyczajów panujących w Legii.

– Tak decydujemy w oddziale o akceptacji planu operacyjnego – wyjaśnił jej Ragnar. – Coś jakby przez aklamację.

– A jak ktoś się nie zgadza z większością? – zapytała.

– To ma przejebane – odpowiedzieli unisono.

– Pierwsza warta Hitler, druga Rewolwer, trzecia Ragnar. – Dante wyciągnął się wygodnie w fotelu. – Zmiany o każdej pełnej godzinie. Wymarsz o trzeciej zero sześć. Dobranoc, panienki.

* * *

Kat nie mogła zasnąć. Raz, przeszkadzało jej chrapanie najemników, dwa, nerwy odmawiały posłuszeństwa. Zajęła fotel drugiego pilota i obserwowała monitory. Pierwsza godzina upłynęła pod znakiem wymownego milczenia. Hitler pamiętał, jak go upokorzyła, ale zachowywał się poprawnie. Starał się jej nie zauważać, a ona nie robiła nic, by zostać zauważoną.

Obserwacja monitorów nie przyniosła niczego nowego. Kleszcze albo się gdzieś ukryły, albo zginęły pokonane przez ziemskie wirusy. Taka możliwość, choć mało prawdopodobna, musiała być wzięta pod uwagę. Zresztą może wcale nie była aż tak nieprawdopodobna, jak się jej zdawało. Choć minęły już niemal trzy godziny od walki przy szpitalu, nie dostrzegła żadnego z nich. Korytarze i pomieszczenia były absolutnie martwe.

Po pierwszej zmianie warty przynajmniej mogła porozmawiać. Andrzej nie okazywał jej nigdy wrogości, co więcej - był jednym z inteligentniejszych najemników w tym oddziale. Oczywiście traktowanym jako całość. Dante i Ragnar też byli ludźmi – mężczyznami, poprawiła się zaraz w myśli - o nietuzinkowych osobowościach. Ale Rewolwer miał w sobie pewien ledwie uchwytny cień dawnej szarmanckości. Coś, czego na próżno by szukać u pozostałych.

Po zbudzeniu zrobił kawę. Jedną dla siebie, drugą dla Kat. Odciągnął ją, pomimo jej protestów, od monitorów i posadził przy stoliku. Chciał porozmawiać, ale nie tuż nad głową Dantego. Okazał się naprawdę miłym rozmówcą, nawet gawędziarzem. Kat wysłuchiwała kilku barwnych opowieści o jego dawnej rodzinie, kocie i akcjach, które przeprowadzał najpierw sam, a potem wspólnie z Dantem. A było ich całkiem sporo, sądząc z jego wspomnień. Godzina minęła im jak z bicza strzelił. Następny w kolejce był Ragnarok. On też zaczął od kawy. I też poczęstował Kat. Jednakże nie nalegał na towarzystwo, tylko co parę minut podchodził do stanowiska drugiego pilota i zaglądał jej przez ramię. Wolał wszystko sprawdzić dwa razy.

- Widziałaś ich? – zapytał mniej więcej w połowie wachty. Pokręciła głową.
- A sprawdzasz też górny pokład?
- Od czasu do czasu. A dlaczego pytasz?

– Może przedostały się już na górę? – odpowiedział jej pytaniem na pytanie i wrócił na swoje stanowisko.

Zastanowiła się nad tym, co powiedział. Sprawdziła natychmiast wszystkie dostępne kamery na górnym pokładzie. Niestety kilka z nich nie działało. Jednakże wszędzie tam, gdzie miała widoczność, panował ład i niemal aseptyczny porządek. Ale słowa Ragnarasa zasiały w jej umyśle lęk, którego nie potrafiła się pozbyć. Kiedy dochodziła trzecia, Kat odsunęła fotel i pochyliła się w stronę Dantego, by go obudzić. Ku jej zaskoczeniu otworzył oczy, zanim zdążyła dotknąć jego ręki.

– Za minutę trzecia – powiedział, jakby miał budzik wbudowany w korę mózgową. Czas zgadzał się co do paru sekund.

– Skąd wiesz? – zapytała zdziwiona.

– Kwestia wyczucia. – Dante wstał i wykonał kilka ćwiczeń rozluźniających i rozciągających. Potem podszedł do chrapiącego jak pracujący całą mocą tartak Hitlera i kopnął go w bok. Na tyle silnie, by najemnik zerwał się na równe nogi.

– Melduję posłusznie, że nie spałem – ryknął Adolf, niezbyt jeszcze przytomny, ale wyprężony jak struna.

– Jasne. – Pat minął go obojętnie i klepnął w ramię Rewolwera, który oparty o blat stołu spał na siedząco. – Trzecia, zbieraj się.

– Tak jest. – Terreine otrzeźwiał w jednej sekundzie.

– Przygotować broń i sprzęt – rozkazał Dante. – Za pięć minut wyruszamy.

Zakrzętnęli się wokół swoich plecaków. Sprawdzali wzajemnie kombinezony. Podłączali baterie.

– Dwie minuty – ogłosił Dante, zakładając rękawice i przygotowując hełm. Przedmuchał przewody aparatu tlenowego.

– Zaczekajcie! – Kat mimowolnie krzyknęła, gdy dotarło do niej znaczenie tego faktu. Prawdziwe znaczenie.

– Na co? – zaskoczony Dante zastygł z przewodami w dłoniach.

– Ragnar powiedział coś, co nie dawało mi spokoju przez ostatnie pół godziny. – Kat zostawiła swój kask i ruszyła do konsoli komputera. –

Zastanowiło go, czy kleszcze nie przedostały się przypadkiem na górny pokład.

– Kat, nie mamy czasu...

– To potrwa minutkę. – Spojrzała błagalnie. – Jeden test i będziemy wiedzieli, czy droga do śluzu jest czysta. To nam zaoszczędzi kilkunastu minut,

sprawdzania każdego zakamarka.

– Jak chcesz to zrobić? – zainteresował się Dante.

– Bardzo prosto. Otwierając szpital, doprowadziliśmy do skażenia powietrzem z Nowego Raju dolnego pokładu. Jeśli kleszcze przebiły się dalej, analiza składu atmosfery w konkretnych pomieszczeniach pozwoli nam stwierdzić, czy są zainfekowane. Krótko mówiąc: czysty tlen, droga wolna. Alarm biologiczny, mamy gości.

Dante podłączył przewody do kombinezonu.

– Dobrze. Sprawdzaj, byle szybko.

Usiadła w fotelu i rozpoczęła procedury sprawdzające. Najwięcej czasu zabrała inicjalizacja programu. Dane ładowały się ponad minutę, co sprawiło, że najemnicy zaczęli się denerwować.

– Już, już – starała się ich uspokoić, choć sama aż drżała.

Wreszcie na monitorach pokazała się mapa pokładu, a czujniki zaczęły analizować skład atmosfery. Kabina Dooma, zielone światło. Kabina Ragnara, zielone światło. Kabina Andrzeja, zielone światło. Korytarz główny, zielone światło. Kabina Kat, zielone światło.

– Rusz dupę. – Dante wyciągnął ją z fotela. – Sprawdziłaś odczyty?

Zadowolona?

– Jeszcze nie...

– Nie ma czasu. Korytarz jest czysty?

– Tak

– Kabiny?

– Tak.

– To wystarczy. – Pat podał jej hełm i niewielki blaster. – Hitler i Ragnar na czoło, Rewolwer i ja kryjemy tyły. Kat, ty zajmiesz się zamkami.

– Chwila. – Adolf nie ruszył się z miejsca pomimo wyraźnego rozkazu.

– Masz jakiś problem, synu? – zapytał go złowieszczo Dante.

– Owszem – odparł Murzyn. – Dzisiaj jestem ciągle na fali. Może być mi tak odpuścić na chwilę?

Dante żuł niedopałek cygara. Jego oczy nie wyrażały jednak wściekłości.

– Dobrze, pójdiesz ze mną z tyłu. Ale na tym kończy się twój limit życzeń. Zrozumiano?

– Się wie, chefe. – Hitler obnażył dwa rzędy białych jak śnieg zębów. –

Dzięki.

– Nie ma za co. Kat, zaczynamy.

Podeszła do drzwi. Spojrzała na twarze obu najemników stanowiących straż przednią. Kiwnęli głowami. Nacisnęła przycisk i odskoczyła na bok. Drzwi rozsunęły się jak zwykle z cichym sykiem. Ragnar i Andrzej skoczyli w półmrok korytarza, sprawdzając obie strony. Nie padł jednak żaden strzał. Dante skinął na dziewczynę, posłusznie ruszyła za pierwszą parą. Hitler i Dante zamykali stawkę. Wysunęli się ze sterowni jak duchy i zniknęli w głębi korytarza. Automatyczne drzwi zatrzasnęły się za ich plecami. W pustym pomieszczeniu zgasło światło. Słaby blask monitorów rozjaśniał elipsoidalną salę. Większość ekranów emitowała łagodne zielonkawe światło, tylko jeden zaczął nagle pulsować czerwienią.

«SKAŻENIE ATMOSFERY» – głosił napis na ekranie. – «ŁAZIENKA».

Po sekundzie sąsiadująca z natryskami sala rekreacyjna dołączyła do zainfekowanego obszaru.

* * *

– Ruchy na sprzęcie – pohukiwał Dante w interkomie, popędzając pierwszą parę, ale Rewolwer i Ragnar nie przyśpieszali.

Szli miarowym krokiem, omiatając lufami wielkokalibrowych hecklerów każdy zakamarek. poruszali się niemal środkiem korytarza, dlatego fotokomórka przy drzwiach do kabiny Kat na nich nie zareagowała. Dziewczyna też trzymała się środka, ale obaj wielcy najemnicy idący w ariergardzie musieli zachować dystans. Posuwali się bokiem lub tyłem, co utrudniało im dokładne wymierzenie tempa marszu i utrzymanie linii. Zbliżyli się do kabiny i zareagowali równocześnie na bezgłośnie otwarcie drzwi. Sprężone z silnymi reflektorami karabiny na żyrouprężach skierowały się na czarny prostokąt. Hitler, który stał bliżej, przyklęknął, w półobrocie usuwając się z linii ognia. Ale strzał nie padł. Pomieszczenie było puste.

– Co jest? – Straż przednia zareagowała ze znacznym opóźnieniem. Bardziej na przyspieszone oddechy partnerów niż cokolwiek innego.

– Nic. – Dante gestem kazał wstać Hitlerowi. – Niechący uaktywniliśmy fotokomórkę. Idziemy dalej.

Do znajdującej się na rogu śluzy mieli jeszcze dziesięć metrów. Ragnarok, idący z przodu po prawej, dotarł do załomu pierwszy. Ustawił broń na wprost i zatrzymał się. Andrzej, trzymając się ściany po lewej, wyjrzał badając niewidoczną część korytarza. Nie cofnął się i nie strzelił. Pozostali ruszyli, gdy dał im znak. Kat podbiegła do terminala śluzy i zaczęła wbijać kod. Dante i Adolf nadal szli tyłem, słabo oświetlony korytarz tonął w mroku, lecz cienie w oddali zdawały się lekko falować, co nieustannie zaprzętało uwagę obu najemników. Zrównali się z następnymi drzwiami. Te prowadziły do kabiny Dantego.

– Śluza otwarta – zameldował Ragnar.

– Wcho... – zdążył powiedzieć Pat, nim drzwi do jego kabiny rozsunęły się na szerokość wystarczającą, by kleszcz uderzył przednimi odnóżami.

Dwa półmetrowe pazury zniknęły w skafandrze Adolfa, który właśnie odwracał się w kierunku drzwi. Pierwszy wbił się w udo Murzyna, drugi nieco wyżej, nad pachwiną. Najprawdopodobniej rozerwał wątrobę. Seria pocisków uderzyła w ścianę, to spazm bólu spowodował naciśnięcie spustu. Kleszcz szarpnął się, wystraszony hukiem, i dosłownie rozerwał masywnego najemnika na dwie części. Wnętrznosci i płyny ustrojowe bluznęły szerokim strumieniem na podłogę i stojącego opodal Dantego. Lufa jego karabinu wyrobiła już niemal sto pięćdziesiąt stopni. Brakowało jeszcze kilku, gdy zaczął strzelać. HK 707 był cholernie szybkostrzelny, ale Pat mógłby przysiąc, że widzi, jak poszczególne ładunki opuszczają lufę. Nieomal widział ich tor. Nie przez wizjer, zachlapany tym, co nie tak dawno było solą życia Hitlera, ale w wyobraźni. Wiele razy na polu bitwy zdarzało mu się coś takiego. Jak gdyby nerwy przedramienia i dłoni przekazywały dokładne namiary wprost do komputera sterującego ogniem. Wiedział, po prostu wiedział, że pierwszy nabój wystrzelony z tej pozycji i pod tym kątem trafi w ścianę. Nie zastanawiał się, gdzie pójdzie rykoszet, drugi nabój o włos minął krawędź drzwi. Pozostałe, a było ich osiem, poszatkowały pancierz szarej istoty, która usiłowała odrzucić zwłoki Adolfa i ruszyć do następnego ataku. Nie zdążyła, zabrakło jej ułamka sekundy wartego osiem trafień.

Kleszcz poleciał w głąb kabiny, opryskując ją zieloną krwią. Dante wskoczył do środka. Andrzej właśnie ruszał za nim, gdy w interkomie usłyszeli krótkie jak wystrzał polecenie dowódcy:

– Stać!

Zostali na pozycjach. Rewolwer przyklęknął przy załomie, Ragnar zajął się zapleczem. Kat stała w przejściu do śluzy jak przymurowana. Chyba krzyczała, ale nie słyszeli jej, miała wyłączony nadajnik.

– Wszystko w porządku? – zapytał Andrzej.

– Kogo pytasz? – Odpowiedź z interkomu była więcej niż bezbarwna.

– Ciebie, patron.

– Tak, ze mną wszystko w porządku.

– A co z Adolfem? – To pytanie zadał Ragnar. Nie widział, co się stało, całe wydarzenie nie trwało więcej niż pół sekundy. Zanim się odwrócił, słysząc strzały, Dante już biegł do kabiny.

– Nasz czarny brat połączył się ze swoimi przodkami.

– Kurwa – jęknął Ragnar – przecież ten poziom miał być czysty.

Odwrócił się na moment do Kat, chciał coś powiedzieć, ale gdy spojrzał w jej przerażone oczy i otwarte na całą szerokość usta, wykrzykujące bezgłośny protest, zrezygnował. Ona jedna widziała, co się stało. Patrzyła w głąb korytarza, gdy drzwi zaczęły się otwierać. Widziała wszystko, bardzo wyraźnie i dokładnie.

Dante wyszedł z kabiny. Wytarł z krwi osłonę hełmu, ale na całym kombinezonie było jej jeszcze wiele. Były też i inne rzeczy niż krew, ale nie zwracał na nie uwagi.

– Dostałeś go? – zapytał Andrzej.

Dante skinął głową i wszedł do śluzy, ciągnąc za sobą bezwolną Kat. Obaj najemnicy wycofali się zaraz po nim. Syk dopasowującego się włazu dał im poczucie bezpieczeństwa. Dezynfekcja trwała kilka minut, podczas których Ragnar i Andrzej przywarli do bulajów po obu stronach śluzy.

Pat potrząsnął przerażoną kobietą. Nie zareagowała. Walnął okutą rękawicą w hełm, to przywróciło jej oczom przytomny wygląd, tylko na chwilę, ale zawsze.

– Włącz nadajnik – powiedział powoli, wskazując przycisk na wewnętrznej stronie kołnierza.

Skinęła głową na znak, że rozumie, i spróbowała sięgnąć do włącznika językiem. Udało jej się dopiero za drugim razem. Usłyszeli szlochanie.

– Co to, kurwa, było?! – wydarł się Dante. – Powiedziałaś, że pokład jest bezpieczny!

– To nie moja wina, nie pozwoliłeś mi dokończyć skanu. Tak ci się śpieszyło, to teraz masz.

– Zamknij się, bo... – Podniósł rękę. Uderzenie nie mogło dosięgnąć jej twarzy, ale sam impet pozbawiłby kobietę przytomności.

– Kat ma rację – wtrącił się Ragnar. – Za bardzo się śpieszyliśmy...

Dante odwrócił się do niego, był wściekły jak rzadko. Ale Ragnarok nie miał powodu do obaw. Dowódca jeszcze nigdy nie posunął się za daleko w stosunku do legionisty, który niczemu nie zawinił. Tak było i teraz. Pat powoli opuścił pięść i rozluźnił się.

– To nie twoja wina, patron. – Andrzej włączył się do rozmowy, widząc, że sytuacja wraca do normy. – Nikt nie mógł tego przewidzieć.

– Błąd – odpowiedział Dante. – Ja powinienem przewidzieć.

– Nie obwiniaj się... Grunt, że mamy jednego kleszcza mniej.

– Tak – dodał Ragnar. – Adolf był dobrym żołnierzem, ale nie ma go już między nami. Jeśli stąd wyjdziemy, będzie czas, by go opłakiwać. Teraz musimy zająć się własnymi dupami.

– Gdyby nie poprosił – powiedziała nagle Kat – ty byłbyś na jego miejscu.

Wskazała na Andrzeja. Ten zbladł. Właśnie uświadomił sobie, że zawdzięcza życie ostatniej zamianie. O którą Hitler sam poprosił.

– To przez ten hełm – powiedział Ragnarok.

– Co: przez hełm? – zapytali niemal jednocześnie Dante i Kat.

– Adolf zginął przez hełm – dokończył nordyk. – Nie należy brać rzeczy należących do zmarłych. To przynosi pecha.

– Zobaczmy, czy tylko jemu czy nam też – rzucił Dante, przygotowując broń.

– Kat, otwierasz. Ragnar, Andrzej, wy na szpicy, ja zamykam stawkę. I nie zapomnijcie zabrać amunicji Adolfa.

Dezynfekcja dobiegła końca.

* * *

Do służby osobowej, prowadzącej na zewnątrz, mieli jeszcze spory kawałek. Długi kręty korytarz między magazynami i szpitalem, potem ładownia numer jeden i kolejna płatanina korytarzy. W sumie dwa sektory. Sto kilkadziesiąt metrów do przebycia. Siedemnaście minut. Taki był czas potrzebny na dotarcie

do następnej śluzy. Jeśli się spóźnią, niosący pomoc mogą wejść prosto w pułapkę. Pół biedy, jeśli Kaczory wybiorą przejście z tej strony jednostki. Wtedy spotkanie mogłoby odbyć się nawet w najbliższej ładowni. Ale istniało duże prawdopodobieństwo, że wylądują na równinie po drugiej stronie uszkodzonego orbitera i spróbują innej drogi - dla przybyłych łatwiejszej, a dla ludzi z grupy Dantego niemal dwa razy dłuższej, prowadzącej przez ładownię numer 2. Ta ostatnia ewentualność napawała lękiem nie tylko Kat. Kleszcze były szybkie, zbyt szybkie, by mogli w porę ostrzec nadchodzących. Niemniej musieli wybierać. Dante nawet nie wspominał o możliwości podzielenia się na dwie grupy. Tylko razem i tylko w pełnej gotowości mogli stawić czoło zagrożeniu.

– Te dwa skurwysyny krążą gdzieś wokół nas – mruczał Andrzej. – Wiem, że tam są, czuję je...

– Zamknij się, Rewolwer. – Dante cały czas szedł tyłem, omiatając długą lufą przestrzeń niknącą w mroku. – Tym gadaniem nie uspokoisz nerwów, a jeszcze wkurwisz wszystkich dookoła.

– Dobrze już, dobrze... – Terreine zmełł pod nosem przekleństwo, ale przestał mamrotać, co Kat przyjęła z dużą ulgą, bowiem jej zdaniem wymienianie wszelkich rodzajów śmierci, jakie mogły spotkać człowieka w ich sytuacji, nie było najlepszym sposobem na zabicie czasu.

Dotarli do pierwszego zakrętu. Ragnar stanął po wewnętrznej, Rewolwer, trzymając się ściany, wysunął powoli głowę, uważnie lustrując przestrzeń za węglem. Przesunął się może o pół metra, gdy nagle bez najmniejszego ostrzeżenia na ścianie obok jego głowy rozkwitła zielonkawa plama. Andrzej zamarł, słyszeli tylko jego głośny oddech w interkomie.

– Co to było? – zapytała Kat.

– Nie mam, kurwa, bladego pojęcia, ale minęło mnie o pici włos. – Głos Rewolwera drżał nie tylko z napięcia.

– O co biega? – zapytał Dante, który stojąc tyłem, niewiele zrozumiał z tej wymiany zdań. Nie chciał jednak odkrywać tyłów i nie odwracał się.

– Coś we mnie plunęło, patron – odparł zdenerwowany Andrzej.

– Jak to: plunęło?

– Normalnie – tłumaczył najemnik. – Wyjrzałem za róg i nagle usłyszałem pacnięcie po lewej stronie. To jakiś pierdolony kwas. Wgryzł się w ścianę na centymetr.

– I nie widziałeś, skąd to przyleciało?

– Nie, patron. Pan Plwocina był poza zasięgiem wzroku.

– No to mamy kolejny pasztet – mruknął Dante. – Jeśli potrafiać atakować z takiej odległości, nie przejdziemy przez ładownię.

– Fakt. – Ragnarok rzucił krótkie spojrzenie za róg i zaraz się schował. – Jeśli Kat miała rację, to ich inteligencja wystarcza na zastawienie pułapek. Na otwartej przestrzeni zrobią nam z dup jesień średniowiecza...

– Skończ z tym dramatyzowaniem, Rag. – Dante nie pozwolił mu dokończyć.
– Chcą wojny, będą mieli wojnę. Ale zagramy według naszych reguł. Tak jak na Chivas Regalus.

Kat spojrzała na jego szerokie plecy. Nadal pilnował tyłów.

– A jakie to reguły? – zapytała nieśmiało.

– Proste – odparł Dante. – Powiedzcie pani, skoro pyta...

– Żadnych reguł! – ryknęli jednym głosem, aż podskoczyła.

Ragnarok przeładował broń. Rewolwer cofnął się za róg jednym skokiem i sięgnął do ładownic. Wyjął moduł granatnika i fachowo przymocował go do lufy. Załadowanie taśmy z kilkunastoma granatami trwało może ze dwie sekundy.

– Na trzy ruszamy. – Dante też coś zrobił przy swojej broni, nie widziała tego, ale chyba montował granatnik. – Raz, dwa... trzy!

Ragnar wyskoczył na otwartą przestrzeń i przyklęknął. Strumień płonącej żelatyny przesłonił niemal całą szerokość korytarza. Rewolwer wyszedł sekundę później i wystrzelił dwa granaty, tak by odbijając się od ścian eksplodowały nie dalej niż dwadzieścia metrów przed nimi.

– Ogłuszające – szepnął ktoś do mikrofonu.

Kat nie wiedziała, czy była to zwykła informacja czy ostrzeżenie, ale na wszelki wypadek zachowała się tak, jak ją uczono podczas zajęć z „Przysposobienia do życia w rodzinie na czas wojny”. Zupełnie niepotrzebnie nawiasem mówiąc, bowiem kombinezon chronił skutecznie zarówno przed oślepiającym blaskiem, jak i hukami.

– Skokami – zakomenderował Dante i popchnął ją, ledwie wstała, odsuwając z linii strzału.

Korytarz miał dwanaście metrów długości i trzy pary drzwi po obu stronach. Tym razem nie ryzykowali. Ragnar albo Andrzej zajmowali pozycję, Kat

otwierała drzwi, potem zasypywali ogniem wnętrza magazynów i kabin. Na próżno. Kleszcze po pierwszym ataku z zaskoczenia wycofały się i jakby zniknęły.

Pokonanie tej sekcji zajęło im ponad trzy minuty. Stracili przy okazji szesnaście procent amunicji, ale dotarli do następnego rogu bez jednego draśnięcia.

– Tempo, laleczki, tempo – poganiał ich Dante, gdy przypadli do podłogi na zakręcie. Rewolwer wysunął lufę i posłał serię trzech granatów pod różnymi kątami.

– Na trzy! – krzyknął znowu i poderwał się na równe nogi, co w skafandrze próżniowym i pełnym wyposażeniu było wyczynem godnym odnotowania.

Odliczał Ragnar, Kat poddała się bezwolnie rytmowi zdarzeń. Starła się nie myśleć o grożącym im niebezpieczeństwie. Wykonywała mechanicznie każde polecenie najemników i jak na razie nie odniosła najmniejszej nawet rany. A mogła zarobić co najmniej kilka odłamków. Strzelali do wszystkiego; każde drzwi, każdy załom ściany, wszystko wokół nich było podziurawione jak sito. Nie oszczędzili nawet kanałów wylotowych systemu wentylacyjnego.

– Czternaście minut – krzyknął Dante, gdy widzieli już wejście do ładowni.

– Zostało? – zapytał Ragnar.

– Nie, za nami...

– To mamy zajebiście duży problem – mruknął Rewolwer, zatrzymując się. – Nie przejdziemy przez ładownię w trzy minuty. Nie ma wafla.

– Musimy. – Dante nie chciał nawet słyszeć o problemach. – Ruchy na sprzęcie.

– Patron – Rewolwer pokazał na licznik broni – mam jeszcze dwadzieścia trzy procent amunicji. Za mało, by utrzymać ogień na tak dużej przestrzeni.

– Nie pierdol mi tu, Terreine – zgasił go Dante. – Trzeba będzie, to wydłubiesz im ślepią łyżeczką do herbaty.

– Nie sądzę. – Andrzej spojrzał na niego z wyrzutem. – Zostawiłem ją w sterowni.

– Masz jeszcze paznokcie – przypomniał mu Pat, przechodząc na czoło oddziału. – Musimy ostrzec Kaczory.

– Ale to niewykonalne – włączył się do rozmowy zazwyczaj milczący Ragnar.

– Nie ma rzeczy niewykonalnych! – ryknął Dante.

– To obciągnij sobie sam – powiedział spokojnie nordyk.

Kat spojrzała na zaskoczonego dowódcę. Dantemu aż opadła szczeka ze zdziwienia, gdyby nie hełm, pewnie musiałby podnosić ją z podłogi.

– To jest, to jest... pierdolony bunt. – Był tak zaskoczony, że nawet nie krzyczał.

– Nie, to nie bunt. – Ragnar opuścił rozgrzaną do czerwoności lufę miotacza.

– Jeśli wejdziemy teraz do ładowni, to i nas...

Dante odwrócił się do nich. Był wściekły, po raz pierwszy odmówili wykonania rozkazu. Po raz pierwszy, i to na dodatek przy obcej osobie. Przy kobiecie.

– Jak mówię, że wchodzimy, to wchodzimy. To nie szkółka niedzielna, tylko Legia.

– Nic z tego. – Andrzej oparł się o ścianę i popatrzył z wyrzutem na swojego przełożonego. – To i tak nic nie da.

– Liczę do trzech... – Głos Dantego był lodowato zimny, podobnie jak jego spojrzenie.

– Ty przynajmniej zrobisz to szybko i bezboleśnie – mruknął ponuro Ragnarok. – Nie będziemy konali unurzani we własnych flakach.

Andrzej pokiwał głową.

– Albo w cudzych – dodał. – Jakby co, staję obok Kat.

– Ciężko to przyznać, ale daliśmy dupy jak nie przymierzając koza kozakowi – powiedział Ragnar.

– Nadal jest czas! – Dante zaczynał tracić cierpliwość. Zdawał sobie sprawę z bezsensowności sytuacji. Wiedział doskonale, że jego ludzie mają rację, ale przecież nie mógł stracić twarzy. Człowiek z jego reputacją wolał zginąć, niż...

– Tak, sekundy, bo na pewno nie minuty...

– Gdyby nie to pieprzenie o dupie Maryni, bylibyśmy już w połowie ładowni – syknął jak wąż i przepchnął się między nimi. – Możecie tu zostać, ja idę dalej.

Nie drgnęli nawet. Splunął, nie bacząc na to, że ma hełm na głowie, i odwrócił się, przeładowując broń. Do służby było tylko kilka kroków, ale nie zdołał zrobić pierwszego, gdy nagle coś szarpnęło jego ciałem. Cofnął się o dwa kroki, upuścił karabin i zaczął gwałtownie ściągać hełm.

Andrzej i Ragnar jak na komendę otworzyli ogień w głąb korytarza. Pustego

korytarza.

– To była pułapka! – krzyczał Andrzej. – Uderzył i uciekł. Te skurwysyny są jednak inteligentne! Polują na nas jak na zające!

Ragnar nie słuchał go, odłożył miotacz i podbiegł do Dantego.

– Nie zdejmuj hełmu! – krzyknął, ale było już za późno. Błyszcząca kula potoczyła się po podłodze. Na środku wizjera widniała kilkucentymetrowa, zielona plama. Krystalit wręcz wrzał, widzieli smużki dymu unoszące się ze stopionego tworzywa.

– Nic mi nie będzie, nie uduszę się. Skład atmosfery niewiele odbiega od ziemskiej. – Pat podniósł karabin z podłogi i sprawdził, czy podczas upadku coś się nie zablokowało.

– Nie odbiega, to fakt – wtrąciła Kat. – Ale wirusy...

– Uwierz mi, nie zdążą mnie zabić – prychnął pogardliwie. – Mamy znacznie gorszych przeciwników na karku.

– Nie lekceważyłabym...

– Ruszać dupy! – przerwał jej brutalnie. – Jak widzicie, nigdzie nie jesteśmy bezpieczni!

Tym razem nie protestowali. W kilkanaście sekund dotarli do śluzy, ostrzeliwując boczny korytarz. Ten, którym najprawdopodobniej uciekł polujący na nich kleszcz. Niestety nie obyło się bez ofiar. Andrzej niezbyt dokładnie wyliczył odległość i nie zdążył przeskoczyć nad kołnierzem włazu. Potknął się i upadł, wypuszczając broń z ręki. Biegący za nim wciągnęli go do śluzy, nie zważając na potępieńcze jęki.

– Pierdolony krzyżacki statek – zaklął Rewolwer, ledwie rzucili go na kratownicę. Na wprost nosa miał tabliczkę znamionową stoczni, która zbudowała orbiter. Neue Brunshwick, Sigma Sigmus. Jedna z najsolidniejszych stoczni znanego wszechświata stała się teraz obiektem nienawiści rannego najemnika.

– Było patrzeć pod nogi – mruknął Dante.

– Było nie poganiać – odciął się Andrzej.

– Ostrzegałem cię już przed lądowaniem – przypomniał mu Pat. – Zawsze wleziesz tam, gdzie nie trzeba.

– Sprzedajmy go na narządy – zaproponował Ragnar, otwierając swoją apteczkę. – Może kupimy sobie trochę amunicji.

– Z taką wątrobą? Może dostałbyś jeden nabój...

– Dobrze i to. – Ragnar rzucił bezużyteczny miotacz na podłogę. Czerwony wyświetlacz na korpusie broni wskazywał, że do całkowitego wyczerpania magazynka zostało mu jeszcze tylko kilka sekund.

* * *

– Czas minął. – Andrzej wskazał na zegarek. Opatrzyli mu nogę, usztywniając skafander elementami rozebranego miotacza. Całość obwiązali pasem, na którym nosił broń Ragnar. Na szczęście materia wytrzymała i nie doszło do rozhermetyzowania.

– Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, Kaczory wchodzą już do orbitera!
– Dante miotał się po małym pomieszczeniu śluzy jak lew w klatce. – Musimy ich jakoś ostrzec.

– Może zastanowi ich to, że nie wyszliśmy na powitanie – powiedziała Kat.

– Może – Dante nie zatrzymał się nawet na moment – a może nie. Nie umawialiśmy się na randkę z dupczeniem przy trzeciej dyszy. Nie sądzę, żeby oczekiwali komitetu powitalnego.

– Kleszcze polują na nas – przerwał mu Ragnarok. – Może nie zauważą drugiego oddziału.

– Morze jest głębokie i szerokie – zbył go Pat. – Na gdybaniu jeszcze nikt nie zbudował porządnej strategii.

– Ale zastanowić się warto.

– Ile mamy amunicji? – Dante nagle się zatrzymał.

– Osiem procent standardowego magazynka. – Andrzej nie musiał nawet spoglądać na fosforyzujące cyfry. Znał ich wygląd bardzo dokładnie. – I pięć kul w rewolwerze. Rozpryskowych.

– Ja mam w karabinie trzy procenty. – Ragnar podniósł z ziemi pojemnik z żelazem z rozmontowanego miotacza, płomynek przy zaworze miał długość może dwóch centymetrów. – Miotacz jest już pusty. Mogę ci jeszcze przypalić cygaro, gdyby co...

– Nie musisz, mam samozapalające. – Pat podrapał się po głowie. – Mnie zostało jeszcze prawie dwanaście procent...

– Nie ma co kombinować. – Rewolwer odłożył swoją broń na kratownicę

podłogi. – Brak nam wystarczającej siły ognia, żeby przedostać się na drugą stronę. – Wskazał głową na ciemność rozciągającą się za okrągłym wizjerem. Ktoś albo coś zniszczyło fluonowe lampy i ładownia pogrążyła się w nieprzeniknionym mroku.

– Lepiej cofnijmy się do korytarza w sekcji pierwszej. Jakąkolwiek drogę wybiorą Kaczory, muszą tamtędy przechodzić.

– Trupy nie chodzą. – Dante nie miał humoru ani ochoty na dyskusję.

– Nie zakładajmy od razu, że zginą – powiedział Ragnar. – Jeśli zostaną zaskoczeni, stracą góra jednego człowieka, tak jak my...

– No właśnie. – Dante wskazał na niego palcem. – Co byś zrobił w takiej sytuacji? Załoga milczy, a ciebie atakuje jakieś kurewstwo w chitynce na czterech łapach? No? Łazłbyś dalej?

– Wycofałbym się... – Ragnar wyraźnie stracił optymizm, który jeszcze przed momentem rozjaśniał jego twarz.

– Kurwa... – Andrzej patrzył na nich otwartymi szeroko oczyma. – Nie pomyśleliśmy o tym.

– Kto nie pomyślał, ten nie pomyślał – przyciął mu Dante. – W każdym razie musimy przejść przez ładownię.

Ragnar usiadł na podłodze i gapił się w sufit. Andrzej zaczął nerwowo łomotać palcami o kołnierz wizjera.

– Oczekajmy jeszcze dziesięć minut – zaproponowała nieśmiało Kat. – Jeśli nie zobaczymy śladu ekipy ratunkowej, nie będziemy mieli wyjścia, ale...

– To jest jakiś pomysł – poparł ją Ragnar. – Powiedzmy: kwadrans i ruszamy.

Dante zmierzył go ponurym wzrokiem, przed którym wielu odważnych i bitnych facetów musiało skapitulować. Ale nie Ragnarok. Odwzajemnił spojrzenie, w jego niebieskich oczach nie było widać strachu. Co najwyżej znużenie.

– Przeładujemy amunicję do jednego karabinu. Idziemy grupą, ja niosę Rewolwera, Kat otwiera zamki i staje po mojej prawej, a ty, Ragnar, dymasz za nami i masz oczy w dupie. W razie pojawienia się Obcego, na ziemię. To dotyczy ciebie, Rewolwer, i lali.

– Mam kilka naboń – zaprotestował Andrzej. – Mogę się przydać.

– Na leżąco też da się strzelać. Nie będzie czasu na gadanie, ten skurwysyn jest za szybki. Padasz i już.

Najemnik więcej nie protestował.

– Strzelamy krótkimi seriami.

– Się wie.

– Kwadrans – powiedział po chwili przerwy Dante. Wszyscy podnieśli dłonie. Kat też.

– Ty, Rewolwer, obserwuj ładownię. – Pomimo niedawnej niesubordynacji Pat nie zamierzał pozwalać im na kolejne odstępstwa od rutynowej służby. – Ragnar, korytarz.

– Tak jest. – Obie odpowiedzi zlały się w niemal jeden dźwięk.

– A ja? – zapytała Kat, gdy usiadł obok niej.

– A ty? – Spojrzał jej w oczy: – Masz jeszcze trochę tej surowicy, którą cię naszpikowaliśmy po rozcięciu kombinezonu?

Pokręciła przecząco głową i po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach, błady jeszcze, cień strachu. Był żołnierzem, wojownikiem, nie chciał przegrać bitwy z przeciwnikiem tak małym, że nawet nie był w stanie go zobaczyć.

* * *

Czas płynął szybko, za szybko. Kwadrans to zbyt mało, żeby odpocząć, ale wystarczająco dużo, by zakwaszone mięśnie zaczęły stawiać opór. Nie mieli stimpaków, by zregenerować siły, nie mieli nawet środków przeciwbólowych. A stres i zmęczenie dały o sobie znać ze zdwojoną siłą, gdy na chwilę wyłączyli się z akcji. To było widać zarówno na twarzach najemników, jak i w ich ruchach.

Nawet Dante przygasł. Obawa przed zakażeniem pokonywała kolejne zapory, które wysiłkiem woli stawiał w umyśle. Wiele się naoglądał podczas kampanii o Ziemię 2, wiele przeżył w Koloniach. To musiało pozostawić jakieś ślady, choćby bardzo głęboko ukryte. A teraz w obliczu nieznanego owe lęki wypęły, krusząc wątłe mury zdrowego rozsądku. Musieli coś zrobić, zanim adrenalina nagromadzona w organizmie Dantego nie wyzwoli w nim nieprzewidywalnych reakcji. Kat obserwowała najemnika przez cały czas. Nerwowe przygryzanie wargi, pot na czole... znała te objawy.

– Ile jeszcze zostało? – zapytała Ragnara.

– Dwie minuty – odpowiedział, nie patrząc nawet na zegarek.

– Powoli trzeba się zbierać – mruknęła, wstając z twardej kratownicy

stanowiącej podłogę śluzy. Nawet przez gruby materiał kombinezonu czuła, jak stalowe pręty wbijały się jej w tyłek.

Nie zdążyła jeszcze wyprostować nóg, gdy Andrzej krzyknął. Dante jednym ruchem ręki zwałił ją na podłogę. Upadła zaskoczona. Nie zdążyła nawet jęknąć. Spojrzała na właz prowadzący do ładowni. Pokrętko obracało się powoli, mimo tego, że Andrzej i Ragnar kurczowo starali się je zatrzymać.

– Cofnijcie się! – krzyknął Dante, podnosząc karabin. – Ten zamek ma wspomaganie. Nie zatrzymacie go.

Odskoczyli i sięgnęli po broń. Pat gestami wskazał im pozycje strzeleckie. Zajęli je bez słowa. Pokrętko zatrzymało się w pozycji „otwarte”. Dźwignia zamka przesunęła się na prawo i rozległ się cichy syk. Komora traciła hermetyczność. Unieśli broń do ramion i wymierzili. Kat jeszcze szumiało w głowie po zderzeniu z podłogą. Nie bardzo rozumiała, co się wokół niej dzieje, ale silny uścisk dłoni Dantego trzymał ją przy ziemi.

– A jeśli to oni? – powiedziała cicho. – Jeśli to Kaczory?

Dante spojrzał na nią, jakby dopiero co się obudził. Andrzej i Ragnar też rzucili szybkie spojrzenia w tył.

– Najpierw patrzeć, potem strzelać! – Rozkaz był jasny i krótki.

Potwierdzili bez słów.

Właz bezszelestnie oderwał się od kołnierza.

* * *

– Pojebało was czy co? – Jar Duckson zamknął właz i niedbale poprawił zawieszony na ramieniu mały blaster. – Walicie na oślep jak te cioty z Czarnych Beretów.

Andrzej faktycznie nie wytrzymał napięcia i puścił serię na widok odnóży kleszcza, wyłaniających się zza kołnierza włazu.

– Sam jesteś sobie winny. – Dante przepchnął się pomiędzy najemnikami i obrzucił taksującym spojrzeniem obu nowo przybyłych. Bliźniacy nie wydawali się tym ani trochę wystraszeni. – Nie trzeba było nosić tego ścierwa.

– Stało się coś? – zapytał Leo, mając na myśli brak hełmu na głowie Pata.

– Skąd macie to... – Dante zignorował pytanie i wskazał na porzuconego przy włazie, rozrytego pociskami i z całą pewnością martwego obcego.

– Leżało w ładowni, niedaleko śluzy – powiedział Jar. – Zabraliśmy, bo jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Pewnie warte jest kilka groszy...

– Akurat... – mruknął Ragnarok, oglądając zwłoki kleszcza. – Gdyby nie Rewolwer, może nadawałby się do sprzedania.

– Wal się! – Andrzej wcale nie przejmował się tym, że podziurawił martwego stwora.

– Wygląda na to, że sam wykitował.

– Może dostał zawału – rzucił któryś z Ducksonów i obaj się roześmieli.

– Raczej załatwiły go nasze wirusy – powiedziała Kat, przepychając się do padliny. Kleszcz miał zielonkawą wybroczynę na łbie.

– To zostaje nam jeszcze jeden – wtrącił Rewolwer.

– Hitler na niego poluje? – zapytał Leo.

– No właśnie – zainteresował się nagle Jar. – Gdzie Doom i Adolf? Zostali w sterowni?

– Doom zupełnie stracił głowę – powiedział Andrzej. – A Adolf musiał się trochę rozerwać po tak nudnej nocy.

– Poważnie pytam. – Duckson przeszedł nad ścierwem i spojrzał badawczo na dowódcę.

– Nie żyją. – Pat nie zamierzał ukrywać przed nimi prawdy.

– Jak? Kiedy? – Obaj bracia zwrócili oczy na Dantego.

– Doom zginął podczas katastrofy, Adolf dosłownie pół godziny temu. Taki sam skurwiol – wskazał głową na leżące bezwładnie stworzenie – rozerwał go na strzępy.

– Takie coś zabiło Adolfa? – zdumieni się.

– Owszem. – Kat zakończyła właśnie pobieżne oględziny martwego osobnika. – Takie coś, jak to pięknie nazywacie, kilka godzin temu rozpieprzyło też dwa łąziki i pluton bereciarzy. Macie szczęście, że ten, który wyszedł, by otworzyć wam drzwi, nie miał odporności na ziemskie wirusy. Wyglądalibyście jak Hitler. Kupa mięsa i wiadro krwi... luzem.

– Niesamowite – powiedzieli bracia Duckson jednym głosem. – Ale jak te sukinsyny dostały się do wnętrza orbitera? Pancierz wygląda na nienaruszony, a i śluzy były zamknięte.

– Kat zaprosiła je na wyzerkę. – Rewolwer najwyraźniej odzyskiwał dobry humor.

– Sami sprowadziliście to gówno na pokład? – zdziwił się Leo.

– Tak wyszło. – Dante, który przez chwilę nad czymś się zastanawiał, teraz zaczął brać inicjatywę w swoje ręce. – Koniec pieprzenia w bambus, moje panie. Zbieramy się stąd. I zostawcie to gówno tutaj. – Wskazał martwego kleszcza, który przypominał mu o mikroskopijnych mordercach być może właśnie penetrujących jego ciało.

– O, nie! – Jar Duckson nie zamierzał porzucić swojego trofeum. – Ta sztuka jest warta miliony, a ja nie mam zamiaru pozbywać się majątku.

– Była warta. – Pat zabrał mu padlinę i rzucił w kąt śluzy. – Z tak gustownymi dziurami nie różni się od badziewia na zewnątrz. Poskładasz sobie tam kilka sztuk...

– Dobra. – Duckson odbezpieczył broń i stanął przy włączniku. Jego brat Leo położył dłonie na pokrętło.

– Teraz, kurwa, my! – ryknął Jar i wypadł w ciemność.

* * *

Przedostali się przez ładownię nie niepokojeni przez nikogo. Ostatni z kleszczy, jeśli jeszcze żył, musiał być daleko od tego miejsca. Na całe szczęście, bowiem Ducksonowie zabrali tylko lekką broń, zapominając o zapasowej amunicji. Oddział przemknął przez ładownię, ani razu nie otwierając ognia. Kaczory szli przodem. Za nimi Kat, potem wymęczeni Ragnar i Andrzej, a na końcu Dante. Rewolwer, sycząc od czasu do czasu z bólu, w ciągu kilku minut zreferował wydarzenia ostatnich godzin. Wizytę pod wzgórzem, przetransportowanie prosiaczków, potem bitwę z kleszczami i niefortunną ucieczkę. Gdy dotarli do śluzy prowadzącej na zewnątrz, był właśnie przy tragicznej śmierci Hitlera.

– Nie uwierzycie, sypimy korytarzem, my z przodu, za nami Kat i straż tylna, Adolf i Dante. Na własną prośbę tam szedł. Znaczy, Hitler zamienił się ze mną. Było spokojnie, dopóki nie wlaź w zasięg fotokomórki. Myśleliśmy, że jest czysto, więc nie spinaliśmy się jak trzeba... i wpierdoliło go jak Bolka jet-pack.

– Nie do wiary... Taki twardy sukinsyn...

– Są szybsze niż myśl – Andrzej oparł się o ścianę ładowni, podczas gdy Kat

zajmowała się zamkiem – ale i tak dostałem jednego.

Właz odsunął się bezszelestnie, wpadli do jasno oświetlonego wnętrza śluzy zewnętrznej. Nie zwlekali ani sekundy z zamknięciem wejścia i kilka sekund później wybiegli na powierzchnię planety. Dante zatrzymał się dwa kroki od końca pochylni trapu. Silny wiatr wiał od oceanu, przynosząc jego zapach. Pat wciągnął nosem powietrze. Pachniało dziwnie, trochę przypominało mieszankę ostrych, orientalnych przypraw, jakich używał dawno temu, jeszcze przed uśpieniem. Teraz żarcie było całkowicie syntetyczne i smakowało gorzej od rzemyków, które przeżuwał z głodu w okopach dawnych wojen. Pomyślał, że jest być może pierwszym człowiekiem, czującym ten zapach. Zapach obcego świata. Zapach tak odmienny od tego, który czuł przez ostatnie lata. Zurbanizowana Ziemia utraciła jakikolwiek urok. Pokryty miastami i fabrykami glob nie miał już naturalnych zakątków, prócz niewielkich oaz zamieszkałych przez najbogatszych, gdzie można by usiąść na piasku plaży i zażyć bezpiecznej kąpieli. Korciło go, żeby zanurzyć się w ciepłym oceanie. Bardzo go korciło. Spojrzał w tamtym kierunku, a potem na swoich ludzi.

Szedł ostatni, więc nie od razu zauważyli, że się zatrzymał. Dopiero na sygnał Rewolwera przystanęli.

– Coś nie tak, patron?

– Nie... – Dante oparł karabin o biodro i ruszył w ich kierunku. – Już w porządku. Ta planeta naprawdę ładnie pachnie.

– Lepiej niż woda kolońska Dooma? – zapytał któryś z Ducksonów.

– Lepiej. – Dante uśmiechnął się zagadkowo – znacznie lepiej.

Spojrzał na zegarek.

– Już czwarta – powiedział, odkładając broń. – Za godzinę będzie świtało i pewnie zaroi się tu od Czarnuchów. Trzeba się zbierać.

– Spokojnie. – Jar machnął ręką, jakby odpędzał muchy. – Pacyfa był cały czas na nasłuchu. Nikt się tu nie pojawi przed południem. Zdaje się, że oni już mieli do czynienia z czymś takim. Te tam robaczki – wskazał na pobliskie pobojuwisko – po kilkunastu godzinach brykania zwijają się do jaskiń, jeśli nic ich nie drażni...

– Aż dziw bierze – wtrąciła Kat – że Flota nie zainteresowała się tymi stworami. Przecież to idealni wojownicy. Nie znają strachu, poruszają się szybciej niż człowiek, nie znają litości.

– Nie zakładałbym się o to – powiedział Dante – że nie zobaczymy ich w akcji za rok czy dwa. Tyle że będą nosić czarne berety na tych pokracznych łbach. Zwiebellus na pewno ma tam na orbicie małe zoo.

– Ma albo i nie ma. Jak na razie srają w gacie, jeśli tylko zauważą, że coś się rusza po powierzchni.

– A propos ruszania. – Pat skierował się ku widniejącemu w oddali orbiterowi Kaczorów. – Musimy posprzątać, zanim pojawią się tu mili panowie z planetarną zgniatarką.

– A co z tym? – Ragnar wskazał na uszkodzony statek.

– Zabierzemy go ze sobą. Przycumujemy do dwójki i przeciągniemy nad ocean. Już dwieście metrów od brzegu woda jest na tyle głęboka, że ukryje wrak przed Czarnymi.

– Da się zrobić – mruknął Duckson. – Ale zostanie całkiem spory ślad po katastrofie.

– I tu się mylisz. – Dante zatrzymał się w połowie drogi. – Napęd grawitacyjny to coś na kształt Gravitronu, tyle że milion razy słabszy. Ale do zniwelowania takiego pagórka wystarczy. To, co zostanie, po prostu zjemy.

– To lubię – powiedział Ragnar. – Będzie po wikińsku.

* * *

Operację ukrywania wraku zakończyli w niecałą godzinę. Następny kwadrans wystarczył do częściowego zatarcia śladów katastrofy. Najpierw przetransportowali w środek wyrwy jeden z łazików, potem Ragnar z Kaczorami postarali się, by niezły spłacheć zieleni zmienił się w popiół. Z góry wyglądało to na miejsce ostatniej walki jednej z cesarskich maszyn. Zanim słońce rozjaśniło horyzont, orbiter przeleciał niemal tysiąc kilometrów, kierując się ku środkowi oceanu. Tam wyznaczono spotkanie z trójką, która definitywnie zakończyła badania na drugim kontynencie. Tuż przed świtem zeszli pod wodę dla większego bezpieczeństwa. Zadanie można było uznać za skończone. Pozostało im jedynie przesłanie namiarów do transponderów Korporacji i oczekiwanie na koniec kwarantanny.

Osobną kwestią była infekcja organizmu Dantego. Na razie czuł się świetnie. Kat sporządziła antidotum z roślin - takie samo, jakie jej uratowało skórę.

Niestety podane po tak długim czasie mogło nie zadziałać. Pat cały czas siedział wbity w kombinezon. Jeszcze przed wejściem na pokład założył hełm pożyczony od Yody. Nie chciał kłaść się w izolatce, gdzie już ulokowano Rewolwera. Ten dla odmiany nie protestował i jak wkrótce odkryli, pozostawiony sam sobie zajął się opróżnianiem sprayów ze spirytusem do przemywania ran. Skroplone do kubka stawały się całkiem pijalnym środkiem odurzającym.

– Na którą jesteśmy umówieni z Karakanami? – zapytał Pacyfa.

– Na czternastą – odpowiedział Dante. Siedział w fotelu drugiego pilota i przeglądał z Yodą dane zebrane podczas niedawnych badań.

– Myślę, że powinniśmy znaleźć sobie jakieś odludne miejsce, gdzie przeczekamy do początku Wyścigu – zagaił tymczasem Pacyfa.

– Nie podoba ci się zabawa w podwodniaków? – zainteresował się Jar.

– Średnio.

– A masz jakiś pomysł?

– A mam.

– To wal śmiało – rzucił Leo.

– Przy kobiecie? – Rozbawiony Pacyfa poklepał Kat po plecach, nieomal powalając ją na kolana.

– Tak... wal... się... ale na ryj – wyjęczała dziewczyna, czerwieniejąc na twarzy.

– Słyszałeś, masz przyzwolenie.

Nie trzeba mu było powtarzać.

– Jest taka wyspa, mniej więcej dwanaście stopni na północny zachód od miejsca, w którym umówiliśmy się na spotkanie.

Dante spojrzał na Pacyfę z wyraźnym zdziwieniem.

– Wyspa? Nic nie wiem o żadnej wyspie.

– Serio, jest jedna, jedyna. Na samym środku oceanu. Niewielka, to fakt, ale tak daleko od centrum wydarzeń, że możemy spokojnie założyć tam obóz na te parę dni.

– Masz dokładniejsze dane? – zapytał Dante.

– Pewnie. – Pacyfa wyjął z kieszeni datakartę. – Namierzylismy ją sondami drugiego dnia po wylądowaniu. Tu jest wszystko, nawet zdjęcia.

Rzucił plastikowy prostokąt prosto w ręce Pata. Ten, nie zwlekając, włożył

kartę do czytnika. Dał obraz na wszystkie ekrany. Zobaczyli najpierw wykresy, potem szmat oceanu z niewielkim czarnym punktem pośrodku. Kamera sondy powoli zmieniała ogniskową, pokazując wysepkę w coraz większym zbliżeniu. Kawalek lądu był rzeczywiście niewielki, miał góra dwa kilometry średnicy, może nawet mniej. Szerokie plaże prowadziły na płaskowyż, z którego w centralnej części wyspy wyrastały dwa wzgórza.

– Pagórki źle mi się kojarzą – mruknął Ragnar.

– Spokojnie, są tak pokryte roślinnością, że na pewno nie ma tam węzła – uspokoił go Pacyfa. – To dziewicze miejsce. Prawdziwy Nowy Raj...

– Nie. – Krótkie, ale dobitne oświadczenie Dantego przerwało wypowiedź najemnika. Spojrzał zdziwiony na swojego dowódcę.

– Nie rozumiem... – powiedział ostrożnie.

– To miejsce nazywa się Toy Land, nie Nowy Raj.

– Nadal nie rozumiem...

– I nie musisz. – Dante uśmiechnął się i założył ręce za głowę. – Masz pochwałę, Pacyfa. Znalazłeś coś znacznie lepszego niż dno oceanu.

– Lecieć chcesz? – Yoda odezwał się po raz pierwszy od czasu, gdy weszli do sterowni. Przedtem jedynie uściskał wszystkim ręce.

– A chcę – powiedział Pat.

– To lecieć będziesz, sir.

* * *

– Zupełnie tego nie rozumiem. – Kat odłożyła skaner i raz jeszcze przeanalizowała dane, które wyświetlał komputer.

– To znaczy?

– Wygląda na to, że jesteś zdrow jak ryba. – Podniosła okulary na czoło i popatrzyła na niego bardziej badawczo niż zazwyczaj.

– Twoje ziółka podziałały. – Uśmiechnął się rozbijając. Wprowadzie pokrywa hełmu zniekształcała nieco widok, ale w tym oświetleniu widziała to dokładnie.

– Gówny prawda – powiedziała cicho. – Szczepionkę podałam ci tak późno, że nie mogła pomóc.

– To po co mi ją w ogóle dawałaś?

– Dla świętego spokoju.

– Twojego czy mojego?

– Czy to ważne?

Pokiwał głową.

– I twojego, i mojego – odparła z westchnieniem.

– Zatem już po kłopotcie? Jeśli dobrze zrozumiałem, przeżyję tę infekcję.

– Przeżyjesz.

– Zatem, w czym problem?

– W tym, że chyba nie do końca jesteś tym, za kogo się podajesz...

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– O czym ty mówisz? – zapytał tak chłodno, że poczuła ciarki na plecach.

– Doskonale wiesz, o czym mówię...

– Nie, nie wiem. – Przysunęła się do niego i spojrzała wprost w niebieskie oczy. Zauważyła w nich niepokój i chyba zdziwienie... – O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz? – zapytał, powoli cedząc słowa.

– Normalny człowiek musiałby umrzeć po kontakcie z tutejszymi mikroorganizmami.

– Streszczaj się, Kat! – ryknął, wstając z leżanki. – Co znaczy: normalny człowiek? Czy ja jestem nienormalny?

Odsunęła się gwałtownie, przestraszył ją swoją reakcją. Zasłoniła się rękami, wiedząc, że to bezsensowny odruch. Gdyby chciał, zabiłby ją w ułamku sekundy.

– No, mówże wreszcie! – krzyknął raz jeszcze i wyciągnął do niej rękę. Chwycił kobietę za ramię i potrząsnął tak mocno, że spadły jej okulary. Opuściła dłonie, spojrzała prosto w jego wykrzywioną złością twarz. Chyba zauważył przerażenie wypisane w jej spojrzeniu, bo nagle cofnął się i jakby oklapł.

– Spokojnie, tylko spokojnie – powiedział. – Mów, co wiesz.

– Ty naprawdę nie masz pojęcia...

– Gdybym miał, nie wkurwiałbym się jak dziwka, której klient zwał nie płacąc.

– Dobrze już, dobrze, nie denerwuj się, to wiele ułatwi.

Zrobił pojednawczy gest i usiadł ponownie na leżance.

– Mów! – zarządził.

– Zrobiłam ci chyba wszystkie możliwe testy...

– Miałaś się streszczać...

– Okay, okay. Niby wszystko jest w porządku, ale znalazłam kilka, hmm, jak by to określić...

– Skup się, dziewczyno....

– ...modyfikacji.

– Modyfikacji?!

– Tak. Twoje DNA różni się nieco od znanych mi wzorców. Twój system immunologiczny posiada wydolność wykraczającą daleko poza to, co może znieść zwykły człowiek.

– Nie jestem biegły w te klocki. – Dante był poirytowany do granic. – Mogłabyś mówić po ludzku?

– Jesteś odporny na wszelkie wirusy, które znalazłam w próbkach tutejszej atmosfery i wody.

– To fantastycznie!

– Do pewnego stopnia...

– Jak to: do pewnego stopnia? Przecież to, kurwa, wspaniała wiadomość. Mogę zdjąć ten garnek.

– W tym rzecz...

Dante już sięgał do zaczepów, ale ton, jakim Kat wypowiedziała ostatnie zdanie, kazał mu przerwać rozhermetyzowanie kombinezonu.

– Prosiłem, żebyś mówiła jasno i konkretnie.

– Dobrze, powiem wprost. Twój organizm potrafi zneutralizować wirusy obcego pochodzenia, ale ich nie zabija. Jeśli zdejmiesz ten hełm, umrzemy wszyscy... prócz ciebie.

Zbladł. Opuścił dłonie i popatrzył na nią dziwnie.

– Jestem pierdoloną bombą biologiczną...

Skinęła głową, nie mówiąc nic. Sama nie potrafiłaby określić tego lepiej.

– A te wirusy... da się je usunąć?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie.

– To co mam zrobić?

– Nie mam pojęcia. Po opuszczeniu tej planety powinieneś całe życie spędzić w kombinezonie.

– Może kuracja z tych szczepionek...

– Nie, przykro mi, ale nie...

Siedzieli przez chwilę w ciszy, zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć, gdy dobiegł ich stłumiony śmiech.

– Ale jaja! – Rewolwer właśnie się obudził. – Dante, ty pieprzony mutancie!

– No i dupa... – Pat spojrział na Andrzeja, który wprawdzie otworzył oczy, ale na pewno jeszcze nie wrócił między żywych. Spirytus chyba nie opuścił jego systemu trawiennego, a na pewno zagościł w nerwowym. Świadczyło o tym choćby niezbyt przytomne spojrzenie. – Ten palant wszystkim rozgada.

– Nie sądzę... – Kat wzięła kolejny pojemnik ze sprayem i wstrząsnęła nim, powodując pojawienie się lubieżnego uśmiechu na twarzy Rewolwera. – Doleję mu trochę, nie będzie pamiętał, co usłyszał.

– Nie oszczędzaj, mamy tego spirytetu od...

Chwilę trwało, zanim napełniła mniejszą część kubka. W tym czasie Andrzej gramolił się z łóżka, próbując wstać. Niestety, a może na szczęście, nie był nawet w stanie usiąść. Przyjął kubek jak dar niebios i wychylił go jednym haustem.

– Chcesz czegoś jeszcze? – zapytała Kat, równocześnie układając go na leżance.

– Ciebie – wychrypiał.

– Znowu? Dopiero co przestaliśmy się kochać.

– Tak? – Andrzej zrobił minę, jakby usiłował sobie przypomnieć wrażenia towarzyszące temu przeżyciu. Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, świadczył, że sobie przypomniął. I to ze wszystkimi szczegółami.

– Gorąca jestem – szepnęła Kat.

– Się wie...

– I dasz radę jeszcze raz?

– Spoko majonez... – powiedział Rewolwer i zasnął.

Kat wróciła do Dantego, który w niemy podziw obserwował, jak sobie radzi z problemem.

– Co to jest majonez? – zapytała, siadając na swoim fotelu.

– Taka ciapka z jajek. O ile pamiętam, używano tego do jedzenia...

– Ciekawe, co też miał na myśli...

– Nie mam pojęcia. Zresztą czy to takie ważne?

– Nie, tak tylko się zastanawiałam.

– No to wróćmy do tematu naszej rozmowy. Nie ma dla mnie szansy?

– O ile wiem, to nie... ale oczywiście mogę się mylić. Powinnam chyba porozmawiać z profesorem Surmielem. To wielki umysł i...

– Nie, żadnych rozmów z Korbiarzami – przerwał jej Dante.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się.

– A jak sądzisz, co zrobią z tak ciekawym okazem jak ja?

Nie musiał mówić nic więcej. Miał rację. Wpakowaliby go do laboratorium i nie wypuścili do końca życia, który byłby z pewnością równie bliski co bolesny. Wszak tajemnica jego odporności warta była miliardy. Może nawet więcej niż złoża, które odkryli na tej planecie.

– Masz rację. To musi zostać między nami.

– Tak, lepiej będzie dla nas obojga, jeśli twoi koledzy nie dowiedzą się o mojej przypadłości. Obawiam się, że ta wiadomość mogłaby ich zabić.

Słyszac niezawołowaną groźbę, Kat znów poczuła, jak setki mrówek wspinają jej się po plecach. Wiedziała, że Dante nie żartuje.

– A nie domyślasz się, jak... jak doprowadzono cię do takiego stanu?

Dante pokręcił głową.

– To musiała być długa operacja... – odpowiadała.

– Zaraz. – Wyprostował się gwałtownie, a ona drgnęła. – Pod koniec wojny zostałem ranny. To nie było nic poważnego, ale powiedziano mi, że muszę przejść zabieg. Mieli przy okazji wymienić kilka wszczepów. Jakies nowe ściętna węglanowe czy coś takiego. To był jedyny raz, kiedy straciłem przytomność na dłużej.

– Gdzie to było?

– Na Ziemi 2, tuż przed kontratakiem Cesarstwa.

– Tak... – Przechyliła się do tyłu i zaczęła masować brodę. Zastanawiała się nad czymś.

– Co znaczy: tak? – zniecierpliwiony Dante przerwał ciszę już po paru sekundach.

– Wydaje mi się, że twoi mocodawcy szykowali się do zupełnie innej wojny. Znam tamte realia tylko z opracowań, ale chyba zbyttnio się nie pomylę twierdząc, że jeśli prowadzili tak zaawansowane prace nad modyfikacją DNA, zamierzali rozpylić trochę niezłego syfu.

– Sądzisz, że chcieli z nas zrobić żywe bomby?

– Raczej ekipę do sprzątania. Mając ludzi odpornych na wirusy, mogli zlikwidować obie walczące strony i zająć planetę. Modyfikując kolejne jednostki, utworzyliby armię osób przywiązanych do miejsca. I zachowaliby na nie wyłączność. Ktokolwiek normalny trafiłby do ekosfery planety, dostawałby bilet w jedną stronę. A wszystko przez jakieś świństwo nieznanego pochodzenia... Po dziś dzień zagadką pozostaje, dlaczego Wielki Admirał Shu Ya zdecydował się na samobójczy atak i zniszczenie planety. Ale z tego co mówisz... Cesarscy dowiedzieli się o planecie... – Kat zawiesiła na sekundę głos. – Może nawet już rozpoczęto rozpylanie. Wielu ludzi było w tym ośrodku?

– Pojęcia nie mam. Zaraz po ogłoszeniu alarmu o zbliżającej się flocie przenieśli mnie na orbitę. Po drodze przechwyciły nas myśliwce wroga. Byłem jednym z sześciu ludzi, którzy ocaleli z naszego sektora. Wiedziałem, do czego są zdolni kadeci z armii Shu. Zabrałem dokumenty jakiemuś biedakowi, który miał tego pecha, że stanął na drodze lasera penetrującego, tylko dlatego po wzięciu do niewoli nie rozstrzelano mnie od razu. Siedząc w orbitalnym obozie adaptacyjnym zdecydowałem się na definitywne wycofanie z wojennego biznesu...

– Unikając czegoś bardzo nieprzyjemnego – dokończyła Kat. – Teraz już rozumiem, czemu nikt cię nie szukał. Myśleli, że zginąłeś.

– Chyba masz rację...

Kat przypatrzyła mu się badawczo, ale nie zauważył tego, zerkał gdzieś w bok. Tym lepiej, uznała w duchu, spuszczać szybko oczy. Nie powiedziała mu przecież całej prawdy. Nie oszukała go, ale ta jedna, jedyna informacja, którą zatrzymała dla siebie, zmieniała diametralnie obraz sytuacji. Modyfikacja modyfikacją, lecz niektóre zmiany w strukturze jego komórek sugerowały, że... Nerwowo potarła opuszki palców i zaraz podniosła wzrok na odpalającego nowe cygaro Dantego. Nie mogła się niczym zdradzić. Przerazała ją myśl o reakcji Dantego na wiadomość, że tak naprawdę jest tylko... sztucznym tworem wyprodukowanym w jednym z laboratoriów korporacyjnych. Klonem wielkiego wojownika...

– Co teraz zrobisz? – zapytała, gdy wyjął cygaro z ust.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, co powinienem zrobić. Może ty mi coś doradzisz?

– Klękaj – krzyknął przez sen Rewolwer. – Klękaj, dziwko, zaraz poznasz,

czym jest rozkosz!

* * *

Orbitery osiadły w wodzie tuż przy linii brzegowej, tak jak zarządził Dante. Najemnicy zeszli na ląd niczym dawni odkrywcy, brodząc po kolana w płytkiej wodzie. Pat szedł pierwszy, tylko on nie miał na sobie skafandra. Zeskoczył z trapu do wody i zanurzył ręce w chłodnej szmaragdowej toni. Opryskał wodą twarz. Wciągnął świeże powietrze, niosące całą gamę nowych, obcych zapachów. Odczuwał wielką ulgę po zdjęciu skafandra. Orzeźwiająca bryza wdzierала się pod koszulę i przyjemnie chłodziła mu ciało.

– Załoga, na brzeg! – zakomenderował, brnąc po piaszczystym dnie.

Nie oglądał się, ale wiedział, że idą za nim. Kolejne chlupnięcia oznajmiały, że następny najemnik wskakuje do oceanu. Zanim dotarł na plażę, wszyscy przedzierali się już przez płyciznę. Począł, aż doczłapią do miejsca, w którym stał, i dopiero wtedy odwrócił się do nich. Śmiesznie wyglądali wbici w pancerne kombinezony próżniowe. Ciężcy, niezdarni, poruszający się jak kukły, podczas gdy on czuł się tak swobodnie. Nie okazywał jednak radości. Oficjalna wersja ustalona z Kat głosiła, że nie udało się zahamować zakażenia. Podana mu szczepionka jedynie opóźniła proces degradacji tkanek; dlatego zdecydował się na zawsze pozostać w Krainie Toy, jak w oddziale zaczęto nazywać planetę.

Forsa za tę robotę była ogromna. Każdy z chłopców mógł rozpocząć nowe życie, zwłaszcza teraz, gdy zostało ich zaledwie ośmiu. Siedmiu, poprawił się w myśli, siebie nie mógł liczyć. Swoim ludziom powiedział, że zostanie na powierzchni planety, zatrzymując jeden z orbiterów. Dla tych z zewnątrz, zwłaszcza Korbiarzy, miał być kolejną ofiarą Nowego Raju. Odpowiedni meldunek złożyli już poprzedniego dnia, przekazując Korbie pełne dane o złożach i lokalizację miejsca schronienia.

– Witam na mojej wyspie – powiedział Pat, rozkładając szeroko ręce.

Ale oni stali jak wmurowani, patrząc gdzieś za jego plecy. Odwrócił się szybko, sięgając po broń. W odległości trzydziestu metrów od miejsca, w którym stał, plaża przechodziła w gęste zarośla purpurowo-oliwkowych roślin.

– A kto ci powiedział, że to twoja wyspa? – zapytał mężczyzna w znoszonym kombinezonie górniczym. Znienacka ukazał się pomiędzy omszałymi płachtami

stanowiącymi odpowiednik liści, wprawiając wszystkich w osłupienie.

Dante popatrzył na faceta z niedowierzaniem, potem przeniósł wzrok na innych, wynurzających się jak duchy z zarośli. Nie mieli na sobie skafandrów bojowych, lecz uzbrojenia pozazdrościłaby im niejedna armia. W sumie było ich około dwudziestu.

– A wy kim, kurwa, jesteście? – wychrypiał Pat.

– My jesteśmy krasnoludki – powiedział ten, który szedł na czele.

– Nie pierdol. – Dante skierował lufę karabinu nieco w dół. – Krasnoludków było siedem, miały czerwone czapeczki i nie chlały bimbrowego ze wszystkiego co się nawinie.

– Poznałeś mnie, kutafonie. – Nadchodzący też opuścił broń, a za nim gest powtórzyli jego kompani.

– Poznałem cię, MacSteamer. – Dante kiwnął głową i uśmiechnął się. – Co ty tutaj, kurwa, robisz? I kim są ci tam, pod lasem? Nie mów, że dowodzisz kimś jeszcze prócz Marakausa Olewusa...

– Nieładnie, nieładnie. Nie dość, Dante, że składasz mi niezapowiedzianą wizytę, to jeszcze żądasz wyjaśnień. Lepiej byś ruszył makówką. Jak ci się zdaje, co my tu robimy?

– Czekać na wypłatę.

– Bingo, zawsze mówiłem, że masz poukładane pod sufitem... Ale teraz chyba przestanę – dodał Mac, stając tuż przed Patem. – Popierdoliło cię czy co? Dlaczego nie masz na sobie skafandra?

– Już go nie potrzebuję.

Steamer podniósł odblaskową osłonę hełmu. Dopiero teraz zobaczyli jego twarz. Uśmiechał się, ale nie był to uśmiech obrazujący radość.

– Zaliczyłeś spotkanie z tutejszą fauną i florą?

– Można to tak nazwać.

– To tak jak nasz stary znajomy, Kozak.

– Andriusza? – zdziwił się Dante. – On też tu jest?

– A gdzie mógłby być facet, który sprzedał duszę? – odpowiedział pytaniem na pytanie MacSteamer.

– Nie widzę go z wami... – Dante przebiegł wzrokiem po grupie mężczyzn stojących na plaży.

– Nic dziwnego, został w naszym kurorcie. Powiedzmy, że kleszcz

zredukował jego funkcje motoryczne o połowę.

Dante pokiwał głową. Nazbyt dobrze wiedział, do czego są zdolne stworzenia zwane kleszczami.

– Jak się tu dostaliście? – zapytał.

– Tajemnica zawodowa – odparł Mac i wybuchnął śmiechem.

– Zresztą to już nie ma znaczenia – prychnął Dante.

– W sumie masz rację. Ale o tym pogadamy w naszym Hiltonie. – Odsunął się na bok, wskazując Dantemu drogę. – Zapraszam wszystkich na przedni bimberek, wprost z waniliowych plantacji Wrocławia!

* * *

– Blokada zostanie zdjęta za dwadzieścia cztery standardowe godziny – obwieścił hologram Wielkiego Admirala. – Dziękujemy panu, komandorze Zwiebellus, za wykonanie powierzonego zadania. Po powrocie na Ziemię czeka na pana awans i zasłużony urlop.

– Ku chwale Federacji. – Adamkas zgiął się w rytualnym pokłonie.

– I jeszcze jedno... – Admirala nie zniknął, jego prześwitująca sylwetka odziana w błyszczący biały mundur nadal drżała na środku sterowni.

– Tak?

– Zanim damy sygnał do Wielkiego Wyścigu, mam dla pana jeszcze jedno zadanie.

– Oczywiście.

– Trzeba na Nowym Raju zainstalować bazę. Rozumie pan, musimy być obecni na powierzchni planety, ale dyskretnie... Chciałbym, żeby pan znalazł miejsce, które nie rzuca się w oczy, i przygotował je pod budowę ośrodka sztabowego...

– Zrozumiałem. – Zwiebellus znów zgiął się w ukłonie. Gdy się wyprostował, postać wielkiego admirała rozpląwała się w powietrzu. Adamkas odczekał jeszcze kilka sekund i dopiero gdy zniknęły ostatnie iskierki hologramu, zaklął siarczyście.

– Tak, sir? – Towarzyszący mu adiutant wyprężył się jak struna.

– Nie słyszeliście? Znaleźć mi natychmiast jakieś miejsce odpowiadające wymaganiom sztabu.

– To znaczy? – Porucznik zdawał się nie do końca rozumieć polecenie.

– Pan admirał życzy sobie, byśmy znaleźli ustronne miejsce, gdzie da się wybudować ośrodek sztabowy, czyli hotel dla najwyższych rangą oficerów, którzy zechcą odetchnąć świeżym powietrzem po zakończeniu kwarantanny. Zrozumiał pan teraz?

– Tak jest, sir!

– No to do roboty.

– Melduję, że znam takie miejsce. – Adiutant nie ruszył się z miejsca, a na jego twarzy widniał promienny uśmiech.

– Skąd? – zdziwił się dowódca.

– Wczoraj mieliśmy kontakt z egzekutywą Korby w sprawie zakończenia kwarantanny. Jeden z dyrektorów przekazał mi holokartę z lokalizacją pewnej wysepki. Sugerował, że byliby zainteresowani tym terenem. Oczywiście odrzuciłem tę ofertę.

– Doskonale.

– Podobnie jak trzy poprzednie, składane przez przedstawicieli innych korporacji.

– Wszystkie dotyczyły tego samego miejsca?

– Tak jest.

– Ciekawe, ciekawe. – Zwiebellus odsunął się od konsoli. Żołnierz wprowadził koordynaty i na ekranie pojawił się niewielki ląd.

– Zaiste idealne miejsce, poruczniku von Kowal. Możemy być wdzięczni panom dyrektorom za wskazanie tak ciekawej lokacji. Oczywiście, aby uniknąć niepotrzebnych spięć podczas kolonizacji, my zajmiemy tę wyspę.

Elipsoidalny skrawek lądu otoczony szerokimi plażami, z dwiema górami pośrodku, sprawiał wrażenie stworzonego na ustronie dla najwyższych oficjeli. Gdyby jeszcze nie te góry...

– Proszę przygotować się do kolejnego odpalenia – powiedział Zwiebellus, siadając w fotelu.

– Chce pan użyć Gravitronu? – zapytał zdziwiony porucznik.

– Tak, mam zamiar poprawić matkę naturę. Nie sądzi pan chyba, że wybudują ten ośrodek na skrawku plaży. Musimy nieco zniwelować teren.

– Wysłać oddział z namiernikami?

– Nie. – Adamkas uwielbiał wyzwania, zwłaszcza naukowe. – Zobaczymy,

jak precyzyjnie potrafimy uderzyć bez namiaru. W razie czego potraktujemy to jako ćwiczenia.

– Tak jest. – Porucznik strzelił obcasami. – Jak zwykle sześćdziesiąt procent mocy?

– Nie, Robercie. Tym razem pójdziemy na całość. W końcu nie ma tam żywej duszy...

* * *

Każdy człowiek stający u szczytu ruchomych schodów prowadzących na plac Zwycięstwa miał przed sobą imponujący widok. O tej porze dnia ogromna stutrzydziestokondygnacyjna monada korporacji Korba mieniła się całą gamą kolorów jak ogromny klejnot. Pochyłe ściany budowli, pokryte dziesiątkami ton złota, srebra i taflami krystalicznego szkła, odbijały miriadami refleksów blask wschodzącego słońca. Widok o tyle rzadki, że przy obecnych zachmurzeniach tarcza słoneczna pojawiała się nad Warszawą w całej okazałości nie częściej niż raz na dwa miesiące. I to pod warunkiem, że sieć Weath-Satu nie miała poważniejszej awarii.

Kat wciągnęła nosem powietrze, natychmiast wychwytyjąc charakterystyczny zapach ozonatorów dbających o czystość atmosfery w zatłoczonej, stuczternastomilionowej metropolii. Jeden z nich przepływał właśnie nad pochyłym dachem Dworca Centralnego Transeuropejskiej Kolei Elektromagnetycznej. Duże, ciepłe krople wody ze zraszaczy znaczyły jego drogę. Kilka wylądowało na uniesionej twarzy dziewczyny, zanim dotarła na poziom ulicy.

– I ja cię pozdrawiam, moje miasto – szepnęła, gdy ruchome schody wypluły ją w tłum bezimiennych urzędników i szarych pracantów podążających ku ogromnemu zikkuratowi ze szkła i stali.

W milczeniu dała się porwać ludzkiej rzece, wstępując na pas transmisyjny chodnika komunikacyjnego, ignorując natrętne reklamy migające na setkach publikatorów, zapatrzona jedynie w czarny prostokąt bramy prowadzącej do wnętrza największej budowli tego miasta, kraju, kontynentu.

* * *

Strażnicy korporacji przeprowadzali rutynową kontrolę. Nie zwrócili uwagi na jedną z wielu pracantek, która z wprawą przesunęła kartę ID przez czytnik i potwierdziła tożsamość na skanerze. Na tym poziomie zabezpieczeń nie weryfikowano danych z Centrum Ochrony. Wystarczyła aktualna karta dostępu i rejestracja w bazie danych. Niestety następny, wewnętrzny posterunek miał już znacznie szersze uprawnienia. Ciche piśnięcie maszyny skanującej tęczę sprawiło, że dwaj czuwający przy chodniku robochroniarze wysunęli się na pozycje bojowe i aktywowali pulsary. Oficer dyżurny wskazał ręką jaśniejszy prostokąt po prawej stronie okienka strażnicy. Kat posłusznie stanęła na mikrografie i pozwoliła zeskanować całe ciało. To był niewinny wstęp do właściwego przesłuchania intruza, ale miała nadzieję, że dane jej będzie pominąć dalszy, niezwykle nieciekawym element rutynowej kontroli.

– Ketea Tychoo – powiedział oficer, przystojny blondyn o fioletowych oczach i niewątpliwie kaukaskich rysach twarzy. – Doktor, departament badań zaawansowanych, ósmy stopień dostępu...

– Zgadza się – potwierdziła Kat.

Oficer spojrział na nią z rozbawieniem.

– ...cofnięty przed szesnastu miesiącami. Powód: potwierdzony zgon obiektu – dokończył odczytywanie danych.

– A to się chyba nie zgadza. – Kat obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem, wydymając wargi i mrużąc oczy. – To, że oddelegowano mnie na jakieś zadupie, nie oznacza jeszcze, że musiałam tam umrzeć, co chyba widać, słyszać i czuć...

Strażnik nagle spoważniał. Odkryci podczas rutynowej kontroli oszuści i intruzi zazwyczaj zachowywali się inaczej. Panikowali, grozili, próbowali przekupstwa... Kobieta, która stała przed jego posterunkiem, nie wyglądała na zdenerwowaną, co więcej, przeszła test identyfikacji w systemie bezpieczeństwa. Była z pewnością zarejestrowana, tyle że komputer z jakiegoś powodu twierdził, iż jest martwa...

– Jakkolwiek jest – powiedział strażnik – zezwolenie na wejście zostało cofnięte, a ja nie mam prawa...

– Gównu mnie obchodzą twoje prawa, misiu – odparła Kat, pochylając się do okienka. – Ktoś tu pośpieszył się z moim pogrzebem i drogo za to zapłaci.

– Jedyne, co mogę zrobić...

– ...to poinformować dyrektora Yin-Gluta, że tu jestem. Chyba że on też twoim zdaniem już nie żyje...

Strażnik skrzywił się. Podejrzana kobieta irytowała go lekceważącym podejściem, ale z drugiej strony przed wykasowaniem miała ósmy, prawie najwyższy stopień dostępu. Jeśli system naprawdę coś spieprzył, bez wysiłku mogła sprawić, że jego dobrze zapowiadająca się kariera... Wolał o tym nie myśleć. Poza tym podejrzana była naprawdę piękna... zawsze marzył o takiej towarzysze życia. Okrągła twarz, zielone oczy, włosy koloru czystej miedzi z wąskimi czarnymi pasemkami, nawet te okulary... Do tego kształtne ciało ukryte pod obcisłym kombinezonem... Odchrząknął, odganiając coraz śmielsze wizje. - Zadzwoń teraz, czy mam poczekać, aż mnie całkiem rozbierzesz wzrokiem? – zapytała przywołując go do rzeczywistości.

– Proszę stanąć tam – oprzytomniał w jednej chwili i wskazał za żółtą linię dzielącą pomieszczenie na dwie części; równocześnie sięgnął do interkomu.

Stanęła, gdzie kazał. Robochroniarze wyłączyli zasilanie pulsarów i cofnęli się do swoich kryjówek. Widok ich lśniących przyłbic i aktywnych pancerzy działał deprymująco na robotników zmierzających do podziemi korporacyjnej monady. Dlatego pojawiali się tylko wtedy, gdy było to absolutnie niezbędne. Oficer pokonywał tymczasem kolejne stopnie dostępu, wreszcie dotarł na sam szczyt, do gabinetów rady nadzorczej i pana ober-hiper-dupka Yin-Gluta. Sądząc z miny, obaj musieli być w równym stopniu oszołomieni informacją o tym, kto stoi przed stanowiskiem kontroli.

– Może pani wejść – powiedział w końcu oficer straży. – Ale dopiero po tym, jak pojawią się tutaj ludzie wysłani przez dyrektora.

Skinęła głową i stała dalej tam, gdzie jej kazano, obojętnie spoglądając na przetaczający się obok tłum. Prawie każdy z przechodzących spoglądał na nią, ale nie zauważyła większego zainteresowania w ich oczach. Za to strażnik nie potrafił oderwać od niej oczu. Pewnie dlatego nie zauważył dwóch ochroniarzy, którzy zbliżyli się do punktu kontrolnego z drugiej strony.

– Masz gości, misiu – poinformowała go Kat, wskazując palcem na zwalistych, ostrzyżonych na krótko goryli. Obejrzał się wystraszony i natychmiast otworzył drzwi, przez które mogła przejść na teren korporacji. Zatrzymała się tylko na moment, by wyjąć z kieszeni coś, co wyglądało na łodygę jakiejś rośliny. Położyła ją na blacie i powiedziała: - To dla ciebie... –

zerknęła na jego identyfikator - Alejandro, zachowaj ją, a do końca życia mnie nie zapomnisz.

Patrzył szeroko otwartymi oczami, jak nieznajoma odchodzi z wyższymi od niej o dwie głowy ochroniarzami. Gdy zniknęła za zakrętem, sięgnął po łodyżkę. Obejrzał ją i podejrzliwie powąchał. Pachniała dziwnie, trochę jakby anyżkiem albo jakimś olejkiem eterycznym. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wyrzucić jej do atomizera, ale po momencie wahania wylądowała w kieszeni munduru.

* * *

Drzwi prywatnej windy rozsunęły się bezszelestnie. Szczytowe piętra monady zajmowane przez członków rady nadzorczej i najgrubsze ryby z zarządu były odzwierciedleniem statusu korporacji. Można tu było znaleźć wszystkie istniejące na Ziemi i w znanej części kosmosu szlachetne metale i rzadkie pierwiastki. Podobnie jak dzieła sztuki, zarówno starożytnej, jak i najnowszej. Nowobogaccy nigdy nie potrafili jej usystematyzować, a dyrektor generalny pionu badawczego korporacji należał do najgorszego gatunku parweniuszy.

Długi, wyłożony różowym marmurem korytarz wiodący do jego gabinetu zdobiła kolekcja rzeźb antycznych. Greccy hoplici stali tu ramię w ramię z dwudziestowiecznymi czerwonoarmistami tylko dlatego, że wielkość kamiennych posągów i ich wojownicze gesty skojarzyły się właścicielowi. Z malarstwem nie było lepiej... Na szczęście Kat nie musiała czekać na jednej z ławek przed potężnymi drzwiami z prawdziwego dębu. Odźwierny otworzył je, ledwie się zbliżyli.

– Ketea, kochanie, jakże się cieszę, że cię widzę. – Tłusta, nalana twarz przełożonego, zazwyczaj pozbawiona wyrazu, dzisiaj promieniała nieszczerym uśmiechem. Nierówno zgolony zarost na obwisłych podbródkach (zauważyła, że od ostatniej wizyty pojawił się jeszcze jeden fałd) wyglądał jak widziana z orbity tundra na wzgórzach dalekiej Syberii. Był szary, rzadki i absolutnie bezsensowny.

– Witaj, Yin – odparła sucho, ignorując jego przyjacielskie gesty.

– Boże... – powiedział, sadowiąc się za biurkiem wielkości i barwy kortu tenisowego – myślałem, że nie żyjesz... Wszyscy byliśmy na twoim...

pogrzebie...

– Obawiam się, że zupełnie na darmo traciliście cenny czas – stwierdziła Ketea siadając w fotelu dla gości umieszczonym pod palmą, jedyną chyba naturalną rośliną w tym gabinecie osobliwości.

– Kiedy straciliśmy łączność z orbiterami - kontynuował Yin-Glut - po kilku miesiącach milczenia Wysoki Zarząd uznał, że powinniśmy zaliczyć zarówno ciebie, jak i pozostałych do grona ofiar postępu i rozwoju korporacji...

– Do grona ofiar postępu... – spojrzała na niego z rozbawieniem.

Niezrażony jej reakcją dyrektor rozparł się w fotelu.

– Jak się tu dostałaś? Dlaczego milczałaś tak długo? – zasypał ją pytaniami.

– Masz setki wątpliwości, prawda?

– Owszem, kochanie – sięgnął po cygaro. – Mam nadzieję, że zaraz mi wszystko opowiesz.

Ketea odłożyła torebkę na stolik i otworzyła ją.

– Przeszłam przez prawdziwe piekło na Toy Landzie...

– Gdzie?

– Na Nowym Raju, zapomniałam, że wy inaczej nazwaliście tę planetę.

Kat wyjęła kilka łyżek i położyła je na skraju kryształowej tafli. Yin spojrzał na nie ciekawie, ale o nic nie zapytał. Uśmiechał się jakby nigdy nic. Pot spływający po jego czole świadczył jednak, że spotkanie bardzo go stresuje.

– Opowiadaj, opowiadaj... – ponaglił dziewczynę, nie wyjmując cygara z ust.

– W sumie niewiele jest do opowiadania. Po wykonaniu zadania dotarliśmy na niewielką wyspę, Dante chciał tam przeczekać do otwarcia przestrzeni. Powinieneś o tym wiedzieć, wysłaliśmy do korporacji meldunek z dokładnymi koordynatami...

– Tak, tak, pamiętam – potwierdził Yin-Glut zaciągając się dymem. – To była ostatnia informacja od was...

– Niestety następnego dnia Zwiebellus wykorzystał naszą kryjówkę do prób z gravitronem...

– Coś takiego... – Dyrektor wyjął cygaro z ust.

– Mieliśmy odrobinę szczęścia w nieszczęściu... – ciągnęła Kat. - Dante nie darzył specjalną atencją najemników, którzy zebrali się na wyspie. Z wzajemnością zresztą. Feralnego dnia o świcie wyruszyliśmy na małą wyprawę... Gdy wróciliśmy, wyspa była płaska jak twój dowcip...

– Jak zawsze zadziorna – uśmiechnął się dyrektor. – Za to cię tak lubiliśmy.
– Ja jeszcze żyję...
– No tak, przepraszam. Kontynuuj, kochanie. – Ketea spojrzała wymownie na szafkę za jego plecami. Skrzywił się nieco. – Dopiero po ósmej – powiedział.
– Już po ósmej – poprawiła go.
– Skoro tak mówisz – przywołał służbę przyciskiem na biurku. – Drinka dla pani. Campari z sokiem pomarańczowym. Dwa do ośmiu. Dobrze pamiętam?
– Dobrze. Z naturalnym sokiem, nie tym syntetycznym gównem – dodała.
– Oczywiście – poparł ją dyrektor. – A dla mnie dzin z tonikiem, bezalkoholowy.
– Oszczędzamy się, co? – zakpiła.
– Wiesz, jak jest... Przed południem staram się nie pić, to źle wpływa na potencję...
– Myślę, że o wiele za późno na podobne obawy – odcięła się.
– Nie próbowałaś, więc nie wiesz – odparł z lubieżnym uśmiechem. – Ale, ale, odchodzimy od tematu...
Wzięła drinka i spróbowała. Był doskonały. Na tym poziomie trudno było dostać coś niedobrego.
– Na czym to ja skończyłam?
– Wojskowi spłaszcyli wyspę.
– Tak, to było dość nieoczekiwane zdarzenie. Dante sądził, że Zwiebellus odkrył naszą obecność, dlatego też spędziliśmy następny tydzień na dnie oceanu, czekając na zakończenie blokady i pierwszą falę osadników. Ósmego dnia przejęliśmy niewielki statek zwiadowczy korporacji Es-Sense. Po kolejnym tygodniu udało nam się dostać niezauważenie na orbitę. W tym czasie ruch pomiędzy transportowcami a powierzchnią zwiększył się na tyle, że mogliśmy przedostać się bez zwracania uwagi na obrzeża systemu, skąd kilkoma skokami wróciliśmy na Ziemię.
– Fascynujące...
– Nie – powiedziała Ketea spoglądając na zegarek. – Takie akcje to normalka w życiu najemników. Prawdę mówiąc, to była jedyna fascynująca rzecz w tym wszystkim...
– Tak?
– Możemy wyjść na taras? – zapytała, zamiast odpowiedzieć.

– Oczywiście, kochanie – poderwał się zza biurka, jakby miał ochotę otworzyć drzwi własnoręcznie. Lokaj zrobił to jednak sekundę po tym, jak dyrektor wyraził przyzwolenie.

Ketea wyszła na zewnątrz ze szklaneczką w dłoni. Stała przy balustradzie i spojrzała w kilkusetmetrową przepaść. Sto dwadzieścia pięter poniżej tętniły życiem ulice wielkiej metropolii. Z tej wysokości trudno było dostrzec poszczególnych ludzi, ale sznury pojazdów - naziemnych i latających - poruszały się w dole niczym kolonie mrówek. Panorama Warszawy wyglądała tak, jak ją zapamiętała. Setki wież korporacyjnych otoczone morzem kilkudziesięciopiętrowych biurowców i oceanem dzielnic mieszkalnych. Spojrzała na północny zachód, tam, już za horyzontem, w Dzielnicy Łódzkiej stał jej własny dom. Zapewne sprzedany komuś innemu...

– Nie przejmuj się, Ketea – powiedział Yin, jakby czytając w jej myślach. – Teraz, gdy wszystko się wyjaśniło, odzyskasz dom i stanowisko. Sama wiesz...

– Wiem... Korporacja ponad wszystko. Nie liczą się ofiary, ważne jest osiągnięcie celu.

– O czym ty mówisz?

– Nie wiesz? – zakpiła dopijając drinka, służący natychmiast uzupełnił poziom płynu w jej szklance, naturalnie w takiej samej proporcji.

– Nie bardzo rozumiem...

– Myślisz, że jestem taka tępa, że nie wiem, kto podał namiary na wyspę? Najemnicy zrobili swoje, najemnicy mogą odejść... Jaka to oszczędność dla osoby, która negocjowała warunki kontraktu... Zapewne pan prezes nie miał pojęcia, że druga rata nie trafiła na konto Dantego...

– Oszalałaś! – Yin-Glut cofnął się. – Oskarżasz mnie o taką zbrodnię? Dlaczego? Nie masz żadnych dowodów!

– Mam... – Kat chciała spojrzeć mu w oczy, ale spuścił wzrok. – Mam cholerną kupę pieprzonych dowodów.

– Kłamiesz! – krzyknął dyrektor.

– Nie kłamię. Mam wszystko czarno na białym. Trochę to trwało, ale jeden z ludzi Dantego przejął dane z komputerów „Niezwyciężonego”. Dane dotyczące łączności...

Yin-Glut stanął jak wryty. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości. Sięgnął po fajer, elegancki damski egzemplarz marki Heckler & Kochański z

samonaprowadzaczem, ukryty w luźnym rękawie. Broń typu „zamknij oczy i strzelaj“. Typowa dla tchórzy, ciot i dekowników, jakby powiedział Dante.

– Ta wiedza nic ci nie da – powiedział mierząc do niej – bo zabierzesz ją ze sobą do grobu.

– Do tego, w którym już leżę, czy do jakiegoś innego? – zapytała odstawiając na wprost opróżnioną szklanę.

– Bardzo śmieszne – odparł, cofając się o krok.

– Zanim użyjesz tego pedalskiego pistoleciku – mruknęła Ketea – powinieneś pomyśleć, jak wspaniałe ujęcia będą miały kamery wszystkich szpiegowskich satelitów. Już widzę te nagłówki w holoniusach. Dyrektor Korby zabija kobietę na tarasie prywatnego apartamentu...

Rzucił szybkie spojrzenie na zachmurzone niebo. Bez wątpienia na jego twarzy ogniskowało się teraz co najmniej dziesięć satelitów szpiegowskich konkurencji.

– Sprytne, ale nie za sprytne – powiedział chowając broń. – Stąd nie uciekniesz... Poczekam kilka godzin, może kilka dni, aż zmięknie... Jeszcze sama do mnie wrócisz.

– Pieprz się.

– Nigdy nie robię tego sam...

– Jasne, masz do tego goryli – usiadła przy stoliku, dopiła drinka i skinęła na lokaja pokazując pustą szklanę.

Yin-Glut pokręcił głową, wchodząc do wnętrza gabinetu.

– Pani już wypiła, co miała wypić.

Ketea spojrzała na zegarek.

– Odpręż się – krzyknęła za znikającym w cieniu mężczyzną – i wyluzuj. Odmawiasz drinka kobiecie?

Wrócił do drzwi i machając ręką, w której trzymał cygaro, powiedział:

– Kobiecie nigdy nie odmówiłbym drinka... ale ty, skarbie, jesteś martwą kobietą, a umarli nie piją, nieprawdaż?

– Błąd, misiu. To ja będę patrzeć na twoją śmierć, nie odwrotnie.

Yin-Glut wybuchnął śmiechem, rechot ochroniarzy dotarł do Ketei moment później z głębi pokoju. Raz jeszcze spojrzała na zegarek.

– Pa, pa – powiedziała machając ręką.

W tej samej chwili w głębi budynku rozbrzmiały dźwięki syren alarmowych.

Drzwi na taras zaczęły się automatycznie zasuwać. Zdumiony Yin przestał się śmiać. Z na wpół otwartymi ustami spoglądał na taflę krystalitu przesuwającą się przed jego oczami. Mglista powłoka pola ochronnego zamknęła wyjście, zanim obudowa drzwi zetknęła się z ramą.

– Co to, do kurwy nędzy, ma znaczyć? – wrzasnął w stronę kobiety.

Ketea siedziała spokojnie z nogami założonymi na stolik. Opalona na brąz skóra pięknie kontrastowała z jej granatowym, obcisłym kombinezonem i białymi meblami. Yin nie zwracał jednak na to uwagi. Nakazał służbie otworzyć drzwi na taras, polecenie nie zostało jednak wykonane. Nie dało się też dezaktywować pola. Podczas trwania alarmu system bezpieczeństwa izolował cały kompleks. Jedyнным sposobem komunikacji z Keteą pozostał interkom albo naprawdę głośny krzyk.

– Nie wiem, co chciałaś osiągnąć w ten sposób – zniekształcony głos dyrektora wydobył się z głośników rozmieszczonych wzdłuż ściany tarasu – ale bardzo tym sobie nabruździłaś.

– Nie sądzę...

– Nie mam pojęcia, jak to zrobiłaś, ale za kilka minut blokada zostanie zdjęta, a wtedy osobiście usmażę ci dupsko, i to nie wychodząc z gabinetu. Kamery konkurencji zarejestrują twoją tragiczną śmierć, ale wina spadnie na ochroniarza, który przypadkowo wypali w twoim kierunku...

– Martwi nie strzelają – powiedziała spokojnie Ketea.

– O czym ty mówisz, dziewczynko? – Głos dyrektora przybrał ton żartobliwy. – Nie uda ci się nas wystraszyć.

– A wiesz, misiu, co to za alarm? – zapytała Ketea znudzonym tonem.

* * *

Alejandro Dominguez, oficer zmianowy korpusu Zewnętrznej Służby Bezpieczeństwa, siedział w swoim kantorku patrząc ze zdumieniem, jak zamykają się grodzie odcinające monadę korporacji od miasta. Obracał bezwiednie w palcach łądyżkę, którą podarowała mu nie tak dawno tajemnicza piękność, i zastanawiał się, co też miała na myśli mówiąc, iż zachowując ją, zapamięta ich spotkanie do końca życia. Tak pięknej twarzy nie sposób było zapomnieć przez rok, może dwa, ale żeby do śmierci, to chyba przesada...

zwłaszcza że widział tylko twarz, nic więcej...

Schował roślinkę do kieszeni i sprawdził na terminalu, co spowodowało alarm. Zdziwił się. Czujniki wykryły na poziomie garażowym skażenie biologiczne. Dlatego system ochronny zamknął hermetycznie cały sektor. Alejandro obserwował ze spokojem, jak czujniki meldują o obecności obcych ciał na poziomie minus dwa, minus jeden, a potem na klatce schodowej. Hydraulicznie dociskane helonowe drzwi oraz podwyższone ciśnienie gwarantowały powstrzymanie każdego mikroba. Nie dalej niż dwa dni temu sprawdzano cały system, dlatego miał stuprocentową pewność, że przez tę przeszkodę nie prześlizgnie się nic, bez względu na rozmiar. I rzeczywiście, nawet najmniejszy wirus nie dałby rady sforsować grubych na dwa cale drzwi osadzonych na wypełnionym ciekłym helem kołnierzu. Jednakże to, co zbliżało się do nich z drugiej strony, było znacznie większe od wirusa. I silniejsze.

* * *

– Wiesz, misiu – powiedziała Ketea, gdy przekleństwa przestały płynąć z głośnika – nie lubię, jak tak przeklinasz. Weź się w garść, umrzyj jak facet, skoro żyłeś jak ciota...

– Dziwka – wychrypiał głośnik.

– Nigdy nie wzięłam od ciebie złamanego grosza – przypomniała urażonym tonem – Nigdy też nie pozwoliłam ci dotknąć miejsca, które uważam za intymne. Nie oceniasz mnie zbyt powierzchownie?

– Zabije cię, jak Boga kocham, zabiję.

– Wiesz, misiu, tak naprawdę to ja ciebie zabiłam. Jeszcze oddychasz, jeszcze krzyczysz, ale tak naprawdę to już nie żyjesz.

– To się jeszcze okaże! – Modulowany przez elektronikę głos Yin-Gluta załamał się przy ostatniej sylabie.

– Przywiozłam ci niespodziankę z tej podróży, wiesz? Takie fajne łydźzki...

– To jakieś trujące gówno – jęknął Yin. Zobaczyła, że dyrektor odskakuje od biurka.

– No wiesz, nie zniżyłabym się do czegoś takiego, poza tym musiałabym sama wystawić się na działanie tej trucizny... a chyba o to mnie nie podejrzewasz?

– Skoro to nie trucizna, to co?

– Roślina z Nowego Raju. Coś w rodzaju afrodyzjaku dla istot tam żyjących. Nie uwierzysz, ale to naprawdę inteligentne stworzenia. Bardziej inteligentne, niż myśleliśmy. A do tego takie wojownicze.

– O czym ty mówisz, do cholery?

– Mówię o prosiaczkach.

– O czym? – Pot spływał z jego twarzy strumieniami.

– No, o kleszczach... – użyła oficjalnej nazwy - Flota zdecydowała o ich wyniszczeniu, ale nam udało się ocalić kilka egzemplarzy. Ten alarm, misiu, to sygnał, że udało się je dostarczyć pod właściwy adres...

– Popierdoliło cię czy jak? – ryknął nagle Yin-Glut. – Sprowadziłaś tutaj te chitynowe potwory? Na Ziemię?

– Widzę, że miałeś już okazję poznać naszych wspólnych znajomych – ucieszyła się Ketea. – Skoro zdecydowaliście w zaciszu tego gabinetu, że mają wyginać, myślę, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby...

– Nie doceniałem cię, Ketea – rzekł głucho Yin. – Ale i ty nie doceniasz nas. Ta monada jest chroniona przez armię strażników. Wielu z nich ma egzozskielety z helonu i broń najnowszej generacji. Nie ma takiej możliwości, żeby twoje szkarady dotarły aż tutaj.

– A ilu z tych swoich bohaterów ukryłeś w szybie windy? – zapytała ze złośliwym uśmiechem Kat.

Yin nie odpowiedział.

* * *

Alejandro nareszcie zrozumiał, co miała na myśli Ketea Tychoo. Nastąpiło to w ostatniej chwili jego życia. Widział, jak serie z pulsarów tną korpus pierwszego potwora, widział też, co stało się z robochroniarzami w sekundę później. Szczerze mówiąc wolałby nigdy nie oglądać takich widoków, zwłaszcza że odrażające bestie po rozdarciu na sztuki każdej żywej istoty w zasięgu wzroku zaczęły się gromadzić wokół jego posterunku. Zupełnie jakby coś je przyciągało. Spojrzał na dziwnie połyskującą łodyżkę, potem na masę zrogowaciałych cielsk napierających na krystalit. Zanim dzieląca go od potworów przeszkoda pękła z trzaskiem, zrozumiał, czym był podarunek od

Ketei. Miała rację, umierał z jej imieniem na ustach...

* * *

– Jak tam wskazania komputera? – zainteresowała się Ketea.

– Wspaniale – odparł Yin. – Już prawie po kłopotcie. Twoje gównozjady nie dotarły nawet do pięćdziesiątej kondygnacji.

– Kłamiesz, misiu, i nawet nie umiesz tego ukryć – roześmiała się.

– Ciekawe...

– Ano ciekawe. Mam tu taki mały przydatny gadżet - zamachała ręką, w której trzymała okrągły przedmiot przypominający puderniczkę - który pokazuje, że skażenie, a przez to rozumiemy prosiaczki, są w szybie windy i dotarły do sześćdziesiątego piątego piętra.

– Ty suko... – Trudno rozpoznawalny głos dobiegający z głośnika mógł należeć do Yin-Gluta albo jednego z jego ochroniarzy.

– Bez urazy – roześmiała się Ketea – to nic osobistego...

– Zdechniesz, zdechniesz w bólach! – Głośnik znów ożył.

– Jasne, ale najpierw zobaczę, jak moi kosmiczni berserkerzy robią z was mięsną sałatkę. Wiesz, Yin, tam na Nowym Raju dowiedziałam się, na czym naprawdę polega polityka naszej korporacji. Złamano wszelkie konwencje, zniszczono jedyny gatunek pozaziemskich istot inteligentnych tylko dlatego, żebyś mógł dodać do swojego konta kilka zer...

– Ty nic nie rozumiesz, durna dziwko – syknął Yin-Glu. – Ta planeta była nam potrzebna nie dla jakichś partykularnych interesów, ale dla ratowania ekonomii Ziemi.

– Sranie w banie, Yin. Ekonomia Ziemi poradziłaby sobie bez likwidacji prosiaczków.

– Przecież to tylko bezmyślne bestie. Wyniszczyły niemal całe życie na swojej planecie.

– Z ich niszczycielską siłą mogę się zgodzić, ale nie mów, że są bezmyślne. Nie widziałeś obrazów, jakie namalowały...

– Pieprzę jakieś tam obrazy...

– Masz w dupie prawdziwą sztukę, to fakt... I między innymi dlatego zginiesz... – mruknęła Kat. - Nie zadaliście sobie trudu, by zbadać ten gatunek,

nie wiecie o nim nic, a jednak zdecydowaliście, że należy go eksterminować...

– A co ty o nich wiesz, suko?! – Z każdą minutą i każdym utraconym piętnem głos dyrektora stawał się bardziej piskliwy.

– Dużo, wystarczająco dużo, by wierzyć w to, że dotrą tutaj i załatwią cię, ty chodzący worze łoju. Chyba że...

– Tak? – Myślał tylko sekundę, w lot pojął znaczenie jej słów. - Czego chcesz za powstrzymanie tych bestii...? Mów szybko!

– Spokojnie, mamy czas – spojrzała na zegarek. – Dotarcie tutaj i sforsowanie zabezpieczeń zajmie im jeszcze jakieś sześć minut.

– Lesba...

– Tylko na tyle cię stać? – wybuchnęła śmiechem. – To, że nie pozwoliłam się dotknąć zarozumiałemu tłustemu debilowi nie świadczy o dewiacji, lecz o zdrowym rozsądku. Ale wróćmy do tematu. Zanim zamienisz się w kupę dymiących flaków, powinieneś poznać jeszcze parę faktów. Moje badania nad tym gatunkiem pozwoliły mi na parę ciekawych obserwacji. Przemiana prosiaczków w kleszcze nie jest stała. To prosta reakcja na zagrożenie. Wyrojenie to nic innego jak reakcja obronna, coś jak działanie adreanaliny na człowieka, tyle że zwielokrotnione. Kiedy zagrożenie mija, prosiaczki stopniowo, powoli wracają do poprzedniego kształtu. Stają się spokojnymi roślinożercami, pancerne łuski odpadają z ich korpusów i odnóży, odrasta im sierść... cykl się zamyka. Widziałam to na własne oczy, tak jak wspaniałe malowidła zdobiące ich jaskinie. Przebywałam między nimi długi czas. Między ostatnimi przedstawicielami gatunku, tymi samymi, które teraz zajmują się piętnem osiemdziesiątym siódmym.

– Mów, czego chcesz – zaskowyczał głos.

– No dobrze – powiedziała. - Weź swój transponder i podejź do okna.

Zrobił, o co prosiła.

– Aktywuj przelewy i wpisz numer tego konta – pokazała mu kartkę z przygotowanym numerem.

– I co dalej?

– Spokojnie, nie naciskaj, bo się pomylę i trzeba będzie zaczynać od nowa... Zamilkł, ale wyglądał, jakby miał za chwilę eksplodować.

– Zrobisz przelew, powiedzmy wszystko, co jest na tych trzech kontach... – pokazała nową kartkę.

- Skąd o nich wiesz? – jęknął Yin-Glut.
- To długa historia – odparła. – Chcesz posłuchać?
- Nie – warknął i zaczął wprowadzać numery. Znał je na pamięć.
- Pokaż – zakomenderowała, gdy skończył.

Przysunął wyświetlacz do szyby. Czytała przez moment, po czym z zadowoleniem skinęła głową.

– Dopisz jeszcze dwa zera – rzuciła po kilku sekundach.

– Oszalałaś?

– Może... W końcu nikt inny nie wie, że ukradłeś aż tyle...

Wahał się przez chwilę, ale w końcu wykonał jej polecenie.

– Teraz naciśnij enter i pokaż jeszcze raz.

Pokazał. Potem schował czytnik i odwrócił się do niej plecami.

– Odwołaj je – syknął.

– Za późno, misiu – szepnęła, wiedząc, że i tak usłyszy.

– Słucham?

– Za późno nacisnąłeś anulację...

– Ja nic... – zaczął, ale nie skończył. Nerwowo jął wstukiwać kolejne kody.

– Próżny trud, to było konto debetowe – powiedziała ze śmiechem, widząc, jak walczy z czytnikiem. – W momencie rejestracji pieniądze zostały przelane na konta wierzycieli. Dlatego poprosiłam, żebyś jeszcze raz pokazał czytnik.

– Ty...

– Nic nie mów – ostrzegła go. – Czas mija...

– Dostałaś, co chciałaś – wysapał. – Odwołaj je...

– Chciałaś mnie oszukać, misiu.

– Ale nie oszukałem! – krzyknął rzucając czytnikiem o podłogę.

– Tylko dlatego, że byłam sprytniejsza.

– Kat, zlituj się... One są już na sto dziesiątym piętrze...

– Wiem...

– Co było, to było, przelałam ci siedemnaście miliardów złotych, jesteś najbogatszą kobietą na tej planecie... Czego jeszcze chcesz?

– W sumie już nic, oddałeś mi z nawiązką to, co stracił mój ojciec i co mnie odebrano. Wystarczy nawet dla najemników... Została tylko jedna rzecz...

– Jaka? – zapytał.

– Twoja śmierć...

– Ale... Dlaczego? Przecież dałem ci pieniądze...

– W dupie mam pieniądze. Przyszłam tu, żeby zobaczyć, jak płacisz za wydanie na mnie wyroku śmierci. Mam bilet w pierwszym rzędzie i nie zamierzam rezygnować z przedstawienia.

Yin dopadł do szyby i zaczął walić w nią pięściami, wykrzykując obelgi, których człowiek o jego pozycji nie powinien nawet znać. Trwało to chwilę, dość krótką zresztą, potem opadł z sił i uciszył się.

– Nie bądź taka pewna siebie – syknął, gdy odzyskał oddech. – Nie wywiniesz się. Z tego tarasu nie ma ucieczki.

– Chyba że ktoś ma jet-packa – zaprzeczyła z uśmiechem.

– Nie zauważyłem, żebyś miała cokolwiek przypominającego to urządzenie. Czyżbyś schowała je tam, gdzie wzrok nie sięga? – wysilił się na dowcip. Ostatni w tym wcieleniu.

Nie odpowiedziała. Wskazała głową na prawo. Na skraju tarasu lądował właśnie człowiek w bojowym kombinezonie próżniowym. W ręce trzymał zapasowego jetpacka.

– Żeby cię...

Jęk rozrywanego metalu, odgłosy strzałów i krzyki konających zlały się w jedno. Kat wstała z fotela i podeszła do okna. Stała na tyle blisko, na ile pozwalało pole siłowe, i spojrzała do wnętrza, przykładając dłonie do skroni. Drgnęła, gdy odnóża jednego z kleszczy zaczęły uderzać w kryształit. Przezroczysta materia wytrzymała kilka uderzeń, potem zaczęła pękać i rozsypała się na tysiące drobnych kryształków. Teraz już tylko pole siłowe odgradzało Keteę od kilku poruszających się błyskawicznie pajęczych kształtów.

– Zbierajmy się stąd, Kat – powiedział Andrzej. – Dante czeka.

* * *

Lecieli wzdłuż pochyłej ściany monady, starając się dostać na poziom pięćdziesiątego piętra. Tam zgodnie z planem mieli wyrównać lot i oddalić się nad najwyższym pasem ruchu do punktu zbornego. Andrzej leciał przodem, Kat kilka metrów za nim. Nagle najemnik zaczął przyspieszać. Kobieta rozejrzała się nerwowo i zobaczyła w oddali migotanie kogutów. Gwardia już zbliżała się do placu Zwycięstwa.

– Są szybsi, niż myślałam – szepnęła do interkomu.

– Są dokładnie o czasie – odpowiedział, nie zwalniając – Gdybyś nie marudziła tyle na górze, moglibyśmy obserwować całą akcję z bezpiecznej odległości.

– Jaką akcję? – zapytała, nie bardzo rozumiejąc. – Przecież z tej odległości nic byśmy nie widzieli.

– Jeśli dobrze znam Ducksonów, to faktycznie z tej odległości nic byśmy nie zobaczyli. – Andrzej roześmiał się. – To specjaliści od odwracania uwagi.

Zrozumiała i przekręciła do oporu dźwignię gazu. Mknęli metr nad obłymi kształtami wibrolotów zajmujących wszystkie pasy najwyższego poziomu alei Zajdla, targani porywami fali uderzeniowej, którą wywoływały mknące maszyny.

– Jeszcze dwadzieścia sekund – krzyknął Terreine.

Wpadli w wylot ulicy Poznańskiej, tuż nad dachami starych czynszowych mrówkowców. Na pałąku jetpacka Andrzeja zamrugał prawy migacz, Kat skręciła bez namysłu tam, gdzie wskazywał. Na dach najbliższej kamienicy. Wylądowali między sznurami z suszącym się praniem.

– Jebudu – powiedział najemnik zrzucając bezużyteczny już plecak i skacząc za przybudówkę.

Kat nie zareagowała od razu, oszołomiona twardym lądowaniem bezskutecznie usiłowała pozbyć się jetpacka. Uderzenia dłonią w klamrę nic nie dawały. Spojrzała na monadę korporacji ułamek sekundy przed pierwszą eksplozją.

Zaczęło się po prawej. Mały wybuch na jednym z niższych pięter wypchnął kilka okien i zawartość biur znajdujących się za nimi na zewnątrz budynku. W następnej chwili setki kolejnych eksplozji otoczyły cały budynek. Kat stała, patrząc z przerażeniem, jak ogromna budowla drży w posadach. Stałaby tak dalej, narażając się na śmierć albo kalectwo, gdyby nie przytomna reakcja Andrzeja. Najemnik wyskoczył z ukrycia i pociągnął ją za sobą, nim pierwsze odłamki szkła i metalu przecięły ze świstem powietrze.

– To nam nie ujdzie na sucho – szepnęła, gdy deszcz szkła i metalu przestał bębnić o cegły przybudówki.

Wychylili się ze swojej kryjówki równocześnie. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno stała przypominająca południowoamerykańskie piramidy siedziba

Korby, unosiły się tylko tumany kurzu.

– Chyba masz rację – przyznał po chwili Andrzej, otrzepując się z pyłu i odłamków. – Dante kazał im zrobić typową akcję dywersyjną, odwrócić uwagę na wypadek pościgu...

– No to odwrócili uwagę...

* * *

Policja zamknęła dzielnicę, zanim wydostali się z budynku. Łaziki lądowały na każdym skrzyżowaniu, zatrzymując cały naziemny ruch; mniejsze maszyny patrolowały dachy i podwórza, skanując przy okazji przelatujące na wyższych korytarzach śmigacze i rapedy.

Kat uwiesiła się na ramieniu Andrzeja, grając rolę zakochanej panienci, on natomiast pozostawał pełen rezerwy. Był playboyem, zimnym, wyrachowanym draniem, dla którego kobieta to co najwyżej przekąska. Tak ustalili wspólnie z Dantem. Plan ewakuacyjny zakładał, że przedostaną się w rejon Pałacu Cesarskiego. Niestety droga do niego wiodła przez plac Trzech Krzyży, na którym Czarni jak na złość ustawili główny punkt filtracyjny. Każdy, kto zawracał widząc zasieki i mundurowych, stawał się obiektem zainteresowania „chartów”, niewielkich latających kamer pościgowych. Dlatego szli dalej.

– Misiu, ja się tak boję... – powiedziała Kat, gdy obok nich zatrzymał się jeden z żołnierzy pilnujących przejścia.

– Zamknij się, głupia – zganił ją Andrzej odpychając delikatnie. – Wysadzili coś w centrum, tutaj nic nam nie grozi. Prawda, panie władzo? – zwrócił się do wgapiającego się w nogi dziewczyny Czarnego. Ten tylko pokręcił przecząco głową, nie wiadomo, czy była to odpowiedź na pytanie najemnika czy reakcja na widok tak zgrabnego ciała.

– Widzisz... – Andrzej objął ją ramieniem we władczych geście posiadania. Czarny niechętnie ruszył dalej.

– Papiery mamy w porządku – mruknęła Kat – nie powinni się czepiać...

– Oby...

Do bramki przenośnego punktu kontrolnego pozostało im jeszcze dwadzieścia metrów. Rewizja szła sprawnie, dwie grupki Czarnych otaczały stoliki, przy których oficerowie dokonywali kontroli dokumentów. Reszta, może

ze trzydziestu ciężkozbrojnych, stała w tyralierze. Ich zadaniem była selekcja sprawdzanych – czyści na prawo, do wyjścia, reszta na ogrodzony teren przy okrągłym kościółku. Opornych załatwiano na miejscu.

– Karta identyfikacyjna. – Szczupły blondyn w odprasowanym mundurze wyciągnął rękę do Kat. Dziewczyna podała mu dokument i z uśmiechem czekała na wynik skanowania. Zachowała go nawet, gdy podniósł wzrok i przeszył ją zimnym spojrzeniem.

– Ketea Tychoo? – ni to stwierdził, ni zapytał.

– Tak, panie oficerze – skinęła głową.

– Byłaś w monadzie przed zamachem? – padło następne pytanie.

– Nie, ja... my właśnie...

– Karta ma wpis mówiący o tym, że przekroczyłaś dolny punkt kontrolny na pół godziny przed zniszczeniem systemu...

– Bo... tam się umówiliśmy z moim... z panem Andrzejem Terreine. – wskazała palcem na najemnika i pogłaskała go czule po ramieniu. To ku jej zdziwieniu wywołało grymas niesmaku na twarzy oficera.

– Rozumiem – powiedział Czarny i rzucił dokument na blat stołu. Wyciągnął rękę po kartę Andrzeja.

Ruszyli dalej, ledwie najemnik odebrał swoją kartę.

Na placu ze względu na jego rozmiary nie było stacjonarnych publikatorów naściennych. Jeden, naprawdę wielki wisiał na gmachu zabytkowego hotelu Sheraton, ale z tej strony był prawie niewidoczny. Rolę przekaźników informacji dla przechodniów pełniły w tym miejscu niewielkie rzutniki plazmowe „Gazety Wizualnej” ustawione na podestach wzdłuż krawędzi jezdni, która stanowiła teraz jedną ze ścian obozu. Wysokie na jeden i szerokie na dwa metry ekrany wyświetlały niemal same reklamoduły, ale w nagłych przypadkach służyły też do przekazywania sensacyjnych informacji.

Kat dotarła do czwartego sektora, w zasadzie mogła powiedzieć, że jest już za terenem ogrodzonym, gdy słodko brzmiący dzingiel obwieścił rozpoczęcie wiadomości. Na wszystkich ekranach pojawiła się twarz etatowego komentatora sensacyjnych wiadomości, Tomasza Wilka.

– Witam państwa serdecznie – powiedział spoglądając wprost w kamerę. – Przerwywamy blok reklamowy, żeby przekazać sensacyjną wiadomość z Warszawy. Przed niespełną kwadransem miał tam miejsce zamach

terrorystyczny na siedzibę korporacji Korba. – Obraz ze studia został zastąpiony przez widok płonącej monady. Kamery uwijały się nad rumowiskiem, filmując je z góry.

– Nie zatrzymuj się – mruknął Andrzej, lecz mimo to musieli stanąć, gdyż w momencie rozpoczęcia transmisji cały ruch zamarł, nawet uwięzieni za drutami patrzyli na ekrany.

– Nie mamy jeszcze doniesień o ofiarach, ale z pewnością są ich tysiące... – kontynuował Wilk upajając się własnymi słowami, za to chyba lubiano go najbardziej.

Nagle przerwał i sięgnął lewą ręką do ucha, gestem zaczerpniętym od klasyków tego zawodu. Dzisiaj każdy prezenter miał wszczepy pozwalające mu na bezpośrednie komunikowanie się z reżyserką i na pewno nie musiał przyciskać słuchawki, by lepiej słyszeć. Nie musiał, ale jak to pięknie wyglądało, no i dawało ten moment napięcia...

– Proszę o wybaczenie, właśnie otrzymałem informację od naszego reportera o dowodzie niesamowitej solidarności z ofiarami hekatombi. Zarząd korporacji Bytom Space Mining, firmy posiadającej większościowe udziały w stu czterdziestu czterech kopalniach pozasystemowych i głównego dostawcy tak rzadkich metali, jak helon i gradbar, stanowiących niezbędne składniki do produkcji prawie dziewięćdziesięciu procent wytwarzanych na Ziemi urządzeń gospodarstwa domowego, przekazał policji nagrania z kamer szpiegowskich, które pozwolą na identyfikację osób odpowiedzialnych za ten bezprzykładny akt terroru. Powtarzam, nagranie, które za chwilę państwo zobaczą, dostarczył zarząd korporacji Bytom Space Mining, która to firma posiada większościowe...

Andrzej nie słuchał reklamowej gadki, rozglądał się, sprawdzając możliwe drogi ucieczki. Rzucił okiem na ekran dopiero, gdy Kat ścisnęła go za rękę. Kamera satelity szpiegowskiego pokazywała czysty i wyraźny obraz z tarasu. Na śnieżnobiałym tle podłogi najbardziej rzucającą się w oczy rzeczą był chabrowy kostium Kat. Na szczęście zmieniła go jeszcze na dachu. Jednakże zbliżenie na figurę i uśmiechniętą twarz pozbawiło ich złudzeń. Nie sposób było pomylić tego ciała, tych oczu, włosów. Świadczył o tym narastający wkoło szmer rozmów.

Gwizdki rozbrzmiewające przy stanowiskach kontroli były ostatnim sygnałem do ucieczki. Większość policjantów odwróciła się w kierunku źródła

hałas, co dało Andrzejowi tak potrzebną sekundę zapasu. Chwytał Kat za rękę i ruszyli pędem ku schodom wiodącym na pobliską stację metra. Zanim padły pierwsze strzały, zdążyli przebiec niemal trzy czwarte dystansu. „Charty” znajdowały się po przeciwnej stronie placu i kontrolowały napływający tłum, sprawny operator potrzebował minuty, by je przeprogramować, a to dawało duży margines bezpieczeństwa. Gorzej było z pościgiem tradycyjnym, kilku najbliższej stojących Czarnych otworzyło ogień do uciekających, na szczęście niecelny. Zaskoczeni i zdeorientowani strzelali praktycznie na oślep, mierząc w każdego, kto poruszał się po przedpolu. Celów było wiele, niemniej dwa razy smugi kondensacyjne przelatujących ładunków otarły się o ramię i głowę Andrzeja.

– Skacz między schody – zakomenderował i rzucił się szczupakiem na łącznik pomiędzy ciągami ruchomych schodów. To rzeczywiście był najszybszy sposób na dostanie się do podziemi. Kat zrobiła to samo. Wylądowała na kamiennej posadzce pamiętającej jeszcze dwudziesty pierwszy wiek i natychmiast poderwała się na nogi. Andrzej pociągnął ją na prawo. Przebiegli przez opustoszały hol i przeskoczyli przez bramki.

– Znasz tę stację? – zapytał Andrzej, gdy wbiegli na peron, przy którym właśnie zatrzymywał się pociąg.

– Nie, nigdy nie korzystałam z metra w Warszawie.

– Nieważne, wszędzie jest tak samo – pociągnął ją za ramię i wepchnął do najbliższego wagonu. Drzwi zamknęły się z cichym sykiem i skład ruszył delikatnie.

– Wsiadamy na drugiej stacji – szepnął jej do ucha.

– Dlaczego?

– Pierwsza jest za blisko, a trzecią z pewnością zdążą obstawić, zanim dojedziemy.

– Nie wiedzą, jaką linię wybraliśmy, sprawdzenie tego zajmie im kilka minut, metro to istna pajęczyna, przesiądźmy się kilka razy... – mówiła gorączkowo.

– Teoretycznie masz rację, ale wołałbym opuścić tunele jak najszybciej. Czarni podepną się do systemu kamer, będą znali każdy nasz krok, mamy góra dwie minuty przewagi.

– Może lepiej dojedźmy do jakiegoś większego węzła – zaproponowała. – Tam się przesiądziemy i zmylimy pościg...

– Masz rację... – przyznał i przepchnął się do wyświetlacza z planem metra.

Ruszyła za nim, ale nie zdążyła przejść trzech kroków, gdy nagle odwrócił się. Już samo spojrzenie w jego oczy świadczyło, że nie jest dobrze. Przesunęła się na prawo i zobaczyła plan metra. Tylko czy jedną, do tego w miarę prostą linię, można nazwać planem?

* * *

Wysiedli na pierwszej stacji. Z rękami założonymi za kark. Na peronie nie było prócz nich ani jednego pasażera, ale powiedzenie, że był pusty, zakrawałoby na kpinę. Wzdłuż ściany ciągnął się szpaler kompanii szturmowej Czarnych w pełnym rynsztunku bojowym. W ciszy, która zapadła, gdy magnetyczny skład metra zniknął we wnętrzu tunelu, słychać było tylko ciche brzęczenie serwowatorów. Wszechobecne ekrany publikatorów rozmieszczone na ścianach i filarach nadal pokazywały zgliszcza monady. Na szczęście wyłączono fonie...

– Proszę, proszę... – Znajomy z punktu kontrolnego wyszedł zza prawego filara. – Pani dyrektor Tychoo, słodka idiotka na randce... prawie dałem się nabrać...

Skinął na swoich ludzi, dwóch sprawdziło szybko zbiegów i skuło ich kajdankami. Wtedy oficer gestem odwołał pozostałych. Ruszyli karnie do obu wyjść z peronu. Została tylko czwórka przybocznych.

– Wysłanie siedziby korporacji... – wymieniał tymczasem oficer - brawurowa ucieczka z punktu kontrolnego, co notabene spowodowało kolejne trzydzieści dwie śmiertelne ofiary... ale to szczegół, doprawdy szczegół przy tamtych tysiącach nieszczęśników pogrzebanych żywcem pod milionami ton gruzu i stali... – Zatrzymał się o dwa kroki od Andrzeja, ani na moment nie spuszczać go z celownika. - W zasadzie powinienem zastrzelić was na miejscu, oszczędzając pieniądze podatników...

Kat zastanawiała się, o co może chodzić temu człowiekowi. Dlaczego przemawia jak tandetny aktor w drugorzędym holo? Jedno spojrzenie na najbliższy publikator wyjaśniło wszystko. Widniała na nim w wielkim powiększeniu twarz Czarnego. Sukinsyny z HVN już tu były. Szyber wizyjny musiał przedostać się na stację tunelem albo kanałami wentylacyjnymi. Oficer stał tyłem do ekranów i upajał się swoją rolą. Może nawet sam sprzedał

wiadomość o miejscu akcji, by znaleźć się na oczach całego świata.

– Błagam o litość, panie oficerze. – Andrzej nagle padł na kolana przed Czarnym i usiłował ocierać się o jego nogę, co ze związanymi rękoma szybko doprowadziło do tego, że wywalił się jak długi na podłogę.

– Podnieście tego śmiecia... – Oficer strzepnął rękawiczkami niewidoczne ślady kontaktu z więźniem. – Już byś nie żył, picowany śmieciu, gdyby nie to, że masz zaproszenie na przesłuchanie...

– Ale ja powiem, wszystko powiem, panie wysoki oficerze, wszystko, wszystko, jak cesarzową Achaję kocham... – Wijący się w kurzu Andrzej zajął w publikatorach miejsce oficera.

Kamera zrobiła zbliżenie na jego twarz.

– To wszystko jej wina, miała kochanka w zarządzie korporacji, wysoko postawionego. Mieliśmy wyłudzić od niego pieniądze, naprawdę, naprawdę, panie wysoki oficerze, ona mnie do tego namówiła... – podczołgał się do zdumionego policjanta i zaczął całować go po bucie. – Pan oficer używa takiej ekskluzywnej pasty – szepnął konfidencjonalnie.

Czarny zbaraniał, ale szybko wykorzystał jedyną w życiu szansę. Wartą kilka milionów na pewno...

– Używam tylko pasty marki Kiwi-Quartz na bazie polimerów sardu – wyrecytował, gdy kamera przesunęła się na jego twarz. Product placement podczas akcji na żywo. Rewelacja, ale twarz trzeba było zachować. Celny kopniak odrzucił Andrzeja na środek peronu, a kamera pokazała na zbliżeniu gładką powierzchnię buta.

– Gadaj na temat – warknął oficer.

– Tak, tak... - Najemnik gramolił się niezdarnie. – Już mówię, wszystko mówię, jak na spowiedzi...

– Na czym? – zdziwił się Czarny.

– Nic, nic, to takie starożytne powiedzenie. Ja studiowałem nowe średniowiecze, panie oficerze, i...

– Do rzeczy...

– Spowiedź to była forma... – zaczął Andrzej mało przytomnie.

– Jak mówię: do rzeczy – przerwał mu oficer, zezując w stronę szybera HVNu – to znaczy, że masz mówić o zamachu!

– Tak, tak, rozumiem. Jak już mówiłem, Kat nagrała podczas figlów w łóżku,

jak dyrektor Yin-Glut obgaduje swoich przełożonych, a muszę panu oficerowi powiedzieć, że ona potrafi takie rzeczy, że...

– Gównu mnie obchodzi, co ona potrafi – ryknął Czarny. – Do rzeczy albo dostaniesz kulkę...

– Tak, tak, panie wysoki, bardzo wysoki oficerze – wyjęczał Terreine. - Ona chciała mu sprzedać to nagranie. Poszła tam, a ja miałem czekać w odwodzie.

– Na co?

– Na odsiecz – powiedział już normalnym głosem Andrzej.

Oficer zrobił dziwną minę. Chyba nie zrozumiał, ale nie miało to już dla niego żadnego znaczenia. Sekundę później był martwy, podobnie jak jego obstawa. Kat ze zdumieniem zobaczyła, jak seria z fotonówki przepala ich zbroje. Odwróciła się we właściwym momencie, by zobaczyć unoszących się nad torami Dantego i Ragnara.

– Dobra robota, Terreine. – Szef wylądował na peronie i pomógł Andrzejowi wstać. Ten podniósł fajer zabitego oficera i spojrzał w kierunku latającej kamery.

– Ta pieprzona pasta smakuje i śmierdzi jak kacze gówno – powiedział, splunął i jednym strzałem zza pleców przerwał transmisję.

* * *

– Jak nas znaleźliście? – Zdziwiona Kat pocierała obolałe nadgarstki. Ragnar najpierw rozkuł Andrzeja, dopiero potem zabrał się za nią.

– Proste, kamera cały czas pokazywała, gdzie jesteście – powiedział Dante, zakładając jej jet-pack – Terreine wiedział, że przyjdziemy, musiał tylko zyskać na czasie...

Sprawdził, czy uprząże pasują. Od zakończenia transmisji upłynęło może dziesięć sekund, a już byli gotowi do odlotu.

– Brawo, brawo, brawo... – Tubalny głos, który wypełnił całą stację, sprawił, że zamarli.

Znów zapłonęły ekrany publikatorów. Tym razem pokazywały pomarszczoną twarz starca o długich, siwych włosach i orientalnych rysach.

– Generał Ya Shiu? – Dante zdjął rękę z dźwigni zapłonu.

– Spierdalamy! – Andrzej ruszył do krawędzi peronu.

– Stój! – Okrzyk dowódcy osadził go w miejscu.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale – mruknął Dante. – Mój stary znajomy generał „kutasi łąb” Ya Shiu raczył zastawić na nas pułapkę.

– Finta fintą w fincie, pamiętasz, synku? – Uśmiechnięta twarz generała zniknęła na moment z ekranu, zastąpiły ją zmieniające się co chwilę ujęcia z kamer bojowych. Obiektywy były rozmieszczone w tunelach, a także na schodach z obu stron. Nietrudno zgadnąć, co było do nich doczepione.

Dante skinął głową i rzucił broń na ziemię.

– Jesteście otoczeni – powiedział generał, gdy jego twarz pojawiła się na plazmowym wyświetlaczu publikatora. – Mam na dole czterdziestu uwarunkowanych snajperów.

Jakby na potwierdzenie tych słów, dziesiątki czerwonych linii na moment przecięło lekki półmrok hali, koncentrując się na stojących. Równie szybko, jak się pokazały, zniknęły.

– Rzućcie broń, a gwarantuję wam uczciwy proces – powiedział Ya Shiu.

– Oni są tylko pionkami, to ja zaplanowałem tę akcję. – Dante powolnym ruchem odpiął odrzutowy plecak.

– Ty nie pracujesz z pionkami, Dante...

– To było dawno, teraz...

– Chcesz powiedzieć, że Kaczory to partacze? – roześmiał się generał. – Architekci twierdzili, że monada wytrzyma atak nuklearny, przynajmniej jej konstrukcja nośna... a jak dziś wygląda plac Zwycięstwa?

– Wypadek przy pracy... – mruknął zdenerwowany najemnik, przeciwnik zdawał się wiedzieć o wszystkim.

– Być może, ale te kilkanaście tysięcy niewinnych ofiar, w tym niemal cały zarząd Korporacji... i biedny oficer Streit... on sam wart jest najwyższej kary.

– Zabijecie nas? – zapytał Dante głosem pozbawionym emocji. – Dlaczego nie tutaj i teraz...

– Nie zadawaj głupich pytań. Jesteśmy cywilizowanymi zabójcami. Najpierw czeka was sąd wojskowy. To widowisko musi mieć porządne zakończenie.

Przysłuchujący się wymianie zdań Andrzej odrzucił broń i odpiął plecak. Spojrzał przy tym krzywo na dowódcę i szepnął:

– Kim jest ta pieprzona gadająca mumia?

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odpowiedział Dante i założył ręce za kark.

Pozostali poszli za jego przykładem, zanim pojawili się pierwsi Czarni. Po chwili peron wyglądał jak w chwili przyjazdu pociągu, tyle że na podłodze leżało kilka trupów.

* * *

Ogromna sala Trybunału Floty świeciła pustkami. Świadców sędziowie nie potrzebowali, a Dante zrezygnował z adwokata z urzędu. Nie zawiadomiono też publiki, kilka szyberów największych sieci przelatywało z cichym sykiem nad głowami oskarżonych. W niczym nie zmaconej ciszy, jaka panowała w okrągłym pomieszczeniu, ruch ten był jedyną oznaką życia. Oczywiście do momentu, gdy strażnicy strzelili obcasami w żywiołowym salucie.

– Proszę wstać! – ryknął jeden z nich, mimo że więźniowie cały czas stali. – Najwyższy sąd nadlatuje!

W rzeczy samej, cały skład sędziowski spłynął spod sklepienia razem ze stołem, fotelami i dwoma panoramicznymi ekranami. Generalicja uwielbiała takie pokazy. A dzisiaj o winie i karze orzekać mieli najważniejsi militaryści po tej stronie globu. Liczba gwiazdek, orderów i baretek pięciu marszałków zasiadających za sędziowskim stołem wystarczyłaby do obdzielenia niewielkiej armii. Jakby tego było mało, w sektorze dla przysięgłych pojawiło się dwunastu generałów. W tym starzec, znajomy Dantego z metra.

Jeden z sędziów, tłusty Murzyn o niesamowitych mięsistych wargach, stuknął trzykrotnie młotkiem i ogłosił:

– Trybunał Doraźny Wojskowej Rady Ocalenia Korporacyjnego po zapoznaniu się z materiałami – tu wskazał na publikatory wyświetlające moment przed eksplozją monady – i zeznaniami naocznych świadków – teraz pokazał dyskietkę trzymaną przez drugiego z sędziów – rozpoczyna proces Dantego z Algierii i jego ludzi oskarżonych o zamach na siedzibę korporacji Korba Space Findings i spowodowanie śmierci oficera na służbie. Czy oskarżeni przyznają się do winy?

– Nie – odpowiedział Andrzej, kręcąc przecząco głową. – Ja tamtędy tylko przechodziłem i wcale ich nie znam.

– Weźmiemy to pod uwagę, panie Terreine. – Sędzia zanotował coś w swoim

elektrotesie.

– Nie. – Ketea nie uzasadniała swojej wypowiedzi. Podobnie postąpili pozostali, Pacyfa, Yoda i Ragnar. Sprawcy największego zamieszania, Ducksonowie, byli nieobecni. Zapadli się pod ziemię. W przenośni i dosłownie. Zakrojone na szeroką skalę poszukiwania bliźniaków nie przyniosły żadnego efektu.

Dante tylko pokręcił głową, nadal miał na sobie skafander ciśnieniowy i hermetyczną maskę. Przy wyjściu z metra Czarni zabrali mu komunikator, co znacznie ograniczyło jego komunikatywność.

– Nie słyszę – powiedział sędzia.

– Eee... – wybąkał Dante i raz jeszcze pokręcił głową.

– Nadal nie rozumiem. – Uśmiech czarnoskórego był słodki jak miód. – Co pan powiedział?

– Eaj, ye. – Najemnik wzruszył ramionami.

– Pan mnie chyba obraża. – Skinienie dłoni marszałka sprawiło, że czterej strażnicy przytrzymali Dantego.

– Zdejmijcie mu ten kaganiec – zakomenderował sędzia. – To nie kolonie, tym powietrzem mimo wszystko da się oddychać.

– Wybacz pan sędzia, ale to zły pomysł – zainterweniował Andrzej.

– A co, może ugryźć? – Radosny rechot przetoczył się po sali rozpraw.

– Ugryźć nie ugryzie – wtrąciła Kat, obserwując, jak kolejne podłączenia maski poddają się palcom komandosów. – Ale może...

– Zamknij się, kobieto – uciszył ją sędzia – nie mamy czasu na czcze pogaduszki. Czy oskarżony Dante przyznaje się do winy?

– Nie – odpowiedział najemnik, po czym oblizał spierzchnięte wargi i zrobił kilka głębokich wydechów.

– Zaprotokołować, oskarżeni nie przyznają się do winy. W takiej sytuacji i w obliczu niepodważalnych dowodów sąd uznaje wszystkich oskarżonych za winnych zarzucanych im czynów i skazuje na warunkową karę śmierci.

Kolejne trzy stuknięcia młotka zakończyły rozprawę.

– Chwileczkę! – krzyknął Andrzej w kierunku unoszącego się prezydium. – Co to ma znaczyć? Czy to jest rozprawa, czy cyrk? A gdzie zeznania, wyjaśnienia, ostatnie słowo skazanych.

– Tryb doraźny – wyjaśnił odlatujący sędzia. – Nie mamy czasu na pierdoły,

za kwadrans zaczyna się finałowy mecz piłki nieważkościowej o mistrzostwo Systemu Słonecznego.

Generałowie odlecieli kilka sekund później, razem z nimi kamery.

Więźniowie zostali na sali z czterdziestoma komandosami. W ich eskorcie ruszyli do jedynych drzwi widocznych w oddali.

– Zaraz – mruknął Ragnar – ten dziadek w metrze sugerował, że nas nie zabiją...

– Bo nie zabiją – odparł spokojnie Dante.

– No a wyrok? – zapytał Andrzej.

– Nie słyszałeś, co powiedział ten czarniawy? – odpowiedział pytaniem na pytanie Dante.

– Kara śmierci – nie ustępował Terreine.

– Warunkowa...

– A co to, kurwa, za różnica – obruszył się najemnik.

– Istotna. – Dante uśmiechnął się. – Jesteśmy zbyt cenni, by nas zabić, ale za bardzo niebezpieczni, by pozwolić nam żyć...

– Uwielbiam takie filozoficzne pieprzenie – zachnął się Andrzej. – Co to, do kurwy nędzy, znaczy?

– Będzie cholernie ciemno i bardzo zimno... – mruknęła Kat. – I raczej się już nie zobaczymy.

Dante kiwnął głową.

– Bez jaj – powiedział Pacyfa. – Może nas po prostu uwarunkują. Jakieś pranie mózgów albo coś...

– Lodowa, bracie. – Ragnar poklepał go po plecach – Pierdolona orbitalna lodowa...